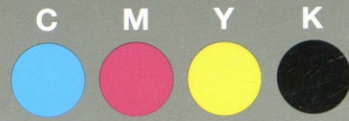
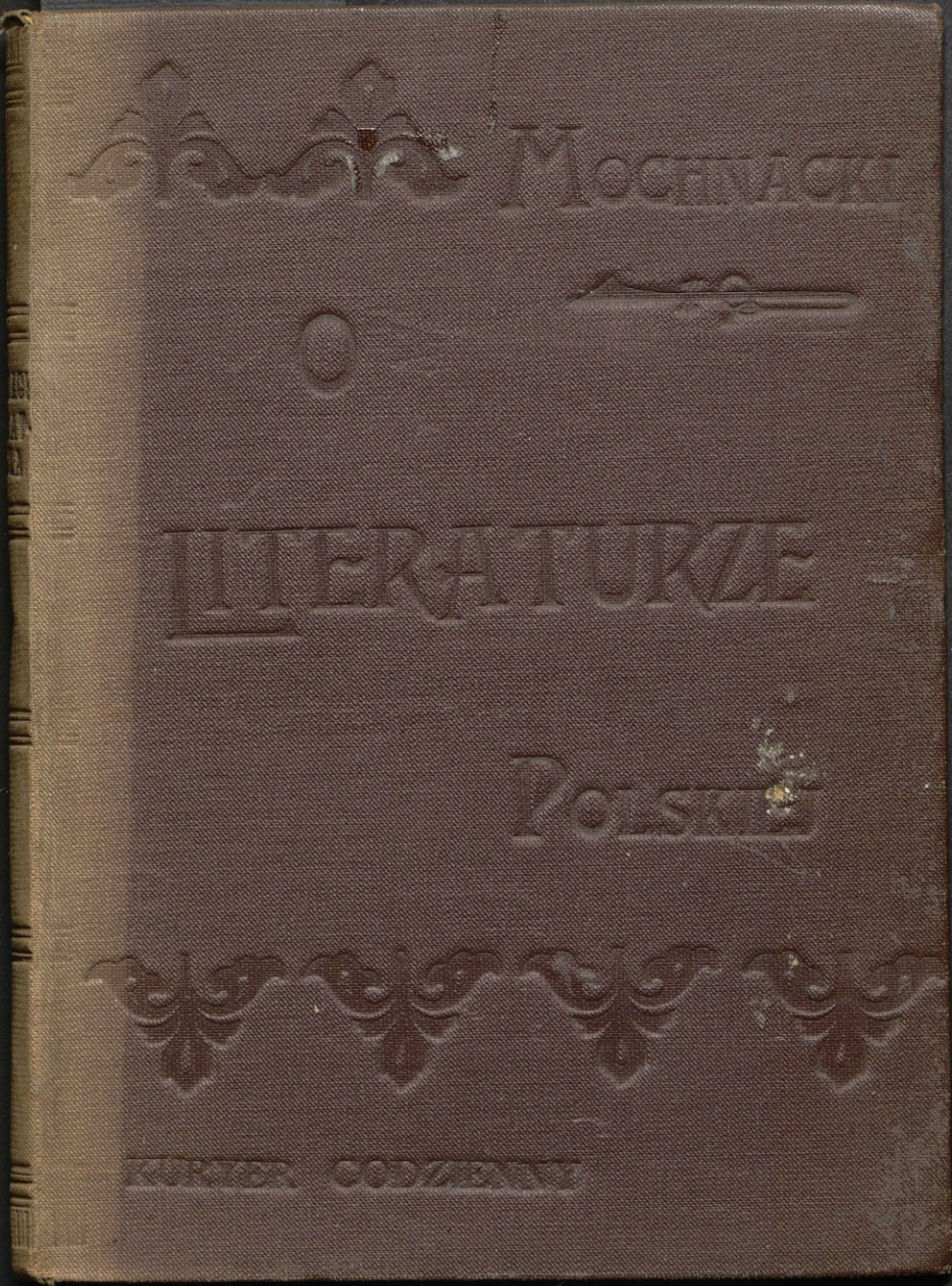


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





MOCHNACKI

LITERATURZE

POLSKIE



KURZER, GODTHERNS

O LITERATURZE POLSKIEJ
w wieku dziewiętnastym.

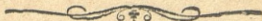


Dodatek do „Kuryera Codziennego.”

Maurycy Mochnacki.

O Literaturze Polskiej

W WIEKU DZIEWIĘTNASTYM.



WARSZAWA.


Drukiem „Kuryera Codziennego.”
Krakowskie Przedmieście № 17.

1904.

884

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 марта 1904 года.

8123 / 2


ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Założenie autora.

Chcącemu teraz w dostatkach piśmiennych jakiegokolwiek narodu rozeznąć jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacji, trudnem staje się to przedsięwzięcie, jeżeli nie niepodobnem ku wykonaniu. Za dawnych czasów, — nie mówię w zapadłej starożytności, ale w Europie chrześcijańskiej, — umiejętność szła innym strychem; w ciasniejszych mieściła się szrankach, niżeli teraz; kładzono ją pod pewną linię i modłę, żeby nie chybiła ani na tę, ani na owę stronę. To prawda! Lecz wtenczas duch ludzki zawodził na głębią; w głębi przenikał do jasności i szukał gruntu. Dzisiaj we wszystkim więcej postawy niż wątku. Być może, że teraz więcej umiemy od poprzedników naszych; ale zapewne przechodzą oni nas treścią i mocą swych pojęć. Umiejętność terażniejsza nie zna żadnego

wędzidła; nienkročona żadną przeszkodą, żadną wątpliwością, jako potok wezbrany z granic występuje. Płynie szeroko, rwistym pędem, na wszystkie rozlewając się strony; ale na swoim nie jest tak umocniona i tak daleko jak pierwiej nie zachodzi. Dzisiaj, że tak powiem, w szersz i podług rozmiaru na długość moc pojęć naszych się roznosi; przedtem zaś umysł ludzki albo bujał w przepaścistych otchłaniach, albo śmiałym lotem wzbijał cię w przeciwległą stronę, do wysokości już dla nas niedościgłej, i ledwo nie ku wyżynom zawrotu. Tam szukał prawdziwej chwały!

A przecież z tego tylko wyrozumieć można człowieka, w tem jedynie przeniknąć do jego ducha, co on sam głęboko pojął, zrozumiał, uczuł. Któż bowiem zgadnie istotę nie niepojmującą? Toż samo z narodem się dzieje. Dzielnosc jego poznawań na jaśnia się wyrывa w wiedzy rozpostartej, w umiejtnosci; a siła jego fantazyi w sztuce. Uczucie w pieśni się maluje.

Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo wzrosło z pierwotnego szczepu! Jak wybujalo, jak się rozgałęziło! Jak szeroko teraz ziemię zalega cieniem swoim! I coraz to nowe puszcza odrosle. Ledwo nie codziennie, w porządku wiadomości naszych, mnoży się liczba działów, i mnożyć się nie przestaje. A za lat sto, za lat dwieście, któż wie, czy potomkowie nasi przez całe życie swoje do szkół, jako żaki, chodzić nie będą musieli dla nauczania się, przynajmniej z rejestru abecadłowego nazwisk tylu umiejtnosci, tylu rozmaitemi pochrzczonych tytułami? Każdą rzecz radzibyśmy obrócić w umiejtnosc; z lada fraszki stworzyć naukę. **Cót**

z tego, kiedy w tem wszystko się z szczerą istotą wytrawia, wszystko na wierzach wychodzi!... Jakże wyrozumieć naturę umysłu publicznego, gdzie nie ma ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia? Cóż wreszcie wyrozumieć z blichtrów w mowie i pisaniu?... Przedtem któżby był pomyślał, że naprzykład o samej sztuce kucia koni, albo o zaprawie mularskiej i cementach będziemy mieli liczne pisma, uczone wywody, i ledwo nie całą literaturę? — Inaczej to kiedyś bywało. Ludzie nie tak wiele pisali o budowlach i cementach, a trwalsze, ozdobniejsze stawiali gmachy. Skądże to pochodzi? Dla czego pamiątki stare taką okazałością jaśnieją? Czemu tak zdrożały w naszym własnym mniemaniu? Rzecz naturalna. Bo już się na nic takiego zdobyć nie możemy. Bo zmaleliśmy w rozerwaniu naszym; bo pierwiej myśl ludzka nie była jako warsztat rękodzielniczy, gdzie, w miarę podziału pracy na coraz drobniejsze zatrudnienia, otrzymujemy coraz doskonalsze wyrobki.

Ten mechanizm tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził w nauce. Moc ducha na jedności zależy; w podziałach słabnie, rozprasza się. Umiejętność szerząca się mechanicznymi środkami poniża rozum ludzki. W tej mierze mam na względzie nietylko nas samych u nas, ale całą Europę. Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy; tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W tej jednostajnej cywilizacyi, zacierającej właściwość indywidualną, i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnej

jego osiadłości? Też same wszędy formy zewnętrzne i rzecz ta sama; te same widoki, wyobrażenia. Rodzicielstwaznamie na dziełach uczonych, w utworach sztuki, w poezyi, we wszelakiem misterstwie dowcipu, niegdyś tak wydatne, tak rażne, tak bijące w oczy, coraz wątpliwsze staje się. Przyjdzie ku temu, że go i znać nie będzie. Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego; jednego trzymają się porządku; w jednych klukach zawarte. Mają tę samą moc i niemoc; tę samą prawdę i nieprawdę. A jeżeli gdzie jaką różnicę postrzeżesz, to tylko w zewnętrznym kroju, na zwierzchniej szacie myśli; w gruncie żadnej prawie odmiany. Niżeli o kosztowne perły i dyamenty trudniej teraz o nowość w myślach. Nie jest-że to znakiem, żeśmy upadli na sile?

Ustała światłość pierwotnej, anielskiej natury człowieka! Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały pojęcia; osłabła usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczeńskiego życia, w nieprzebranem mnóstwie wiadomości, a najbardziej rozstrzeleniem się nauk i umiejętności na niezliczone działy. Jakież mniemanie zaważmie o nas daleka potomność? Powie-li, żeśmy wszyscy jeden naród bratni, jedną rodzinę, spólnym rządzącą się rozumem składali w Europie? Czy też przypisze niemocy, albo lenistwu, że tak różne plemiona, różne mową, postawą, językiem, obyczajem, w różnych zamieszkałych siedliskach, miały przecież jakby jedną głowę, jedną moc ducha, jedną imaginację i jedną siłę natchnienia?... Zaiste, obróciwszy myśl ku upłynionym czasom, łatwiej rozwikłalibyśmy charakter idealny któregośkolwiek ludu bądź w staro-

żytności, bądź w wiekach pośrednich, z ułamków, z spleśniałych resztek jego cywilizacyi, jak dzisiaj z ogromnego stosu ksiąg drukowanych i przecho-
wujących się w całości.

Nie będę roztrząsał pism uczonych polaków, ani dzieł polskich artystów, dla oceny ich wartości; bo to właściwie do krytyki należy. Zamiarem moim jest: zbadać ducha i przeniknąć do istoty polskiego narodu w ojczystej literaturze.

Całą usilność moją w to położę, żeby czytelnik wyrozumiał: jaki jest umysł ogólny u nas pod względem artystowskim i naukowym? Gdyż sztuka i umiejętność są to dwa najpiękniejsze pierwiastki dzisiejszej europejskiej cywilizacyi.

Prócz wzmiankowanych przeszkód, utrudzających wyrozumienie umysłu publicznego, czyli ogólnego, tudzież wyciągnięcie na jaśnie istoty moralnej któregokolwiek bądź w dzisiejszych czasach narodu (co szczególnie nas samych się tyczy, którzy tyle przejęliśmy od obcych) i to także co następnie powiem, zdaje się być godne uważania:

Wszyscy estetycy radzi powtarzają, jedni za drugimi: że literatura powinna być obrazem narodu. Nic nadto pewniejszego. Ale obraz narodu, jest także obrazem czasu. Czas zaś, jakizto ruchomy element! Czas nigdy nie *jest* rzeczywistie. *Zawsze staje się*. Trudno więc położyć

granicę nieprzeskoczną między upłynionym a przyszłym czasem *). Tę główną trudność w rzeczy samej spotykam w piśmie mojem. Każda upłyniona chwila w przeszłość zapada: każda następna, nawet kiedy to piszę, do przyszłości należy. Którą godzinę, którą minutę, sekundę uważać jako nieruchomy punkt między temi dwoma, jeżeli tak rzecz godzi się, biegunami czasu? Między przeszłością i przyszłością? — Nie jest-li terażniejszość złudzeniem? Kto w to pilniej wejrzy, powie: *nie masz terażniejszego czasu*.

Czas był, albo będzie. Nigdy nie jest. Zawsze się rozwija. A przecież żądamy od społecznych dziejów pisarza, a szczególnie od historyka społecznej literatury obrazu terażniejszości. Żądamy więc tego, czego nikt dokazać nie może; bo ten sam historyk co chwila, za każdym uderzeniem pulsu, należy w połowie do minionego, a w połowie do przyszłego czasu... Jakże uchwyci zarysy tej mieniającej się co chwila fizyognomii wieku? Jak odmaluje obraz, gesta, wejrzenie ruchomej twarzy? Portret osoby niecierpliwej, niespokojnej, która za każdym pociągnięciem pędzla wstaje z miejsca i odbiega od artysty, a potem znowu wraca i odchodzi z odmiennem co chwila wejrzeniem to pochmurnego, to rozjaśnionego lica; która jest ustawnie to w smutku, to w weselu; która jest wszystka z duszą i z ciałem w grze na miętności: — portret takiej osoby będziez jej podobny?

*) Tę samą myśl umieściłem był w artykule Kuryera Polskiego: *Czas terażniejszy* (№ 130). Cały ten artykuł w *Kuryerze Polskim* co do słowa prawie wypisany z niniejszego dziełka.

A jednak żądamy wiernego portretu od społecznych dziejów pisarza! — W takim samym przypadku i ja się znajduję. Trudny zawód, — może trudniejszy, niżeli inne literackie przedsięwzięcia. Z tej przyczyny położyłem na tem piśmie godło: *in magnis voluisse sat est.*

Co rozumieć potrzeba przez literaturę?

Natura wszędzie prawie stawia przed oczy człowieka naśladowane obrazy pierwotnych kształtów swoich i postaci. Nie masz podobno zjawiska na świecie materialnym, któreby tym sposobem zdania naszego nie oszukiwało. Wszystko się tu na dwoje roznosi. Drzewa i kwiaty na ziemi, sama ziemia z swojemi stworzeniami, słońce, księżyc i gwiazdy w wodzie się ukazują. Masy niezmiernej wielkości odbija drobny kryształ, rozłam świecącego metalu, częstokroć jedna kropelka płynu. Też same przedmioty rozścielają cienie kształtów swoich na płaszczyznach poziomych, pochyłych i t. d. A cienie rzeczy bywają to większe, to mniejsze od nich samych. Nawet dźwięk głosu powtarza się w miejscach górzystych. Echo jest jako obraz, jako cień, a może jako zwierciadło dźwięku... Obłoki w powietrzu,— otóż niby fantastyczne myśli ziemi. Patrząc na te górne krajobrazy, na te urwiska skał, na te prze-

paści, grody, lasy, na tych jeźdźców harujących po mglistem błoniu, rzekłbyś, że ziemia duma i zawiesza wysoko nad nami senne kształty swojej fantazyi. Co zdziałała na powierzchni, albo co zdziałał dowcip człowieczy, toż samo unosi w powietrze, osadza niby dla rozrywki na tle ruchomem, na obłoku, i kłamliwe rysuje postacie. — A jeżeli pójdziemy do mniej znanej krainy: czyż sen nie jest cieniem życia ludzkiego? Czyliż we śnie, — w tem fantastyckiem przeobrażeniu tego co się działo na jawie, — nie rozmawiamy? Nie rozumiemy i na głębokie się dowcipy nie zdobywamy?... Idźmy jeszcze dalej, w te strony, skąd jak mniema Hamlet, żaden wędrowiec nie powrócił: śmierć czemże będzie? Tylko cieniem snu, zwierciadłem nocnem tego kłamliwego obrazu życia.

Istota, cień marny i zginienie, otóż trzy pierwiastki bytu. Rzeczywistość, sen i śmierć, trzy rozdziały w księdze jestestw, — jakby trzy zwroty jednej pieśni, jednego hymnu pochwalnego, w którym pełno zgody i harmonii, choć tak różne zdarzenia wyraża.

Taka jest poezya natury. Napróżno szukalibyśmy właściwego nazwiska w polskim języku dla tej osobliwości. Trudno to krótko powiedzieć. Cóż znaczą owe porozrzucane świadectwa widomych kształtów, owe mylne postacie? Jak rozumieć tę dwoistość bytu, to dzielenie się, i zacieranie? Tę naśladowczą umiejętność w przyrodzeniu? Kto rad na małym przestaje, niechaj się uczy optyki i akustyki, — a snadno pojmie przyczynę odbijania się głosu, lub ukazywania przedmiotów w wodzie, i na innych ciałach przezroczystych. Ale podobno te nauki ciekawszego

umysłu nie zaspokoją. Z doświadczenia wiedzieć, że to lub owo takim a nie innym trybem dzieje się w naturze, nie jest to jeszcze: *wszystko* wiedzieć. Pewne zjawiska w przyrodzeniu mają zakryte rozumienie; mają tajemną stronę, nieznaną fizyce eksperymentalnej. A porównaćby je można z dekoracjami widowisk teatralnych, które tylko w perspektywie, na scenie zamierzony skutek czynią, kiedy się zacznie rzecz poematu i gra aktorów. Najpiękniejszy fenomen rozebrany i tłumaczony wedle przepisów martwej nauki, jest jako teatralna dekoracja za kulisami.

W wieku pośrednim, — w tej epoce dziwów i fantazyi, za dni Comptonelli i Paracelsa, nauka przyrodzenia była sztuką magiczną, czarnoksiężkiem misterstwem. Natenczas uczeni i nieucy wierzyli w zakryte własności — *qualitates occultae*. Czyż teraz żadne tajemne rozumienie, żaden dziw naszego serca nie opanuje? Tę myśl gdzieindziej obróciwszy postrzeżemy: że owo podrzeźnianie w naturze nie na same kształty się rozciąga i zewnętrzne postacie. Wszędy takie analogie spotykają uwagę naszą. Tę dwoistość bytu prawdziwego i omylnego widzimy także w ludzkim społeczeństwie. Historia to jasno pokazuje. Czytajmy dzieje niektórych ludów w czasach zapałych i nowszych. Jak szeroko rozsiały po ziemi jestestwo swoje! Oto panują na lądzie i na morzu; mają liczne miasta; mają skarby, potęgę, dostatek wszystkiego. Rozkazują im mądrzy w przełożeniu, dzielni bohaterowie. Mąż wielki, jeden po drugim, idzie z nieprzerwanego następstwa. Przywdziewają zbroje, przodkują bitnym szykom i bratnią sławę u kończym świata rozple-

niąją. Lecz to nie trwa długo. Czemże jest historia? Snem ludów, cieniem ich jestestwa. Owe plemie, skutkiem poprzednich powodzeń, zawichrzona niezgoda, lub rozpieszczone niewieścią miękkością znika z placu. Moc, dostatek, bieglność w sprawach, świetne przewagi, dostojne imię, wszystko rozproszone, jako mgła mija. Wtenczas na karki pogiębionych następują silniejsi, dzicy światoburcy; depcą po nich, z dawnej okazałej wspaniałości dumnie się natrzęsając, krwawym bułatem nowe rządy na ziemi gruntują, i głośniejszą jeszcze surmą obwieszczają przyszłym wiekom swój ród i imię. Cóż się stało z ludem zwyciężonym? — Jest jeszcze; jeszcze się jego jestestwo w nic nie rozwiało: przechodzi dopiero drugą kolej, drugi rozdział bytu. Zwiedzionemu, strąconemu z widowni działań, ironia losu zakreśliła ciśniejszą sferę na omylnym obrazie, w cieniu prawdziwego życia, — niejako we śnie politycznym. Tak może przetrwać kilkaset lat. Z czasem atoli i te ostatki jestestwa ulegną zagładzie. Bo ze snu niemocy przechodzi naród do ciemniejszych jeszcze krain... Jeżeli tedy ten lud w powodzeniu swoim, za dni szczęśliwszych nie miał żadnego mędrca, żadnego dziejopisa, żadnego wieszca, lub artysty, zaginie niepochybnem zatraceniem pamięć jego imienia, — zginą szczątki szczątków.

Wszędzie natura przemawia do człowieka. Pełno tych znaków w przyrodzeniu. Można by jeszcze to roznoszenie się na dwoje uważać jako słabą, i niejako instynktowną dążność natury do *refleksyi*; a przynajmniej owe igrzyska natury, owe fantastyczne przeobrażenia zdają się być godłem władzy intelektualnej człowieka, którą *refleksyą*

zowiemy, która sprawuje: że możemy mieć *uznanie samego siebie w naszym jestestwie*.

(„*Mieć uznanie samego siebie w swoim jestestwie*“ — W polskim języku nie masz lepszego i dobitniejszego, zdaniem mojem, wyrażenia na oznaczenie tego co łacinnicy rozumiają przez: *Conscientiam sui*, a niemcy przez słowo także złożone *Bewustsein*. Dotąd nazywano to u nas *przeświadczeniem*; ale *przeświadczenie* nie maluje rzeczy. Idzie tu o to, żeby wyrazić: *że wiemy, iż jesteśmy*, czyli: *wiemy się w jestestwie naszym*. Zaś *przeświadczenie*, (wyraz przez wszystkich znajomych mi pisarzy polskich używany w omylnem rozumieniu) znaczy tylko: *że wiemy, iż wiemy*; a zatem wyraża tylko *principium cogitandi* a nie *principium cogitandi et essendi*. Co innego wiedzieć się w myśli, czyli wiedzieć, znać myśl swoją, a co innego pojmować się i w myśli i w jestestwie zarazem. Wreszcie po co stwarzać dla filozofii polskiej (jeżeli ją kiedykolwiek będziemy mieli mimo nasz odwieczny wstręt ku wszelkiej filozoficzności) wyraz nowy, kiedy jest stary nierównie lepszy? To *uznanie samego siebie w jestestwie swoim* znalazłem w Skardze, Birkowskim i innych znakomitych pisarzach, którzy ucierając się z kacerstwem w Polsce, samym trybem polemicznych rozterek bardzo głęboko zabrnęli w subtelności teologiczne. Szczęśliwie oni nakłaniali mowę ojczyzną do wykładu pojęć wysokich, oderwanych, cienkich. Ztąd korzyść dla języka nie mała ważna, byleśmy tylko z niej rzetelny pożytek wyciągnąć umieli. Wiele takich wyrazów znaleźć można w jednym np. traktacie X. Jabłonowskiego. Ale my wolimy stwarzać wyrazy rzeczom opaczne dające rozumienie, niżeli przenikać do

szczerej istoty polskiego języka w dziełach, pod tym względem nieoszacowanych, starych pisarzy naszych. Podobni w tem nieumiejętnemu ziemianninowi, który dobrą, żyzną rolę lichem zasiewa ziarnem. — Rzecz dziwna i godna z wielu miar uwagi: że nawet w języku polskim owe *principium essendi et cogitandi* wyszło za naszych czasów i z używania i rozumienia polaków).

Rzecz ta zostaje w związku nierozdzielonym z przedmiotem, który będę roztrząsał. Jest zawiślana, a ledwo tknięta piórem polskiem: czyż zdolam moją myśl jasno i zrozumiale dla każdego czytelnika wyrazić?

„Natura przychodzi do refleksyi.“ To przedsięwzięciem okazać.

Kiedy myśląc, wiemy myśl swoją, i uważamy wszelkie jej poruszenia, tak, iż wszystko co się wewnątrz nas dzieje, jest nam dobrze znajome, i z tego co chwila zdać sobie sprawę możemy: uwaga ta wewnętrzna jest *refleksją*. Przynajmniej takie znaczenie przywiązujemy do wyrazów: „zreflektuj się,—rozważ co myślisz,—przyjdź do siebie“. Są to prawie jednoznaczne wyrażenia w polskim języku.

Jakże natura przychodzi do tej refleksyi?

W pierwszym poruszeniu, w początkowych tworach nie ma ona uznania samej siebie. Jest, a nie zna swego jestestwa. Działa, a nie zna działań i poruszeń swoich. Jednak statecznie ku temu zmierza. Iskrę ognia, błysk światła zawarła w twardym kamieniu; dźwięk w metalach. Światło, dźwięk są niejako duszą rzeczy; materjalność tych istot dwuznaczna, wątpliwa.—Jestto najpierw-

sza, najodleglejsza reprezentacya pewnego *intelektualizmu* w przyrodzeniu.

W naturze widzimy postęp nieprzerwany od bezwładności do życia; a w samym życiu ileż odmian, ile modyfikacji!

Długi szereg jestestw rozdziela nieme głązy od rozumnego człowieka. Ale tę całą przestrzeń jedna linia przebiega. Ten cały przestwór zapełniony. Niemasz żadnej przerwy; żadnego skoku. Żadnego ogniwa w tym łańcuchu nie braknie.

Przeto: „*między tem co jest, i tem że jest nie wie,*“ a tem „*co jest, i wie że jest*“ zachodzi ścisły związek. — A zatem: natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwej materii do *pojęcia*; od punktu na którym nie ma jeszcze *uznania samej siebie w jestestwie swoim*, do punktu na którym sama siebie *rozumie*, z którego pojmuje działania swoje, — naostatek: w którym *uznaje się w swoim jestestwie*.

Jako cień drzewa rozściela się na płaszczyźnie, i jak się obraz tego drzewa maluje w ruchomym strumieniu, — tak cała natura z wszystkimi stworzeniami swemi, biegami, siłami, odbija się w ostatniej mocy, w ostatniej potędze swojej, — *w myśli człowieka*.

Rzeczy i ich naśladowane postacie, niechby się tysiąckrotnie na omylne i coraz omylniejsze kształty, w mgle powietrznej, to w wodzie rozbiły; gdyby w naturze nie było jestestwa mającego *pojęcie*: nigdyby samej siebie ani pojąć, ani zrozumieć nie odolała. *Pojęcie* tego jestestwa jej samej służy; tak jak głos służy słowu. W tej mocy sama siebie uznaje. Myśl nasza: jestto strojny dźwięczny akkord, brzmiący zgodnością wszyst-

kich razem pierwotnych sylab, rozrzuconych w przyrodzeniu. Promienista istota, w nas utajona, niewidzialna, na wszystkie strony się rozlewająca, na kształt fali poruszanej wody, i wszędzie rodząca czucie widzenia!... Ale niechaj lepiej wyjaśni to zrozumienie moje porządek *reprezentacji* w widomem przyrodzeniu, tak jako go uważają, za dni naszych, filozofowie natury, których mam we czei i poważaniu, choć ich obłożono zarzutem mistycznego szarlatanizmu. Najwyraźniej to pokazują stateczne i nigdzie nierozzerwane związki świata anorganicznego, czyli nieorganicznego z organicznym. Nic powabniejszego nad tę teorię powinowactw i związków natury nie mającej uznania we własnem jestestwie, natury martwej, zżywioną, wreszcie powoli zmierzającą do myśli i rozumienia. Że tym jednym tylko zastawię się przykładem: po złamaniu lub rozbiciu niektórych minerałów, na wewnętrznej powierzchni okrytej drobnymi cząstkami ich masy, postrzegamy blaszki połączone z sobą, nakształt listków korony w kwiecie. Nazywa się to w mineralogii odłamek blaszkowym, cobym wolał nazwać odłamek kwiatowym. Symetryczny częstokroć układ tych blaszek, około jednego punktu osadzonych na kształt listków, czyż nie zdaje się przepowiadać, w świecie martwych kamieni, roślinnej natury? I tak jest w rzeczy samej, jeżeli na sam kształt wzgląd nasz obrócimy. Granit, — to *maximum*, ta największa wyniosłość anorganicznej natury, jak go nazywa *Szubert* sławny naturalista w Niemczech, z trzech części jest złożony: z kwarcu, feldspatu i miki. W tym śladzie całe reprezentuje przyrodzenie! I tak: zamiast miki w granitowej skale znajduje się niekiedy szerl (*turmalin*),

czarnym kolorem, kształtem, masą złożoną z igiełek, jakby włóknistą, podobny węglom ziemnym. Poniekąd więc przypomina młodsze państwo roślin.*) *Syenit* od wielu geognostów nazwany młodszym granitem, dla tego, że ze wszystkich pierwiastkowych skał najpóźniej został utworzony składa się z ziarn *feldspatu* i *amfibolu* (hornblendy); ten ostatni ciemno-zielonym kolorem, postacią i większą miękkością, lepiej jeszcze niżeli *szerl* roślinną wyobraża naturę. — *Werner* na oko pokazał przejście *granitu* przez *gneysy* i góry łupkowe do piaskowca i węgla ziemnego, — a tem samem do wegetacyi. Wreszcie: zważywszy przejścia *miki*, panującej w składzie łupka mikowego, a w łupku glinianym, który stanowi dalsze tegoż utworu ogniwo, zbliżającej się we własnościach swoich do łupku ałunowego, zawierającego węgiel, rzeczy można, z niemałym podobieństwem do prawdy: „*że mika reprezentuje w granicie, i jest niejako hieroglificznym prorokiem działu roślin*“. Dalej. *Spat skalisty****) czyli *feldspat*, — druga część składowa granitu, — mający także odłam blaszkowy w kształt listek, po większej części jest białawego, cielistego i czerwonego koloru. Co, jak się podoba rozumieć *Szubertowi*, ma być oznaką postaciową, niejako figurą krwi zwierzęcej w świecie anorganicznym. Gdziekolwiek w późniejszych formacyach, okrywających skały granitowe, *feldspat* znika, tam pospolicie znajdują się warstwy wapna, w większych coraz rozciągające się masach. Ta okoliczność, oraz, że *feldspat* w składzie

*) *Handbuch der Geognosie* Szuberta; oraz: *Ansichten von der Nachtseite der Naturwissenschaft*; tegoż

**) *ibid.*

swoim wapno zawiera *), naprowadzają na wniosek: jakoby takowe było tylko przemianą *feldspatu*. A że od najdawniejszych formacji wahania do najpóźniejszych, po większej części złożonych z zabytków istot zwierzęcych, przejścia są ciągłe i nieprzerwane; stąd zaś przez stopnie pośrednie do działu zwierząt, które w częściach swoich składowych wapno zawierają; przeto: *feldspat uważaćby można w granicie jako reprezentanta czyli przesłannika i hierogloficznego proroka państwa zwierząt*. Naostatek: kwarc, trzecia część składowa granitu, stateczną niezmiennością swoją we wszystkich innych stosunkach, dział minerałów reprezentuje.

W tym to ciekawym składzie granitu, czyż nie zdaje się, jakoby natura anorganiczna, ustanowiwszy pierwotne ogniwa i początki wszystkich swoich utworów, niejako tellurycznym przeczuwała instynktem, co potem nastąpi? I jako się w wyższym i daleko doskonalszym porządku ukształcą życie, organizacya? — Krótke mówiąc: czyż te istoty, które najczynniej działają w organicznej naturze, nie są także najpotężniejszymi działaczami w anorganicznej czyli nieorganicznej i przeciwnie? Ciepło rozszerzone w całej naturze nieorganicznej, jest także w roślinach i ciałach zwierzęcych. Czyż nie bliski i nierozdzielny związek? Płyn elektryczny pod ziemią, na ziemi i w powietrzu rozlany, nadaje sprężystość muskularnemu systematowi i drażliwym włóknom roślinnym. Według nowszych spostrzeżeń: nie jest rzeczą niepodobną, żeby się w oku naszym światło rozwijać nie miało. Rośliny wyciągają największą część swojej

*) Według rozbiornu *Vauquelina* składa się feldspat z 64 części krzemionki, 20 glinki 2 wapna i 14 potażu.

substancyi z wody wszędzie rozpostartej; a główne części istot zwierzęcych mieszczą się w powietrzu atmosferycznem. Człowieku! Imię twoje— ziemia! Z ziemi ciało twoje, — choć z czterech stron świata przyniesionaj, Wschodu, Zachodu, Północy i Południa *). W ziemi mieszkanie twoje, czyż się w ziemię nie obrócisz? Czyż niema ziemi w naszych kościach? Czyż we krwi naszej nie płynie żelazo, — metal tak głęboko w łonie ziemi gniazda swoje mający? A złoto i inne kruszce czyż nie są dla nas lekarstwem, trucizną? Czyż zioła i rośliny ziemskie z różnych nas nie wyleczają niemocy? Czyż źródła, cudownemi uzdrawiające skutkami, nie sączą się ze skalnych zdrojowisk? — Jakież kres położyć tym związkom z każdej nieledwie strony, z każdego względu?... Górnik, prowadzony płochą chęcią, przedziera się do głębokich pokładów; częstokroć strach wielkoki obejmie go wkoło, kiedy posepnym blaskiem swojej latarni mignie w tajniach nigdy niezwiędzonych złego ducha. Czegoż szuka? Skarbu, — marnego zysku, najeczęściej nie dla siebie, dla innych, za małą nagrodę. Co innego uczony mineralog. Filozof ten przenika do szczerzej istoty i rzetelnego rozumienia kruszców, kamieni. Jest to podziemny Astrolog. Wedle bałamutnej gwiazdziarskiej nauki, nieraz się górne konstelacye ne los biednego zasępiły człowieka. Nieraz się mieszały ku zgubie wielkich mężów starego wieku, szyki niebieskie, biegi, ruchy, — toż wikłyły potajemne siły, — gasły światła. A jeżeli wzrok nasz z tej wysokości w ziemię zapuścimy, czyż kamie-

*) *Quatuor literis Adam, quatuor terrae partes contineri: orientem, occidentem, septemtrionem et meridiem*—**wyrazy** św. Augustyna.

nie, metale małoważny wpływ na ród ludzki wywarły? Po wieleż razy z ciemnej dali groziły nam pod ziemią konstelacye? Po wieleż razy w obiegu czasów uwodziły nas zdradzieckim uśmiechem, to znowu odłożeniem, roz biciem najśmielszych życzeń, najpiękniejszych nadziei! Po wieleż to razy złorzeczyliśmy i błogosławili tym mocom, tym dzielnościami podziemnym, tellurycznym? — Kruszec z otchłani, bity i cechowany napisem, czyż nie jest *primum mobile* i zarazem hamulcem wszystkiego na świecie? Czyż nie ruszył ziemskiej własności i czy jej z rąk do rąk chylimy nie prznosi obiegiem? Czy nie zmienia wszystkich między ludźmi i narodami stosunków? Czyż nie wprowadził w obrót i ruch tego, coby się może nigdy nie ruszyło z swego miejsca? Ten metal, prędki jak widzenie, przekupił statek, zachwiał cnotą, rozpalil wszystkie pożądliwości, uprząłnął wszystkie przeszkody, porównał wszystko z ziemią, z błotem, z którego jest wzięty i oczyszczony; rozczarował wszystkie powaby, rozbił urok wszystkich ponęt, — ostudził, oziębil zapał, którego żaden brzęk, ani srebrny ani złoty, nie zasili! Rozum mędrców i ludzi stare lata mających podbił pod pdsłuszeństwo swoje, — z nieba daleko w przepaść, w ziemię ich wrzucił. Wyostrzył dowcip, udoskonalił rachmistrzostwo, ale zwojował moc ducha. Niechaj, jako kto chce, tę myśl, która mnie tak daleko uniosła, rozumie; ja wierzyłem i wierzyć będę w *podziemną astrologię*, — w związki czarnoksiężkie, moralne i chemiczne, w powinowactwo, żadną mocą nierozzerwane, natury anorganicznej z organiczną, — w związki i powinowactwa kamieni, metalów z istotami rozmyślającemi, — a bardziej jeszcze *dumającemi*.

Tak, zapewne! mechanizm, nic nie pojmujący w wykładzie i rozumieniu zagadek przyrodzenia, nie zrówna wspaniałej umiejętności *Szuberta*, albo *Nowalisa*. Jakto?—może się kto zapyta,—więc rzeczywiście zostajemy w tak bliskim związku z temi malarskimi postaciami anorganicznego świata? Z temi oto skałami tak wysoko zawieszonymi w powietrzu? Te masy nieregularne, to cieniowanie rozliczne światła o ich białosc się rozbijającego, te zrozumiałe barwy, ta wielosc prawie nieskończona, mniejszych, większych przedmiotów, które rozrywają, myślą naszą uwagę,—cóż nas obchodzą, cóż mają z nami wspólnego? A przecie każda dzika okolica ciągnie nas taką ponętą ku sobie. Dlaczegoż tak wspaniale, tak ślicznie się wydają rwiste potoki, prędkie strumienie? W górach sytuacje niektóre podnoszą umysł do wysokości, czasem aż za ów błękitny przestwór, gdzie jest niebo, jako mniema prostota z prawdą w sercu, z szczerością w duszy. A przynajmniej, że go na jakiś czas odrywają od ziemi i rzeczy ziemskich. Tu i owdzie zdaje się, jakoby zrobione były dla rozweselenia wędrowca. Gdzieindziej jego radość i pociechę w smutek odmieniają. Sympatyczne uczucia łączą nas z ogromami spiętrzonych mas, które natura w przestrzeni poksztąpiła. Cóż znaczy to dziwotworne budownictwo? W innych znowu miejscach ten podróżny sam nie wie, co ma czynić, czy się cieszyć, czy smucić. Z rozrzewnieniem tylko ogląda naokoło siebie, dziwi się, wielbi stwórcy. Widoki takie zachęcają;—skądże to pochodzi? Daleka niechaj będzie oedynie wszelka afektacja czyli zmyślone, sztucznie naciągnięte upodobanie w pięknościach przyrodzenia. Natura ma tyle wdzięków, że ją bez afek-

tacy kochać można. Bądźmy jako dzieci, kiedy się ku niej zbliżamy. Przechodząc z równin w miejsca góryste, któż nie doznał kiedy tego na sobie, jak odmienne, coraz rozmaitsze są myśli i uczucia nasze?... Nietylko w wewnętrznym składzie swych utworów, np. granitu — jako się wyżej rzekło, ale także ze względu na postać wewnętrzną swoich mas, zamyka natura geologiczna uderzające podobieństwa, skazówki, godła wyższego organicznego porządku. Od pierwotnego, kulistego kształtu, przezwyścieżając ciężkość*), zmierza w napowietrznej wysokości ku podłużnej formie *stupa*. Ten, wedle zasad dzisiejszej filozofii natury, ma być symbolem magnetyzmu, — czyli w ogólności odskoku**), przeciwności. Zatem: twórcze przyrodzenie w anorganicznym świecie zewnętrznymi nawet kształtami olbrzymich brył, które do takiej wysokości podniosło, zdaje się wieszczym, że tak powiem, instynktem naprzód zgadywać figury okrągłostupiste drzew w naturze roślinnej, tudzież początkowe formy zwierząt, o ile takowe w głazach naśladowane być mogą. Jaśniej się to jeszcze w innym względzie postrzegać daje. Kryształy *szerlu* na powierzchni podłużnie narzynane, kształt zaokrąglony igiełek rozsianych w jego maciey, ścięcie, sklinowanie bocznych krawędzi. — czyż to nie wyraźne zbliżenie do postaci roślin? Lecz najwidoczniej odbijają się kształty organicznej natury w metalach. Tu szukać trzeba przejścia od kamieni do roślin i zwierząt. Najśliczniejsze farby, od szkarłatnej, krwistej granitu, od różowej, karminowej rubinu w niezliczonych odcieniach do

*) *Ansichten v. der Nachtseite d. Naturwissensch.*

**) Czyli tego, co Niemcy nazywają słowem: *Geognata*

pięknej zieloności szmaragdu, są rezultatem cząstek metalicznych, wchodzących do składu wzmiankowanych kamieni. (Granat, podług rozbioru Klaprota, składa się z 35,75 części krzemionki; 27,25 niedokwasu żelaza i 0,25 niedokwasu manganu. A rubin, podług rozbioru Vauquelina, składa się z 82,47 części glinki, 8,87 magnezyi, 6,18 kwasu chromicznego. (*Mineral. Drewins*).— Czyż to nie pokazuje zbliżenia się do roślin zawierających pierwiastki farbujące?) W masie wielu metalów są blaszki na kształt listków osadzone, które zdają się niejako składać tkanę komórkową, podobną zwierzęcej.— Jakże to wszystko rozumieć? W dalekiej starożytności utrzymywało się mniemanie, że kamienie silny wpływ wywierają na umysł człowieka. Pisali o tem Aristoteles, Dioskorides, Galenus i Pliniusz. Żydzi, osobiwie sprawujący wysokie urzędy w starożytnem kapłaństwie, od czasów niepamiętnych przykładali do piersi dyamentami wysadzone tarcze, godząc przepych z wiarą w jakieś czarodziejstwo drogocennych kamieni. Za naszych czasów wydobyto tę starożytną opinię z zapomnienia. Jeden z sławnych dziejszych naturalistów utrzymuje: że między minerałami a duchem ludzkim rzeczywiście bliskie zachodzą stosunki. Zdanie to umocowały w rozumieniu wielu innych naturalistów mnogie przykłady i doświadczenia. Czytelnicy nasi niechaj przypomną sobie: że w roku 1829 pisma warszawskie ogłosiły prospekt na dzieło pod tytułem: „Jasnowidząca z Prewost“ — które następnie wydał d-1 Kerner, sławny z biegłości w swej sztuce. Czytałem to dzieło. Jest to, że tak powiem, wywód słowny, zamykający opis zjawisk magnetyzmu i somnambulizmu, zdziałany przez świadków go-

dnych wiary podczas słabości *Fryderyki Hauffe*, którą potem nazwano *Jasnowidzącą z Prewost*, od wioski tego nazwiska, gdzie się urodziła, gdzie ojciec tej nadzwyczajnej ale nieszczęśliwej kobiety był leśniczym. Wioska Prewost leży w górzystej okolicy miasteczka Lewenstein w Wirtemberskiem. *Fryderyka Hauffe* poruczona została lekarskiemu staraniu d-ra *Kernera* roku 1826. Nieznośne boleści, z kurczów żołądka pochodzące, były początkiem jej długich cierpień, zaledwie na krótką ustawiających chwilę dobroczynnym skutkiem magnetyzmu, którego środka użyto, kiedy już wszystkie inne zwyczajne daremnemi się pokazały. Dwa lata trwała kuracya. Pomijam wszelkie inne fenomena podczas tego jasnowidztwa; lecz nie od rzeczy wspomnieć, jaki wpływ wywierały na pacjentkę różne minerały, które trzymała w rękę. *Kerner* zapisywał każde jej słowo, bacznie uważał każde poruszenie.— „Kryształ skalny—mówiła jasnowidząca — ma przyjemny zapach“. Ale gdy ten kamień przyłożono do jej serca, natychmiast odrętwiała. Całe jej ciało, od szyi do stóp, było wyprężone; mówiła od rzeczy. Tenże skutek za każdym ponawiał się przyłożeniem skalnego kryształu. Rubin wielkości ziarnka grochu wzniecił zrazu boleść w ramieniu pacjentki; czynił ją potem wielomówną, niespokojną; przyczem— jak mówiła — zimno rozpostarło się w jej całym ciele. Magnes wznawiał kurcze i gwałtowne sprawował zatrząśnienia.— „Kamień ten—są słowa jasnowidzącej—czyni mnie chromą, ale wesolą“. — Ze wszystkich metalów platyna najsilniejszy wpływ na nią wywierała. Równy moralny i fizyczny skutek sprawiały rośliny. Wawrzyn (*bacca lauri*) wprowadził ją w sen magnetyczny. Usypiała za każ-

dem dotknięciem laurowej gałązki albo listka. Rośliny jadowite, blisko niej położone, sprawiały odurzenie, mdłości. Szczególniejszy skutek, jaki u wszystkich jasnowidzących wawrzyn sprawia, czyż nie tłómaczy przyczyny: dlaczego niegdyś w kościele delfickim wieszczka laurowe potrzasała drzewo i laurowe gałązki składała na trójnogu przed rozstrzygnięciem czynionych sobie zapytań?... Dlaczegoż teraz kamienie na ludzi zdrowych nie działają w ten sposób? Dlaczego stan słabości zwanej jasnowidztwem, wznawia te, jak się zdaje, rozerwane stosunki natury anorganicznej z człowiekiem? Czy zatarła się ta własność początkowa kamieni i metalów? Czy też my sami podpadliśmy takiej zmianie we względzie naszej natury fizycznej i moralnej, że teraz tylko najstraszliwsze trucizny roślinne i mineralne działać na nas mogą? To jest: dopiero za dotknięciem i przyłożeniem do ciała. — A gdzie się moc *słowa* podziała, którą — jak niosą starożytne podania — tym niemym rozkazywaliśmy istotom? — Gdzież się podziała owa pierwotna dzielność woli ludzkiej, którą niegdyś i bez mowy, bez dźwięku podbijaliśmy pod posłuszeństwo swoje najpotężniejsze moce w naturze? Tak zaiste: przeciąg między nami a ludźmi starego wieku bardzo wielki. Jakżeśmy go przeminęli? Na to niechaj historia odpowie. Powinnością jest głosu oznajmić słowo myśli naszej; ale ten głos utracił dawną siłę; myśl zemdląła i słowo przestało być cudotworne. — Ten sam *Kerner* czyni z tego względu uwagę: że coraz bardziej odstępując od natury, wyszliśmy z powinowactwa, jakie niegdyś łączyło ściślejszym związkiem człowieka z innymi jestestwami organicznymi i nieorganicznymi. **Powiada on: że przez ma-**

gnetyzm te rozerwane związki znowu się u pewnych osób odradzają. I w rzeczy samej ku temu przyszło: że te osoby więcej widzą we śnie, niżeli my na jawie w zupełności sił i najczerstwiejszego zdrowia. Że teraz rozrządzamy siłami przyrodzenia, że stąd tak wielką gospodarską korzyść odnosimy, nie to nas nie zbliżyło do natury. Owszem, zdaje się, jakoby tem mocniej przeciwko nam się obwarowała i tem trudniejsze, a prawie nieprzełamane stawiała przeszkody, że tak chciwie swoje ku niej ręce wyciągamy, że tak usilnie i gorąco pragniemy zniewolić to musem, to fortem wszystkim jej własności, biegi, misterstwa, praktyki, aby *tylko* domowej potrzebie naszej służyły. Natura jest otwartą księgą, mającą za naszych czasów więcej miłośników niż czytelników. Za odstąpieniem od przyrodzenia wygasł instynkt z wszystkimi swemi cudownymi przymiotami; słabnie władza, niegdyś tak dzielna *przezwuwania*, przenikania natury i zgadywania jej nawet zamiarów,—jej trybu postępowania. Znikły cudowne dary wielu ludzi; szukać ich teraz potrzeba za granicą teraźniejszej kultury, między dzikimi, albo w stanie niezleczonej jakiejś niemoicy. Dzisiejsza cywilizacya coraz usilniej pod czezum pozorem mistycyzmu i zabobonów zaciera, zatarła wszystkie wrodzone zdolności pojmowania natury bez doświadczeń i sztucznych aparatów, toż rozkazywania jej najmocniejszym siłom samem chceniem lub uskramiania takowych niechceniem. Owe pierwotne związki ludzi z naturą zastępuje teraz nauka, która, jako się później przekonamy, *nauką nie jest*. Nauka, umiejętność—wielkie słowo! Życie wogóle wszystkich razem stworzeń zaczyna powoli ustawać. A pole naszych empirycz-

nych wiadomości jest na kształt ogrodu zasianego pożytecznymi warzywami *); piękniejsze, wspanialsze kwiaty w tym kuchennym ogródku zdają się być z pod obcego nieba przeniesione i w roślinnej hodowanej cieplicy. Licho się też krzewią. (Wzmiankę o *Jasnowidzącej z Prewost* uczyniłem był w „Kuryerze Polskim“; z tego powodu nadmieniam: że pewien doktor filozofii, wydawca „Pamiętnika umiejętności i literatury“, umieścił w swem piśmie artykuł *Jasnowidzącej z dziennika francuskiego „Revue Encyclopedique“*. Artykuł, w którym się cała cześć maluje, nie wielu już w zastępie swoim stronników lieżącej francuzczyzny XVIII wieku. „Kuryer Polski“ w roku bieżącym zarzucił uczonemu wspomnianego Pamiętnika wydawcy *horrorem meditationis*. Zaczny filozof nie wyszedł jeszcze z tego obwinienia. Iści się to na obecnym przykładzie. Z mojej strony muszę go tu obłożyć cięższym jeszcze zarzutem, wcale nie przypadającym do miary z szumnym tytułem wydawanego przezeń pisma, które nazwał *Pamiętnikiem umiejętności i literatury*. Muszę bowiem powiedzieć: że zaczny doktor ma *horrorem scientiae!!* Co jest rzeczą daleko bolesniejszą. Godziłoż się mu w terażniejszym stanie wiadomości pod względem magnetyzmu przełożyć tak źle pomysłały, źle napisany artykuł i częstować nim swoich czytelników? Toż własnem dowcipowaniem, dalekiem od filozofii, której jest doktorem, podszywać się pod cudzy płaski dowcipek? Godziłoż się mu nie wiedzieć tego, że dziennik „*Revue Encyclopedique*“, choć bogaty w rozliczne wiadomości, przez samych jednak światlejszych francuzów obwołany

*). Wyrażenie *Steffensa*.

został za rozmnożyciela i patrona wszystkich opinij technicznych obskurantyzmem pod względem i estetycznym i naukowym? Wydawca tak filozoficznego dziennika, nie jest przecież *najfilozoficzniejszy* w wyborze przedmiotów, któremi zapełnia pismo swoje. To przyznać potrzeba, *cela va sans dire*. Jestto stek zwietrzałych maksym. Zapewne w duchu tych maksym odsyła wydawca tych wszystkich, „którzy się dowoli naczytali jasnowidzeń wieszczki z Prewostu i już się ważnością różnych z tych wniosków przejęli“ — do dzieła doktora Hilberta o *widmach*, które jako skuteczny *antidot* zaleca. Zaleca także wydawca zapowiedziane dzieło *Waltera Skota: Historję demonologii i czarnoksięstwa*. Nareszcie powiada: „że podobnego rodzaju przedmioty dają się także *popularnie obrabiać* (?); widzieliśmy to w narodowej powieści *Panna Floryanna*, która była także jasnowidzącą z wieku XVI.“ — A trzeba wiedzieć (może myślę się w zdaniu mojem), że tę powieść pod tytułem *Panny Floryanny* sam wydawca napisawszy, umieścił w swoim *Pamiętniku umiejętności*!! Zachodzi teraz pytanie: do jakiego działu *ścisłych umiejętności* należy ta *Panna Floryanna* XVI wieku? Do jakiego działu literatury i sztuk pięknych? Czy do satyry? (może na rozum samego autora). Czy do epigrammatu? — Ale wołę *demonologią* *Waltera Skota*, wołę doktora *Hilberta*, wołę nawet, gdyby wybierać przyszło, ów przedmiot „*popularnie obrabiany*“ to jest powieść o *Pannie Floryannie*, niżeli całą *Filozofią* i *Estetykę* wydawcy *Pamiętnika umiejętności*).

Bądź co bądź, wszystko to mnie utwierdza w rozumieniu: że natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwej materji, od pierwotnych

kształtów do *pojęcia*. Czyli innemi słowy: od punktu, na którym *nie ma uznania samej siebie w jestestwie swoim*, do punktu, z którego sama siebie i wsaystkie swoje *rozumie* działania. Jest związek niezaprzeczony, oczywisty między naturą nieorganiczną i organiczną; jest postęp ciągły, jest nieprzerwany od mechu, porostu do palmy, będącej najwyższym wierzchołkiem działu roślin, jako granit jest największą wyniosłością w świecie anorganicznym i t. d.

Nie masz w tem żadnej trudności, żadnego zawikłania. — Zmierzam dalej do kresu, rozumując jako następuje:

Przypuścmy, że w hierarchii stworzeń nie-masz ani jednego *rozeznawającego* co się w niem samem dzieje — *wiedzącego* nie tylko rzeczy zwierzchne, ale i *siebie*. Gdyby tak było, któżby pojął naturę? I ku jakiemuż końcowi toby się wszystko chyliło? Komuż świeciłyby górne koła, od tylu tysięcy lat nieomylnie w biegu swoim? Dla kogo strzegłoby morze granic swoich? Jakiż wreszcie kres naznaczylibyśmy drogom mlecznym i niezliczonym orszakom niebieskich ciał?... Dla natury trzeba jasności. Tą jasnością, tym świecznikiem przyrodzenia, tą lampą światów jest myśl człowieka-aniola. Cała natura w niej się maluje, jak obraz nadbrzeżnych kształtów w ruchomym strumieniu, — jak cień rzeczy na zwierciadle. Wszystkie ku temu zmierzają przeciwieństwa, wszelka tożsamość, wszystkie siły i poruszenia. Jeśli naturze odejmiemy tę *myśl*—cóż pozostanie? Martwy *niepojęty od nikogo* porządek. Co być nie może. Bez tej myśli, natura nie miałaby ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia, i byłaby jako obwód

bez środka, albo jako grób ciemny, gdzie znikąd światło nie wpada.

„Nie bądźmy“ — mówi pismo, — „jako oczy, które na wszystko patrzą, a same siebie nie widzą.“ — Otóż pierwszy początek wszelkiej filozofii! Od tego zaczyna się wszelkie rozumowanie. Jest światło wszystko rozjaśniające około siebie, a wewnątrz ciemne. Takim światłem byłaby myśl ludzka, gdyby samej siebie nie *wiedziała*. I przeciwnie: światło jakiegokolwiek, *wiedzące* że jaśnieje, byłoby *myślą*, — *pojęciem*; byłoby słońcem, — duszą świata. Myśleć i to wiedzieć, i w tem myśleniu się rozumieć, jest to „*być*.“ „*Być*“ — jest to tylko być *przedmiotem*, *obiektem* dla samego siebie. Kto nie może być przedmiotem dla samego siebie, i w tem się bezprzestannie uznawać, — ten nie jest. Cała różnica między człowiekiem i kamieniem, i metalem, którego cząstki we krwi jego płyną, i ziemią, która się w jego kościach znajduje! Kto tego, że jest nie wie, jest tak, jakby go nie było. Jest, ale dla kogo innego, nie dla siebie... Jestestwo nasze w myśli się odbija. Odbijając się w myśli, rozdziela się na dwoje. *Myśl* jest istotą naszej istoty; nosi na sobie nasz cień, nasze podobieństwo, nasz obraz. Ten cień wewnątrz nas się rozpościera. W myśli mamy grunt *pod sobą*, mamy wewnątrz nas *ujęcie* samych siebie, — toż środkowy niejako punkt całej sfery bytu naszego. Myśl jest jako czyste zwierciadło; co ukażesz, to się też w niej ukaże. Patrząc wewnątrz nas, widzimy samych siebie; wiemy samych siebie; dla samych siebie stajemy się przedmiotem *widzenia*,

i niejako rzeczą oddzielną *). — Póki nie przyjdziemy ku temu *rozdwojeniu*, póty nie mamy jestestwa. Być dla samego siebie przedmiotem widzenia, jestto myśleć. Myśleć jestto żyć. Życie nasze od tego punktu się zaczyna. Nie wtedy, kiedy się w brzemieniu macierzyńskim spoiły nasze członki, nie wtedy kiedyśmy się na świat narodzili, — ale kiedy *wiemy siebie*, dopiero wtenczas przychodzimy do jestestwa. Otóż najpierwszy warunek bytu!

„Ale“ — powie kto, — „natura nie myśli, więc nie ma uznania samej siebie, — więc podług tego, co się wyżej rzekło, *nie jest*.“ — To mylny wniosek. Natura jest — bo myśl, duch jest częścią natury. I natura z tej tylko *jest* przyczyny. Prawdziwa umiejętność przyrodzenia zmierza do tego, żeby okazać: jaki związek zachodzi między *tem co jest i tego że jest nie wie*, a *tem co jest i wie że jest*. A zatem: od widomego do niewidomego. Tak jak dawna *ars separatoria segregatoria*, — (dzisiejsza chemia), — zaczawszy poszukiwania swoje od najcięższych *substancyi*, od metalów, przeszła z czasem do *inponderabiliów*, do badań ze względu powietrza, światła magnetyzmu, elektryczności. W rzeczywistej nauce przyrodzenia, której *metoda*, czyli tryb postępowania jest filozoficzny, umiejętny, niemasz innej dążności tylko: *od natury widomej do ducha*; jakby od dźwięku zewnętrznego głosu słowa, do wewnętrznego rozumienia, które ten głos wyraża. Teorią natury nie jest encyklopedyczny słownik nazwisk i do-

*) Toć jest co wyraża owa formuła szellingianizmu: — *das beständige-sich-selbst-Object-werden-des subjectivem.*“

świadczeń podzielonych na rozdziały; ale jest ta teoria: systema praw, podług których natura tworzy i działa. Zewnętrzne niejako fenomena nikną, rozpraszają się; zostają tylko formy, biegi, siły poruszenia,—matematyka, *spekulacya*. — „Optyczne fenomena“ — słowa wielkiego Szellinga, założyciela w naszych czasach prawdziwej umiejętności przyrodzenia, ugruntowanej nie na doświadczeniach, (których pewność względna tylko, i warunkowa być może), ale na zasadach mających za sobą oczywistość niewątpliwą, powszechną, bezwarunkową, — „optyczne fenomena, niczem innym nie są, tylko geometryą, której linie w świetle się rozbiegają, a to światło jest-że materyalne? Z tego względu zostajemy jeszcze w wątpliwości. W jawiskach magnetyzmu nikną już wszelkie materyalne ślady; a fenomenów *grawitacyi* pojąć nie zdołamy bez przypuszczenia bezpośredniego niematerialnego wpływu.“ — Tak wszystko się uduchowia w naturze; wszystko zmierza ku temu *co żadną nie jest rzeczą* i przedmiotem rozbioru, analizy, być nie może,—*do myśli, do pojęcia, które same siebie pojmuje, rozumie*. Patrzymy na świat: któż przodkuje wszystkim jestestwom? — Człowiek. — Któż jest człowiek? — Ostatnie ogniwo łańcucha stworzeń. — Przeto jest częścią natury; częścią jednej całości. Człowiek ma myśl, ma pojęcie. Zatem i natura tę myśl mieć musi — z samej konieczności i konsekwencyi loicznej tego rozumowania. Myśli ona naszą myślą, i sama siebie naszem pojmuje rozumieniem. W człowieku, jako częście całości swojej przychodzi *do refleksyi*. *Tu się uznaje w swoim jestestwie*. W nas w środkowym punkcie istoty naszej staje się natura **przedmiotem dla samej siebie**. — Są-li to czeze

słowa? Nikt nie zada nieprawdy temu rozumowaniu, kto pojmuje stosunek części z organiczną całością. A zatem:

Skoro przyznano, że jest ciągle i nieprzerwane stopniowanie w naturze;

Że między bezwładnością nieorganicznej materii, nie znającej swego bytu, a myślą, która sama siebie pojmuje i tem pojęciem wszystko ogarnia, — że między temi dwiema kończynami, między temi dwoma biegunami kreacyi jest związek nierozdzielny, ścisły, statecznie trwający; naostatek:

Ponieważ myśl jako część naszego jestestwa; a samych siebie jako część natury uważać powinniśmy; przeto:

Myśl nasza koniecznie częścią natury być musi, — w takim samym stosunku, w jakim duch względem ciała zostaje. — (Z czego zarazem wynika musiem nieodpartej konieczności: że umiejętność przyrodzenia z dwóch części składać się powinna, jednej materialnej, a drugiej duchowej,—*intellektualnej*).

Ale jakże to wszystko przypada do miary z polską literaturą? — Może się nie jeden zapyta czytelnik tego pisma. Odpowiadam: kto chce baczniejszy, nie powierzchowny tylko wzgląd rozciągnąć na literaturę jakiegokolwiek narodu, powinien z dala upatrywać cel swojego pisma; a przede wszystkim zdać sprawę: jakim rządzi się mniemaniem w tej mierze? Toż rozwinąć widoki, pod które wszystko podciągnąć przedsięwziął, żeby się potem nie wachał i nie przeciwiał samemu sobie. Konsekwencya jest duszą takiego pisma. Nigdzie od niej odstępować się nie godzi.

się zawczasu nie wypowiadam: jak widzę rzeczy i z wierzchu i wewnątrz, i do czego się mają?— Literatura wyciągnięciem jest na jaśnią myśli narodu. W niej, że tak rzekę, czujemy się jak potężnie. Więc z tą *myślą* rozwieść się musiałem, wszystko ku niej ciągnąć w całym przyrodzeniu. Polska niesie przypowieść: kto do cudzego domu wnijdzie, gospodarskiej woli dogadzać musi. Tak samo kto to pismo weźmie do ręki, niechaj zemną rozumuje. Tą prośbą zamykam przemowę do czytelnika; rzecz moją tak dalej prowadząc ku końcowi:

Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swoim, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą—owóż niezaprzeczone, niezatrącone prawo w rodzie ludzkim, i najdostojniejszy przymiot człowieka! Lecz tej własności rozwiniętej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie, — zamknięty, ograniczony jako *monada*, z której nie ani na zewnątrz wyniść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, *ideje* drzemają uspięne w zarodku. Ciche, bierne życie najpodobniejsze *vegetacyi*. I w rzeczy samej: zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza proces powszechny formacyi wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i schody pośrednie, tę samą drogę, od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki: toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historii. Od bezwładności do pojęcia! Od punktu, na którym jesteśmy nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy *uznanie* nas samych we własnym, *oddzielonem* jestestwie. Patrzymy się

na dzieci nic nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonej iskry w nich nie roznieciła, i żadna *refleksya* nie wniosła rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakształt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty na około siebie w zamieszaniu, w wątpliwem postrzegają światło. Rozliczne, coraz nowe wrażenia płaczą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja, prędko, silnie zajmują dziecię; dla tego chwieje się wśród mienionych coraz kształtów, postaci, obrazów. Ułuda, omamienie, pusta wesołość, strach i smutek niecone lada fraszką, mijają, i znowu wracają w tej porze ufności, szczęścia. Takie pojęcie, takie uczucie. Dzieci ani dzielić, ani odosobniać nie umieją. Nie rozrywają tego, co na jedności zależy. Wielkie też massy w najprostszych widzą zarysach; i choć samych siebie nie pojmują powielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych zakrytych i napozór niedostępnych ich pojęciu z podziwieniem naszym dalej przenikają, jak ludzie stare lata mający, żartkiego dowcipu, bystrogo rozumu. Ściślejszym związkim niżeli my połączone z całą naturą, zostają pod ową porę w zgodzie wszystko ogarniającej wszechrzeczy; ku czemu nikt potem nie przyjdzie ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych,—ani tęsknicą!—Gdy zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolej bytu; a tej odpowiednią moglibyśmy znaleźć w dziale zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem; za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Nie długo potem dają słabe

oznaki wyższego pojęcia; następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec swawolny, bujny, — potem nieukrócony, burzliwy, — namiętny i tkliwy, i pełen uniesień, Z całości się wyrывa; z powszechnej wydiera się zgody we wszech rzeczy jestestwie. A potem zabrzmi, zagrzmi mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonice. Jest natenczas *osobą*,*) jest szczegółem, indywidualną istotą, — samolubem, — „*ja*” — Jeden raz na życiu swoim, każdy z nas był w raju, nim wyszedł z lat dziecinnych; w przeciągu między brzaskiem, świtem, jutrzeńką, — w rozdziale między wschodem i południem lat męskich! Nim zaufał własnej sile, i zaczął oddzielnie egzystować w sobie dla *siebie!* Nim zaczął być osobą. Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdzierniona, nierozszczepiona *monada*, rozwierać się powoli zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy; wzrasta w sercu. Młodzieniec mężniejąc wie dzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z którymi dotąd w zgodzie i jedności zostawał, — i myśl się jego na zewnątrz wydiera z boleścią, jako się dziecięce zęby boleśnie z dziąseł wyrzynają. Przeszedłszy ku swej zupełnej sile, wyosobniony ze wszech rzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie; bo jest *osobą*, bo jest *sobą samym*. Już nie jest w naturze, ale zewnątrz natury, z pewnego względu

* *Osobą!* Ten wyraz w polskim języku zawiera filozoficzne wyobrażenie. Znaczy zaś: „jakoby tylko był *sobie*, w *sobie*, a nie komu innemu”; albo: jakoby był *osobno*, nie razem“. Kamiński mówi: *persona—per-se-stat*.

za jej okresem. Natura zaczyna być dla nas *przedmiotem*, czyli *rzeczą oddzielną*. Człowiek *wiedzący siebie*, myśl swoją, i wolę swoją, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczeń początek! Teraz dopiero bada, rozumie, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi, i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo... Jedna linia przez wszystkie lata życia naszego się rozciąga; z początku w ciemnych niknąca punktach, jak we mgle, i w mroku, — dalej coraz jaśniejsza, wyraźniejsza; naostatek samą jest *jasnością*, promieniem, światłem, — wewnątrz obróconą źrenicą — widzeniem siebie, okiem ducha, — „uznaniem samego siebie w oddzielnem jestestwie”. — Otóż niedościgła zagadka naszego bytu!... Pierwszy człowiek, jak wszystko *żywiące*,*) z łona natury jeszcze *niewyłowiony* spał snem twardym we śnie niewypowiedzianego szczęścia. Powoli zaczął się budzić z tego *snu na jawie*; i wychodzić duszą, myślą z wszech rzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem, istotą *rozumną*, — jednostką dumającą. Cóż go dotąd zaszczyca po tylu wiekach obłądnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu *jednostki*, egoizmu, samolubstwa, — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku, — w tej harmonii, tej cudo-

*) Wyrażenie biblijne. Przekład Wujka

twórnej tonice całego świata!... Temi oto słowy skreśliłem początek, następstwo, treść, szyk i koniec dziejów rodu ludzkiego. Toż samo bowiem słowo w słowo ziściło się w historii wszystkich ludów, co się na każdym człowieku, przez wznowienie tej samej przyrodzonej kolei, codziennie przed naszymi iści oczyma. Jest rdza, która wszystko pożera, — nawet blask dawniejszej wielkości, i piękności natury ludzkiej. Są uroki, co niemoc zadają oczom naszym, że jak oczy sobie przeciwko słońcu nic w przeszłości nie widzą, prócz tej wypowiałej szaty, jaką dzisiaj nosimy. Toć jednak prawda zapisana jasnymi, i bardzo czytelnymi literami w naszym sercu: *że kiedyś in-szemi byliśmy*. Bez tego nawet przypuszczenia ani pojąć nie można terażniejszości. Czas obecny *stał się*—jest tylko *produktem*. Historia uczy: jako się stał? Umiejętność historyczna jest *konstrukcją* czasu. Pierwsza w dziejach epoka anorganiczną przypomina naturę. Ma ten sam kształt i podobieństwo. Tam w dali niedościgłej postrzegamy kolosalne postacie, pierwszych synów ziemi, — malar-skie figury, grupy patryarchalne. Wielki był człowiek w początkach. Są to niejako skały pierwias-tkowej *formacyi* w porządku historycznym. A dalej, następujący okres: czyż nie przypada do miary z wegetacją w naturze onorganicznej? Czasy peetyckiego natchnienia, zapału? Nie sen-li to rzeczywiście? Fantazja włada w tym świecie, i jako duch nad ziemią się unosi po uskromieniu burzli-wych żywiołów. Stwarza, czaruje! Fantazja w hi-storyi rozpościera się i mija niby sen, albo mgła w świetle księżyca, kiedy gwiazdy rzesisty blask sieją na ziemskie obszary. Nie jestto ani jasność słońca w południu, ani ćma nocna, — ale blask

miły, który nie razi oka, i łączy między tą i tamtą. Wszystkie tu kształty ponętne mają wejście. Więcej we wszystkim poezji i dumania niżeli rzeczywistości, rozumu. Co atoli brać potrzeba w znaczeniu przenośnym. Dopiero w trzeciej (naszej) epoce czysty rozum rządzi światem. Czyż ta epoka nie przypada do miary z wyższym porządkiem w naturze i doskonalszą organizacją? Trzy są działy w przyrodzeniu, trzy w dziejach okresy. A porządek, następstwo niewątpliwie takie: na początku *spół-istnienie* we wszech rzeczy jestestwie i życiu wszystkich razem stworzeń. Harmonia światów Platona! Rajskie mienie, bez wiedzy, bez uznania, w tonice i powszechnej zgodzie. To pierwszy okres! Przed wywołaniem z niebieskiej ojczyzny, kiedy jak aniołowie jednym wszystkim rozumieliśmy wejściem, i w jednym oka mgnieniu świat wszystek przebiegali, i naukę zaraz mieliśmy od stworzenia swego, — bez syllogizmu, mędrkowania i wniosków, tych szczudeł roztargnionej potęgi natury wielkiego geniuszu, w którym przedtem była i zgoda i harmonia i jedność nierozdzielna, i moc *pojmowania* wszystkiego bez czasu, i *pojęcia* samego siebie! — Dalej: odwrót opacznej woli; odstępstwo człowieka od porządku ogólnego, — wydarcie się ze wszech rzeczy jestestwa. Czas tworzydeł fantazyi, wiary, uniesień, — smutku, melancholii. Wysoka poezya człowieka, — mrok w blasku posępnym i łagodnym świetle księżycy. Prawdziwa romantyczność! Człowiek jest tylko snem, cieniem w tej pięknej epoce, której w naturze wegetacya roślin odpowiada. To wiek pośredni między Boskiem *natchnieniem* pierwszego, a rozumem albo raczej

umem ostatniego. Ten tedy jest drugi okres! Narzecie *jasność* południa, pojęcie samego siebie, doskonała *refleksya*. Czas egoizmu, rozumowania, filozofii; w tym czasie my żyjemy. To trzeci okres! Cel historii taki: „*Bądźmy jako dzieci*“, ale w *umie*, rozumie, w uznaniu siebie samych w jestestwie naszym... Powtarzam raz jeszcze, czego dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: — myśl, że kiedyś, w początkach świata, człowiek był inny, pojętniejszy, szczęśliwszy, choć tego nie wiedział; myśl tak zwanego złotego czasu, myśl raj, myśl błogich chwil, bliższego z naturą powinowactwa, ściślejszego związku z Stworzycielem nieba i ziemi; myśl ta, — albo raczej: to jako mgła snujące się, dalekie wspomnienie tkwi pod rozlicznymi postaciami w każdym systemie poetyckim, w każdym układzie pojęć religijnych, w każdym porządku filozoficznym wyobrażeń ledwo nie wszystkich ludów starożytnych. Świadectwa godne uważania. To pierwszy okres. Dalej: — myśl późniejszej, nigdy niewybadanej rewolucyi w moralnej naturze człowieka, za wiadomością złego i dobrego, a zatem przez rozróżnienie jednego od drugiego, a zatem przez *wiedzę*, a zatem przez „*się*“ — jako mówi genialny spóziemianin nasz, *Nepomucen Kamiński*, tak głęboko częstokroć przenikający do szczerzej istoty, a potajemnych i zakrytych rozumień w języku polskim; myśl tej okropnej, tajemniczej ale koniecznej rewolucyi, która zburzyła jedność w naturze, zgodę wielką w umyśle, szczęście, prawdę w porządku moralnym; która wyrwawszy człowieka ze wszech rzeczy związków nierozdzielnych, z samym sobą uczyniła sprzecznym, niezgodnym, nie teraz *nie* *pojmującym bezpośrednio*, dlatego, że pierwaj siebie *pojąć* musi, że-

by pojał cobadź innego; myśl ta poważna, starżak świat, wypełnia historję tylu rozsianych pć ziemi plemion; jest treścią, osnową ich dziejów To drugi okres. Toć właściwie początek historji,— co do czasu. Historja zaczyna się od *rozdwojenia*, a raczej rozstrojenia wewnątrz nas. (*Rozstrojenia*. Dlaczego? — *Kamiński* to pięknie i z bardzo filozoficznym rozumieniem języka własnego wytlóma czył w swem nieoszacowanem piśmie (patrz „*Haliczanie*“, tom I na str. 97). Oto są jego słowa:— „*Moje ciało jest ciałem; ale moje ja duch; ja się duchem widzę, a patrzę ciałem; a kiedy pa-trzę, wtenczas szukam przez trzy w czasie: przez swoje Ja, przez się i przez to czem patrzę, przez moje ciało (zmysły)*“. — „*Ja kiedy pa-trzę, wtenczas szukam tego, co już we mnie było, com już wiedział, czego miałem wid, ideę z idei, z Boga, w którym byłem, bom z Niego.*“ — Wielkie w tem rozumienie *Kamińskiego*, bo jak wiadomo, uznanie samego siebie“ jest *dryadą*. Najprzód jest myśl; powtóre jest wiedza tej myśli czyli wewnętrzne poznanie, *objawienie* (wyjawienie się tego *ja* wewnątrz), a potrzebie *rezultat* dwóch poprzedzających: „uznanie“. Od tego punktu: kiedyśmy sami dla siebie zaczęli być przedmiotem *widzenia*. Od refleksyi. Przed *refleksyją* nie było czasu; bo czas (a zatem historja) rodzi się z następstwa myśli, przez rozumowanie. Pięknie tedy i bez głębokiego w tę rzecz wejżenia ktoś powiedział: „iż w tem, że rozumować i myśleć możemy, najoczywistszy dowód naszego zboczenia, upadku“. — Naostatek: myśl, że człowiek dąży do *odzyskania* owego stanu, to jest: „żeby“ — jako pismo mówi — „*gołębią prostotę z wężową łącząc chytrością*“, czyli innemi słowy, co na jedno wypada z tego przenośnego

rozumienia: żeby *umem*, rozumem, żartkością i przenikliwością swego dowcipu, toż głębokiem a jasnem samego siebie *pojęciem*, ze wszystkimi dary i dzielnościami cywilizacyi, które z tego *pojęcia* wypływały, był tak dobry, tak niewinny, tak cichy i natchniony, jak ów pierwszy człowiek przed wywołaniem i tułactwem swoim, kiedy go Stworzyciel nieba i ziemi posadził ręką swoją w raju, — kiedy po raz pierwszy w świecie pierwszej różanej jutrzeńki ujrzał wspaniałe dzieła natury i wszystkie razem dziwy na ten widok serce jego opanowały, — kiedy Bóg dziewosłębił pierwszej parze; — myśl, że tego dążenia niezatarte ślady postrzegać się dają w sprawach, klęskach i powodzeniu wszystkiego rodu ludzkiego; myśl Opatrzności prowadzącej człowieka *za rękę* ku temu dalekiemu jeszcze celowi, — jest myślą największych filozofów, historyków teraźniejszego wieku. To trzeci okres. Te trzy rozległe pojęcia: pierwotnej wielkości, odwrotu opacznej woli i *odzyskania* czyli powstawania dźwignia się z upadku (w ciągłym ku temu kresowi postępie rodu ludzkiego) są nicią wątkową historyi, — są odmotaniem wszystkich zagadek nierozdziernionej żadnem innym przypuszczeniem płataniny.

Ta jest teoria *uznania samego siebie w swoim jestestwie*, którą z wielu stron i pod wielką roztrząsałem względami... Atoli nie wszyscy ludzie tę kolej przechodzą. Niektórzy zastanowiwszy się na wpół kresu, trwają do ostatka w niemowlęctwie źle rozwikłanej myśli. Tak się i z całemi dzieje narodami. Zaiste! Nie mała to rzecz być musi *uznanie samego siebie w jestestwie swoim*, kiedy przeto jedynie człowiek staje się *re-*

nia i wszystkich na świecie stworzeń. Ale ten tytuł zaszczytny służy tylko *myślącym*, rozumującym ludziom, w których myśli zgromadzone są wszystkie po całym przyrodzeniu roztracone błyski to życia, to rozeznawań. Ci co nie myślą, albo myśląc myśli swoich nie wiedzą, co nie przyszli jeszcze ku temu rozdziałowi, iżby sami dla samych siebie byli niejako zewnętrznym przedmiotem uwagi i baczenia: ci żadnego prawa do tej wysokiej chwały nie mają. Nie *znając* samych siebie, czyż mogą znać drugich i innym przodkować stworzeniom? Tacy w niższym mieszczą się rzędzie. Mają myśl, ale nie *swoją*; bo jej sobie nie przywłaszczyli. Mają pojęcie, ale niem nic nie pojmują. Są, *ale dla drugich*, nie dla siebie. Oni żadnego zgoła nie mają jestestwa. Nieme posągi na scenie życia! Pospolicie też rządzą się instynktem nie rozwikłanym w jasność rozumu, cudzą radą, albo zwyczajem. Co jest złego na świecie, poszło z takich ludzi, Nieszczęśliwi.

W bystrej, żartkiej myśli, w opatrnej radzie, w poważnem słowie maluje się godność duszy ludzkiej. Te zalety zdobią męża; niemi jaśnieje; w nich ma uznanie samego siebie w swoim jestestwie.

W rozważnem działaniu, w mądrej sprawie, w silnem wyrażeniu ducha, w śmiałem wyciągnięciu na jaśnieję spólnęj myśli, maluje się godność i dostojność wielu takich mężów.

Ci wszyscy razem zebrani w całość składają jeden naród, mający jedne prawa, jedną wspólną ojczyznę.

Jeden człowiek, gdy myśleć zacznie, przychodzi ku uznaniu samego siebie; tak samo i ca-

ły naród w myśli swojej toż uznanie samego siebie w jestestwie swoim mieć musi.

Jak myśl jednego człowieka zamyka w sobie, że tak powiem, istotę jego istoty, tak zebranie w całość wszystkich razem myśli *reprezentuje* istotę narodu.

Ścisłe rzecz biorąc: naród, nie jest to zbiór ludzi zamieszkałych na przestrzeni, określonej pewnymi granicami. Ale raczej istotą narodu: jestto zbiór wszystkich pojęć i uczuć odpowiadających religii, instytucjom politycznym, [prawodawstwu, obyczajom; a nawet: będących w ścisłym związku z położeniem geograficznym, klimatem i innymi warunkami empirycznego bytu.

Że jedne narody giną i śladu po sobie nie zostawiając, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, zkadże to pochodzi? — Co sprawia tę tak ważną różnicę? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie w masie swych myśli i wyobrażeń; a jestestwo pierwszych zasadzało się jedynie na zmiennych, przemijających warunkach bytu, to jest: na pewnej liczbie indywiduów, które mieszkając w przestrzeni określonej pewnymi granicami, nigdy samych siebie w jestestwie swoim nie uznały; *uznania* tego świadectw ani piśmiennym dostatkim, ani w dziełach sztuki potomności nie przekazały; — a tem samem żadnej *reprezentacyi* czy to w moralnym, czy umysłowym, czy estetycznym świecie mieć nie mogły. Takie zbiory indywiduów, są naksztalt cząstek materyi, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki *mechaniczne* łatwo rozrywają i niszczą.

Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy ma to *uznanie samego siebie w swoim jeste-*

stwie, a już pamięć jego nie zaginie. Wyrazi się bowiem, wyjawi, zasłynie. Będzie miał poetów, sztukmistrzów, dziejopisarzy, mówców. Uczucie to bowiem, kiedy się naród w swoim jestestwie nierozdzielonem czuje jak potężnie,*) jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wszystek w niem wyjawiać musi, wyrwać na jaw, wynurzyć—swoje „ja“ na oko pokazać.

To wyrażenie ducha, to wyciągnięcie myśli wspólnej na jaśnią, ta ogólna masa wszystkich razem wyobrażeń i pojęć, cechujących narodu istotę, „stanowią literaturę tego narodu.“

Do tego zmierzały poprzednie rozumowania. Zajmując pod jeden widok to wszystko co się do tąd rzekło, wyznaje:

Że naród jedynie tylko w literaturze ma swoją *refleksyę*;

Że jedynie tylko w masie swoich wyobrażeń i myśli ma wewnętrzne ujęcie, ma grunt pod sobą i uznanie samego siebie w jestestwie swoim.

Ważna prawda! — Jest więc literatura z pewnego względu jako *sumienie* narodu. Z czego wypada: że naród nie mający własnej, oryginalnej literatury, to jest, nie mający wyciągniętej na jaśnią powszechnej masy wszystkich swoich wyobrażeń, pojęć i myśli, jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przestrzeni określonej pewnymi granicami, którzy jeszcze moralnego ogółu nie składają... Nie dosyć na tem, że *jesteśmy*; potrzeba to jeszcze *wiedzieć*. Im lepiej to wiemy, tem bardziej rozszerzamy się, umacniamy w jestestwie naszym. Kto jest,—powtarzam to raz jeszcze, — a nie ma uznania samego siebie, czyli: kto tego

że jest, nie wie, ten jest tak, jakby go wcale nie było. Jest, ale tylko dla *drugich*, nie dla samego siebie... Nie dosyć na tem, że wiemy, *jak* jesteśmy *teraz*. Jeżeli tylko w *obecnem* uznajemy się jestestwie: czyż to *uznanie* będzie kiedykolwiek doskonałe? Na co się wreszcie przyda taka wiedza? Cóż z tego, że z dnia na dzień żyjemy jako żebracy, tułacze jałmużną się utrzymujący, którzy nie wiedzą, gdzie głowę swoją skłonić mają ku wieczorowi? Śliskie myśli nasze i byt nasz śliski: pamięć nie trwała, a w utraپieniu ledwo się sama czuje. Przecież trzeba mieć wsporę na czemś. Wszelki lud rodowity, historyczny, w historią świata zachodzący, jest jako roślina w patryarchalnej osiadłości; z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie dzieje tego pnia rok rocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozpowiedzą! Tam w pośrodku spostrzeżesz zdrzeń, — życie rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki; naokoło w coraz szerszych kręgach postrzeżesz późniejsze lata i wieki, — każdy oddzielnie, a jednak wszystkie razem najściślej z sobą związane, zrosłe, — z których każdy jeden w drugi zachodzi, jak koła zazębione zachodzą za siebie, i jedno i drugie, choćby ich było i najwięcej, porusza, obraca. Wszystko to razem zewnętrzna okrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu!

„Nie obeym ja przybyszem, ani w obeej ziemi,
Łączę się z wami bracia tu mojemi.
Kość z kości ojców naszych, ród jeden składamy,
I jednym wszędzie duchem oddychamy.
Gniazdo nasze tak stare jak morze i rzeki
Którym imiona daliśmy przed wieki. I t. d.*)

Jakże ci się mylą, którzy wszystko zasadza-
ją na tem co jest *teraz*, a co przeminęło na złe
wykładając, albo jawnie sromocą, albo jeśli nie
mogą, w opaczne przywodzą mniemanie! Życie
historyczne wszelkiego ludu, jest, zdaniem mojem,
nie co innego tylko ciągły, nigdy nie przerwany
proces *uobecniania* się samemu sobie, od początku,
od kolebki, przez wszystkie pośrednie czasy. Jest
to pojmowanie, czucie samego siebie w całym
przestworze rodowitego bytu. Poczuwajmy się
we wszystkich czasach swoich, żebyśmy mieli
wszystkie kolejne wieki naszego bytu w każdym
momencie przytomne, tak, żeby za każdym ude-
rzeniem pulsu, i w każdym nieledwie tchnieniu
naszego życia, wywijało się w-zapadłej niepamię-
ci minione, zatracone narodu jestestwo. Tym tyl-
ko sposobem doskonale pojąć się zdołamy. Taki
tylko naród jest nakształt drzewa poświęconego,
które wiekami zielenieje, i bezprzestannie kwi-
tnie;—w burzy, w pogodzie bez przerwy. Na to
wychodzi „rozumienie samego siebie w przeszło-
ści i terażniejszości“. Od zawiązków, od ziarna
nasiennego do korony rozłożystej cienistego klo-
nu, jaworu, albo modrzewia.

*) Lech Woronicza księga druga.

Gałązka odcięta od szczepu, którą wiatr daleko unosi na pustynię, gdzie uschnąć musi,—albo którą prędki strumień czasu pociągnie na głębie, w ton zatraćnia: to naród dawnych czasów w swojej nie mający pamięci! Prawda, powinnością jest każdego czasu stworzyć coś swego, coś sobie tylko właściwego. Ale także i to wąpliwości żadnej nie podpada, że ten czas jest przeszłych czasów utworem. Nie wszystko upada od niemocy, nie wszystko ginie starością. Wieki przeszłe mają swoich dziwowidzów, mają swoich chwalców terażniejszych. Jak jedni tak drudzy bardzo potrzebni ludzie. Reprezentują całość z wielu części złożoną. Wszystko co było, co jest, niechaj się odbije w literaturze, tem ruchomem zwierciadle dawniejszych i dzisiejszych pojęć; żebyśmy samych siebie w drugiej ujrzeni postaci. Biada ludowi, gdy choć na moment wyjdzie z tego rozumienia samego siebie! Jeżeli nie jest ustawicznie w tem jasnym widzeniu! Jeżeli literatura jego pokazuje jakąś omylną, obcą postać w szacie łatannej z różnymi kawałków, niejednego postawu.

Od pozornej *refleksyi* w krainie złudzeń i omamień, w fantastycznych przeobrażeniach, w roznoszeniu się jestestw na dwoje i ukazaniu omylnych kształtów rzeczy to na wodzie, to w cieniach, to w obłokach, to w sennych postaciach, — od tego cudownego misterstwa w przyrodzeniu, przyszedłem do *refleksyi* rzeczywistej i jasnej, którą Bóg stworzył dla natury w myśli człowieka. Tę myśl uważałem jako istotę promienistą i jako strojny akord, wyrażający harmonię świata. W tej myśli szukałem związku człowieka z przyrodzeniem. W tej nakoniec myśli rozwikłanej, wyciągniętej na jasnie i odbitej w literaturze, znalazłem ogólną

refleksyę dla ludzi zostających w związku społecznym.

Suma całego wykładu jest to: że przez literaturę potrzeba rozumieć *systema tych nauk, tych umiejętności, tych wszystkich razem tworców ludzkiego umysłu; a raczej systema tych działań i poruszeń myśli, które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu.*

A zaś przez cywilizację rozumieć należy: *moc, dzielność i stateczność, bezprzerastanne objawianie się i wyrażanie tego ducha we wszystkich nawzajem umiejętnościach, we wszystkich tworcach ludzkiego umysłu;* krótko mówiąc: *w powszechnym systemie działań i poruszeń myśli całego narodu.*

Znaczenie przestronne i wiele ogarniające.— Tę miarę wzięwszy do ręki i pod tym tylko względem uważać będę naszą ojczystą, polską literaturę.

Jaki jest stan terażniejszy tej literatury? Co ma w sobie właściwego, pierwotnego, prawdziwie polskiego? Czem się różni od innych postronnych? — Jeżeli napomknienia, widoki urywkowe, myśli ogólne tę rzecz rozjaśnić zdołają, położę w to staranie moje; — zawsze jednak z ostrzeżeniem czytelnika: *in magnis voluisse sat est.* Niechaj raczej uważa to piśmko moje jako zarys, plan obszerniejszego dzieła, a nie za same dzieło.

Z poprzednich uwag wynika, że nazwisko *pięknej literatury* i tytuł honorowy a wielce wygodny *beletrysty*, który u nas jeszcze gdzie indziej popłaca, w mniemaniu autora tego pisma żadnego znaczenia mieć nie może. Bo któż jest *beletrysta*? — Nie jest nim uczony z powołania; nie jest poeta z natchnienia; nie jest sztukmistrz, ani badacz dziejów, — ani wreszcie filozof. Jakiż jego zawód, jakie zatrudnienie? Znać się na wszystkim, a nie grunto-

wnie nie umieć? Kochać język ojczysty, nauki i sławę, a nawet nie mówić po polsku (jak najczęściej czynią *amatorowie, dyletanci*), a nie przykładać starań, żeby im się dobrze działo, żeby się w kraju rozszerzały i kwitły? — Osobliwie w Polsce, cóż nad to godniejszego politowania? Toć prawdziwie literackie *nie*, pozor tylko na osłonę niedbalstwa czy obojętności w rzeczach wielkiej wagi, z dobrem powszechnem nierozdzielnie związanych. Od utwo zenią filozoficznej estetyki ustala tak zwana *piękna literatura*; wiersze nie są poezją; na rymach teraz sztuka nie zależy; nie masz przeto i *belletrystów*. Jest tylko jedna literatura, nosząca na sobie obraz i podobieństwo moralnej istoty narodu. Są, powinni być jedni ludzie, myślący, pracowici, którychby chęci energiczne i wytrwałość w przedsięwzięciach tę literaturę wspomagały, z bogacały. Jedna ziemia, jedno powietrze, jeden duch. Przeto życzyliby należało, aby ustał ów płonny tytuł. Policzmy go do zwietrzałych zaszczytów; jak kładziemy i przechowujemy w osobnych komnatach, często tylko dla osobliwości, dawnej czci oznaki, jakimi się niegdyś dworscy ludzie w wysokie o sobie podnosili rozumienie, — albo ostatki staroświeckich ubiorów, któremi się przed wiekiem niepokazna a chepliwa uroda oczom świata wysługiwała. *Et haec et talia*. — Niwa nauk ojczystych rozległa, bujna, nieprzejrzana okiem; tu każde ziarnko stokrotny owoc wyda; a robotnik rzadki, a ci co szczerze, co ohotnie pracują, możeby się i dzielić nie chcieli zarobkiem z trzpiotami, dworakami literatury gotowalnej, niewieściej, którzy, — kiedy myślić i *działać* potrzeba, szukają rozrywki w marnym dyletantyzmie.

Wreszcie: z samej potrzeby daleką przestrzeń olbrzymim niemal krokiem przebieść powinniśmy. Polska w dziewictwie jest jeszcze, tak zdaje się, dla literatów sławy, toż ze względu dostatków literatury, którą spólnemi chęciami pomnażać należy. Tu najpiękniejsze, dotąd nieuszczone wieńce rosną. O cały wiek ubiegli nas postronni w sztuce, umiejętności, we wszystkich działach poznawań ludzkich. Niezmierne pole myśli otwiera się przed nami, którego ani ulotny dowcip, ani dyletantyzm nie ogarnie. Ileż rzeczy stało się w świecie duchów, o czem z cudzej ledwieśmy wieści słyszeli?—Wszystko to przekonywa, że nam trzeba teraz poważnych rozmyślaczów, a nie *belletrystów*, pracowitych pisarzy, a nie motylego owadu, co z kwiatu na kwiat przelatując, z samych zawiązków ssię słodycz.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Zastosowanie do rzeczy polskich teorii „uznania.“ —
Co jest umiejętność? — Zasada dynamiczna literatury, —
Ruch; gra przeciwieństw. — Piśmienne sektarstwo
w Polsce.

Co zowiemy oświatą, cywilizacją, kulturą, nauką i estetyczną, zwierzchna jest szata ducha narodu. Czemuż na niej tak różne barwy postrzegamy w tym lub owym czasie, inne na wschodzie, inne na północy, na zachodzie i ku południowi? Rzecz naturalna, ponieważ każdy lud, osobliwie w starych wiekach, inną miał imaginacją, i inne natchnienie poetyckie, inną nawet pamięć przeszłych czasów, inny rozum w filozofii, nakoniec inną *metodę*, czyli tryb postępowania w doskonaleniu nauk, i umiejętności. — Powielekroć zdarza się: że wykształcenie tej lub owej władzy ze szkodą, i zaniedbaniem innych usposobień; że rozwinięcie jednej tylko siły umysłu publicznego i rozniesienie się jej podług jednego kierunku, w różno-kolejnym to wzroście, to zacieraniu się oświaty, nadaje teje charakter

wyłączny, jedno-tonny. Sławny fantasmagoryk *Jan Paweł* powiada: „wszelki duch z korynckiego kruszcu ulany, z *ruin* się składa.“ W rzeczy samej tylko *ruiną* jesteśmy! Inaczej nie mogą pojąć człowieka i jego dziejów. Pierwotne, nigdy dostatecznie nie zgłębione, umysł ludzki podzieliło rozerwanie. Roztrzęsło go tak, że teraz żadną miarą, żadną usilnością, do zgody i jedności z samym sobą, w sobie, przyjść nie może. We własnym sercu mamy ucisk i wielką burzę; w duszy nosimy rozstrojenie. Czyż się tego skutki nie wyraziły w cywilizacji wszystkich ludów? Zważmy tylko: tu panuje *um* i inne władze potłumia, ukraca; *um* systematyczny, porządny, loiczny, wojuje zwycięzko dyalektyką cienkich myśli, dyalektyką subtelnych pojęć, wszystko na polemicznych zasadzając rozterkach. Nauka mędrca chińskiego nosi na sobie tę cechę jasnością swoją wszystko opromieniającego *umu*. To tkwiło w układzie pojęć religijnych i naukowych owego narodu, wedle charakterystyki i podań Remiuzata, Kolebroka, Jonesa. A gdzieindziej jaka odmiana! Nie *um*, ani podrzędny, z *umu* wynikający *rozum*, lecz *imaginacja* przybiera w właściwe stroje wszelkie kształty, na jaśnią wywołane z pamięci. Owdzie znowu nad tę zwierciadlaną wywyższa się wyobraźnię daleko silniejsza władza, — twórcza, gwiazdzista, niepodzielna *fantazya* i w całym systemie cywilizacji moc swoją szeroko rozpościera. To w kolosalnej wyraża się architekturze; to w wysłowieniu postaciowem figuralnym, to olbrzymie stawia pomniki i olbrzymi zapał nieci w sercu poetów; maluje się w religii, stwarza teozofię, mistycyzm. Tak było w indyjskiej krainie nad brzegami Indu i Gangesu. Co atoli!

rozumieć trzeba w tem tylko znaczeniu, że jedna władza z większą mocą, niżeli inne się rozwinęła; gdyż ani przypuścić nie godzi się, żeby na którejkolwiek z nich całkiem zbywało temu lub owemu narodowi, bądź w starożytności, bądź w wieku pośrednim, bądź w nowszych czasach. Pod ten widok podciągnąćby można i z tego względu uważać systema każdej niemal cywilizacji; wszędzie bowiem do pewnego *maksimum* wykształcił się jeden z pierwiastków naszego umysłu i ten lub inny rozpostarł *element* rozłargnionej natury człowieka.

Położywszy za zasadę, że istota narodu pod wszystkimi wyraża się względami w porządku jego działań i tworów umysłowych, zatknąłem sobie kres, do którego zmierzać powinienem.

Skoro przypuścimy, że jest umysł ogólny u nas, tem samem więc jego przyrodzone własności i tak mocna, jako i słabsza strona, usposobienie, bogactwa i niedostatki, dzielność i przywary ukazać się muszą w polskiej literaturze, czyli w powszechnym systemie wszystkich naszych pojęć i wyobrażeń.

Umysł ogólny narodu te same władze i usposobienia mieć musi, jakie ma umysł każdego pojedynczego człowieka; ponieważ w całości to tylko być może, co się znajduje w składających ją częściach. — Jakaż władza, jakie usposobienie najwyraźniej objawiło się w literaturze i cywilizacji polskiego narodu?

Założeniem mojem jest: rozstrzygnąć to zagadnienie.

Podług teoryi rozwiniętej w poprzedzającym rozdziale, rzetelne rozumienie wszystkich części literatury, samo przez się podaje się tu myślącemu

czytelnikowi. Bez naciągania i przymusu ustanawia się także stosunek nauk i umiejętności, nie tylko między niemi, ale i względem narodu. Szerokich na to wywodów nie potrzeba. Wiedzieć, że jesteśmy i tej wiedzy nieomylnie świadectwo jakimkolwiek sposobem, na piśmie, na kamieniu, na płótnie, tonem, farbą, dźwiękiem, *słowem*, przez *um* i rozum, fantazyę, imaginacyę i wolę wyrazić, na oko pokazać, — toć jest prawdziwie co nazwałem po staropolsku „*uznaniem samego siebie w swojem jestestwie*.“ Ta zasada życia, ta przyczyna bytu jest zasadą całej literatury, zasadą i przyczyną tego wszystkiego co się dzieje w literaturze; jest miarą wartości wszelkich utworów dowcipu. Sztuka i umiejętność są owocem życia i nawzajem rodzą życia owoce. Żadnego niemasz martwego misterstwa; niemasz żadnej martwej umiejętności. Wszystko się w duchu wszechyna, dzieje mocą ducha i do ducha zmierza. Uważajmy ogół literatury ze stanowiska tej teorii „*uznania*.“

Zacząć potrzeba od historii. — Podług tego co się wyżej rzekło, historia polska nie co innego być może, tylko nauką służącą narodowej pamięci. Pamięć jest niezmiernie ważna władza umysłu ludzkiego. Wyobraziłby ją sobie można jako nić wiążącą nie tylko szczególne pojęcia, ale całe szeregi rozumowań i wszystkie imaginacyi obrazy. Nić przypomnienia i związku, żarzący się świecznik w głowie naszej! Wiele rzeczy zapominamy w nieprzebranem mnóstwie myśli, w rwistym toku wyobrażeń; ale skoro owa nić wewnętrznego przypomnienia, nić wewnętrznego związku rozerwie się na dwoje, tak że tego co było *zypomnieć* sobie nie możemy, skoro ów we-

wewnętrzny świecznik rozumu nie ściemnieje, ale całkiem zgaśnie: natenczas sam rozum dostaje zawrotu i jest nakształt okrętu bez żeglarza wśród burzy. Działanie jego wątleje; nareszcie niemoc z ochronieniem przywodzą go ku obłąkaniu. Człowiek taki jest jako obłąkany; mówi od rzeczy: wszystko bierze i czyni opacznie; cudzego potrzebuje dozoru, żeby sam na swoją szkodę nie zarabiał. Wszystko na nim wytarguje, kto chce i co chce sprawi; a liczne kłopoty władną jego niestakiem. Tak bywa i z narodem. W umyśle jego jest także pamięć, którą stracić może. Może zgubić nić przypomnienia i przyjść ku obłąkaniu. W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik. Cóż się wówczas dzieje? Oto cienie przeszłości tułają się bez czei i pożałowania. Nikt nawet nie wie gdzie są groby wielkich ludzi; a wiara, cnota i nadzieja odlatują w inne czasy. Piękność, sztuka i poezya nie mają żadnego powabu. Umiejętność służy tylko wygodzie i potrzebom, a nie istnej prawdzie. Literatura stroi się kradzionemi wdziękami, i cudzą wzbogaca, a raczej ubożeje iścizną. Jednem słowem: w takim umyśle jest obłąkanie. Biada ludziom, którzy ku tej przychodzą niepamięci! Straciwszy z przed oczu obraz przeszłych czasów, zarówno i tego niepoprzestają co się koło nich dzieje. Samych siebie nie znają; są tylko przedmiotem rozumienia i znawstwa dla drugich.

Pisarze dziejów krajowych wspierają, mocują tę władzę, za której osłabieniem lub ustaniem umysł publiczny mógłby przyjść ku obłąkaniu. Przełożyć przed oczy narodu powieść, zawierającą wszystkie jego dzieje, nie jest to ocucić jego

pamięć, żeby się we własnem minionem jestestwie poczuł i zrozumiał? Historia liczy wszystkie odetchnienia i ledwo nie z każdego uderzenia pulsu w życiu narodu zdaje sprawę potomnym czasom. Nauka ta poważna, dostojna; wzbudzając i zasilając nigdy nie wygasłe uczucie przeszłego bytu, dalej jeszcze takowe rozszerza w narodzie. Historyą piszą społeczeńsi z podań, z wieści i powiastek; z tego na co sami własnymi oczyma patrzeli. Każdy wiek miał swoich kronikarzy, swoich latopisców, którzy to wszystko co się za ich dni działo, czy w powodnem czy przeciwnem szczęściu, przekazywali bądź pismem, bądź także tylko ustnem podaniem. Z tych przekazów tworzą się następnie historyczne materiały; a z nich, za staraniem późniejszych zbieraczy, krytyków i pisarzy umiejętnych, ogólna powstaje dziejów ojczystych osnowa. Społeczna historia każdego wieku świadczy: jako się naród w obecnem jestestwie swoim rozumiał, jak uważał i pojmował to jestestwo? Wszystkie zaś dzieje od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego, są, a raczej powinny być zebraniem w treść *jedną* szykownie, umiejętnie, porządnie rozwiniętą tych cząstkowych świadectw, tych ułamkowych, przemijających *uznawań*. Stąd jak z wątku potrzeba wyciągnąć nić historycznej powieści, zawierającej *sumę* wszystkich minionych momentów życia. Zachodzi więc pytanie: czy mamy w literaturze polskiej takie dzieło ojczystej poświęcone pamięci? Taką powieść od najdawniejszych czasów do dni naszych? Powieść jednej treści, tchnącą jednym duchem, ułożoną i skreśloną przez *jednego* pisarza? Albo, co na jedno wychodzi: czy pojeśliśmy wszystkie minionie narodowego jestestwa

chwile? I czy się teraz w tem minionem jestestwie uznajemy? Jakaż jest pamięć nasza? — (Proszę czytelnika, żeby tego opacznie nie rozumiał. Możeby się komu zdawało (według tego co namieniłem: „*że historia służy pamięci narodu*“ —) jakoby historyk prócz pamięci niczego więcej nie potrzebował, ani rozumu, ani imaginacyi, ani fantazyi. U nas nie trudno o takie wnioski, — osobliwie w dziennikach naszych. Równie mógłby mnie kto z tego posądzić, że poecie odmawiam innych usposobień prócz samej fantazyi i imaginacyi. To zdanie byłoby omylne. Jak poeta tak historyk całą głowę, i dobrze we wszystko opatrzoną mieć powinien. Ale tu chodzi o główną zasadę, o szczególniejsze rozwinięcie tego lub owego *elementu*. A tą zasadą w poezyi i sztuce jest imaginacya i fantazyja; w historyi zaś *pamięć*, lecz z tego tylko względu, z jakiego uważałem tę władzę, to jest: w umyśle ogólnym narodu jako nić wiążącą wszystkie pojęcia i czasy przeszłe z terażniejszymi). Nauki, jak z wszelką historyą, tak i polską związek mające, np. geografia, statystyka, numizmatyka, chronologia i t. d. przyczyniają się ku wyjaśnieniu ojczystych dziejów, a tem samem ułatwiają dostateczniejsze rozwikłanie owego pojęcia i rozumienia siebie w przeszłości, takowe w publicznym mocując umyśle. Pod tym tylko względem zasługują na uwagę. Jakiż jest stan tych wiadomości w polskiej literaturze?

Naród polski po wszystkie czasy swego związku społecznego zachodził w historyę Europy; przeto powinien znać swoje zewnętrzne stosunki i rozumieć siebie w spólnem jestestwie z ościennymi, postronnymi, dalekiemi ludami. Przede wszystkiemi przedmioty, czy to o ziemio-
Pamięć przed czy ziemio-
zamknięcia

jąca dzieła i sprawy wszystkich ludów, z którymi zostawali w związkach pośrednich, bliskich, dalekich i najdalszych, nie jestże to rozszerzyć ich *uznanie we własnem tak minionem jako i obecnem jestestwie?* Ziemiokrag tem się ogarnia rozszerzeniem. *Historya powszechna rozgałęziona jest szczególnie; jest to wielkie koło mniejszego koła, a obadwa za siebie zachodzą.*—Toż samo ojednym rozumiejmy człowieku, co ze względu całego narodu. Kto nie jest obywatelem kraju, czyli innemi słowy: kto będąc *osobą, jednostką*, nie *pojmuje się* zarazem w pospolitej rzeczy, w związku społecznym, tego uznanie we własnem jestestwie ani godziwe, ani doskonałe być nie może. Prawdziwe obywatelstwo nie co innego jest, tylko rozszerzenie osoby, rozprzestrzenienie indywidualnej jednostki. Tak samo naród cały, we własnej tylko i nierozdzielnej uznający się *egzystencyi*, byłby jako obwarowana i ze wszech stron zamknięta *monada*, która samej siebie jeszcze nie *pojmuje* i *nierozumie*. Żeby się dobrze *pojąć*, potrzeba znać drugich, a z nimi *zostawać* w ciągłych stosunkach. Wtenczas tylko, *kiedy jedno stawia się przeciwko drugiemu*, i to i tamte *pojmuje* siebie. — („*Ja*“ *stawia się* przeciwko „*nie-Ja*“). — *Historya powszechna jest rozszerzenie narodowej jednostki, ojczystego „ja“ za obręb przestrzeni, pewnymi granicami określonej.* — Tak *pojmują* powszechne dzieje rodu ludu ludzkiego. Rozwinę to pojęcie. — Poważanie starodawnych obyczajów; pamięć tkliwa i czuła na zasługi przodków; wdzięczność za dobro przekazane nieskazitelną enót i przewag sławnych puszczną; toż wzniosły duch rodzinny w rodzinnej osiadłości. przedewszystkiem duch

braterskiej zgody, którym się statecznie dobrane utrzymywały związki; duch spólny, mocny, niezłomny, żadną nieprzezwyjęzioną przeszkodą, który sprawował, że każdy członek to bractwa, to, zgromadzenia, nieraz z wspaniałomyślnem poświęceniem własnej korzyści służył pospolitej rzeczy, tej potrzebie we wszelkim przypadku rad dogadzał, z całej duszy swojej i z całego serca, dzieląc zarówno szczęście i niedolę, równym znosząc umysłem smutek i pociechę, zarobek, i stratę; otóż treść we wszelkim narodzie, otartym z dzikości i barbarzyństwa, wywijającym się z składu społecznego dziejów ojczystych i wspomnień. W tem uczuciu zawarta historia krajowa. Ale my większego jeszcze potrzebujemy zakresu; rozprze-strzenić się musimy w człowieczeństwie. Powinniśmy przyjść do *uznania siebie* w ogólnem jęstestwie rodu ludzkiego. Gdzie to wyobrażenie nie jest rozwinięte (tak iżby każdy z nas, w wysokiem rozumieniu chrześcijaństwa, poczytywał, uznawał siebie za członka jednej rodziny świata), tam ludzie zostają w pewnych tylko massach, granicach, stanach. A najpierwej człowiek jest w domu; jest patryarchą swej rodziny. Potem jest w cechu, w bractwie, w stronnictwie, pod którego chorągwią żołąd wiedzie, którego znaki i godła nosi na sobie. Coraz rozszerza się jego zakres. Dalej jest w stanie, w klasie, osobne mającej prerogatywy, przywileje; dalej jest jeszcze synem ojczyzny; a w końcu stać się musi całego świata obywatelem. Ten postępek konieczny i nieodzowny Tego postępeku świadectwem i nauką: historia powszechna rodu ludzkiego.— Czy mamy w polskiej literaturze taką naukę? Dzieło poświęcone tak ważnemu przedmiotowi?—Lecz tego co się rzekło

o historyi powszechnej, niechaj nikt opaczny wykładem nie naciąga na to rozumienie: jakobym najwyższe dobro cywilizacyi zasadzał na zatarcu wszelkich śladów różnicy między narodami, i niejako ostateczny kres oświaty ustanawiał w potłumieniu miłości ojczyzny i t. d. Dalekie jest odmnie to mylne mniemanie; prawdziwa bowiem cywilizacya, jak sądzę, rozszerza *Indywidualność* każdego narodu, ale jej nie zaciera i nie podkopuje; zbliża ludy ku sobie, ale ich na jednogniezdne nie zbija plemię; osłabia uprzedzenia trzymające narody w rozdziale nienawiści, szkodliwej wzajemnemu ich pożytkowi, ale każdemu pozwala zostawać i rozpleniać się w pewnej mierze, opisanej właściwością obyczaju, ducha i innych okoliczności. Tylko fałszywa cywilizacya, tylko poniżający godność człowieka mechanizm pojęć, i mechanizm myślenia, o którym we wstępie wspomniałem, zaciera pierwotne cechy, znamionujące istotę narodu w rodzinnej osiadłości. Można być dobrym ojcem własnej rodziny, i pożytecznym człowiekiem pewnego stanu, można być dobrym obywatelem kraju; lecz zarazem te wszystkie uczucia i względy można, a nawet trzeba połączyć z wyobrażeniem i uczuciem godności rodu ludzkiego, z tem nareszcie przekonaniem, że wszyscy ludzie bracia są nasi, a ziemia dana nam wszystkim w osiadłość, abyśmy jedną wielką składali rodzinę.—Rozszerzenie ojczystego. rodowitego „ja“, rozumienie się w jestestwie drugich, ogarnienie wszystkiego rodu ludzkiego we wszystkich czasach tą ognistą miłością, która z nieba na ziemię zstąpiła,—ten jest kres ostateczny chrześcijańskiej kultury, ten, nie inny przedmiot

historyi powszechnej. — Szczególna historia jednego narodu wtenczas dopiero *staje się* umiejętnością, kiedy ją rozwiniemy w powszechnej osnowie dziejów rodu ludzkiego. (Ojczyste *ja* stawić należy przeciw innym narodom; dopiero wtenczas dobrze pojęte będzie).

Póty o historii. — Z tej samej zasady łatwo wywieść początek i osnowę, rzecz i kształt każdej innej umiejętności. Wszystkie z jednego źródła, jak promienie ze środka ogniska wynikają. Wiedzieć, że jesteśmy, jest to niemal wszystko umieć; w tem treść wszystkiego. Kto zna myśl swoją, zna to wszystko, co myślą myśleć, i ogarnąć zdoła. Umiejętność rozwija uczucie naszego bytu; co się także do narodu ściąga. Kiedy przychodzimy do uznania samych siebie, wtenczas zaczynamy się rozszerzać w naszym jestestwie, i nie jako samych siebie pomnażać. Nasze *ja*, że tak powiem, rozpromienia się,—rozprasza,—niknie. — Jest jakieś drzewo, wspomniane przez jednego z pisarzy kościelnych,*) które wtenczas zielenieje, kiedy je okrzesaują; drzewo to idzie w zapasy z żelazem, śmiercią żyje, krzewi się wycięciem, *gdy go już nie masz, wtenczas rośnie*.

Umiejętność, jeśli w to pilniej wejrzymy, nie co innego jest, tylko ten postęp od naszej indywidualnej jednostki, od *ja* do wszech rzeczy jestestwa. Tym sposobem przez *pojęcie*, czyli przez „*jęcie umem w umie*“ (umiejętnością) to odzyskujemy, cośmy stracili przez pierwotne wyosobienie, wydzielenie się z wszech rzeczy związku. Roz-

*) Gregorius Naziazcn. Orat. 27.

jaśnie tę myśl. Kiedy człowiek rzekł do samego siebie „ja“, natenczas z łona się natury, z *idei* wszystko ogarniającej wyłonił; wtenczas natura stała się dla niego przedmiotem. Odtąd przestał być *w niej*, w jej łonie, a zaczął być za jej okresem; bo ją mógł uważać i na nią patrzeć. Tym kształtem wszystkie się zmieniły stosunki człowieka z przyrodzeniem. Pierwej był w związku i porządku ogólnym; teraz tylko ten związek i porządek *pojmuje*. Owe niegdyś ściśle, mocne powinowactwo z przyrodzeniem, (takie same, jakie spaja płód jeszcze nierozwinięty w łonie macierzyńskim z życiem rodzicielki) odzyskaliśmy *po części* przez pojęcie, objęcie, aktem woli i *umu*. Odbiegłszy od natury, teraz się ku niej zbliżamy po szczeblach *refleksyi* i poznawał. Zbliżać się tym sposobem do natury, nie jest, że to ją *pojmo-
wać, umieć*, czyli przez *um* wyrozumieć?

Taki początek i ten kres *umiejętności* przyrodzenia. Wiele na zgłębieniu tej myśli zależy.

Nauki naturalne w tem tylko oświecić nas mogą: jaki związek zachodzi między nami, a rzeczami pod zmysły nasze podpadającymi? Czyli innemi słowy: „między tem co jest, i tego że jest nie wie“ — a „tem co jest i to wie“. — Między naturą zewnętrzną i człowiekiem.

Powiedziałem: że sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem; a zatem nie odrazu przychodzimy do tego punktu, ale powoli, z czasem w czasie. W miarę tego, jak sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem, *staje się* także przedmiotem dla nas zewnętrzna, widoma natura, *Staje się!!* To dzielne, mocne, rzecz najdokładniej malujące i opisujące wyrażenie naszej filozoficznej polszczyzny,

zawiera *metodę* i tryb *postępowania* w umiejętności przyrodzenia. Ponieważ sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem wewnętrznej wiedzy, zatem to nasze *ja* musi być *skutkiem* poprzednich wewnętrznych działań. Jest *produktem*, wypadkiem, rezultatem ruchu... Pierwej trzeba poznać siebie, dopiero potem naturę poznać można.

Jak siebie samych odrazu nie pojmujemy, tak i tego co się zewnątrz nas dzieje, od razu poznać nie możemy; tem bardziej, że to co się zewnątrz nas dzieje w ustawnym jest ruchu, że z przyczyn bezprzestannie rodzą się skutki, a każdy skutek następnego skutku jest przyczyną i t. d.

Natura działa bezprzestannie; wszystko co zewnątrz nas postrzegamy *dzieje się, staje się, albo stało się*, czyli przyszło do skutku przez działanie. Każde zjawisko w przyrodzeniu, każde *faktum jest sumą* poprzednich *operacji*. A tak, ponieważ rzecz, osnowa, przedmiot umiejętności przyrodzenia *jest w ruchu*, ponieważ natura jest w ruchu (*naturans*), cóż z tego wynika? Oto: że i środek pojmowania, zbliżania się do natury, także *rucho-my* być powinien. Tym *środkiem* jest *umiejętność*. A zatem *umiejętność natury ma być ruchoma*.

Wszystko *staje się*, wszystko się w prawej rozwija umiejętności. Ruch jest jej cechą. Na tem zależy metoda nauki. *Rzeczy zewnętrzne dla nas nie egzystują*; nic o nich nie wiemy, póki się o tem, że są, nie przekonamy. O *egzystencji* przedmiotów zewnętrznych przekonujemy się tylko umiejętnością, czyli *przez jęcie umem w umie*, czyli przez rozumowanie. Rozumowania te odkrywają nam *byt rzeczy*, pod *zmysły* nasze pod-

padających. Myślą sporządzamy sobie świat zewnętrzny. Rozumując budujemy gmach przyrodzenia, i wszystkie ukazujące się w tym gmachu zjawiska. Prawdziwy naturalista, to, co widzi przed sobą, nie bierze, nie uważa tak jako *jest*, ale jako *się stało*; prawdziwy filozof, badacz przyrodzenia jest architektem natury! Z jego umiejętnością zarazem powstaje przedmiot umiejętności. Rzecz wewnętrzna, osnowa *rodzi się* razem z formą nauki. To jest: *rodzi się* w jego myśli: w poznawaniu, w uznawaniu się jego w naturze. Nie masz dla niego ani *materyi*, ani światła, ani elektryczności, ani magnetyzmu. Nie masz dla niego żadnego kształtu, żadnej postaci. Do tego wszystkiego przychodzi przez naukę, przez dyalektykę; przez ciąg stopniowy twierzeń i nieprzerwane następstwo myśli. Dla takiego badacza przyrodzenia natura nie jest *naturata*, czyli objawiona, ale objawiająca się, jawiąca — *naturans*.

Wszystko się w prawdziwej *staje* umiejętności! Tę prawdę miejmy zawsze we względzie. Los nauk przyrodzonych na tem zależy. Umiejętność, gdzie się wszystko *staje*, wychodzi z najpierwszych początków; zaczyna od punktu *genetycznego*. Badacz przyrodzenia poświęcający się *takiej* umiejętności, staje myślą w pierwotnej epoce natury, i następne jej wieki historycznym *przebiega porządkiem*... Pismo przyrównywa umiejętność, wiedzę, wiadomość*) do drzewa. Wielkie

*) Czyli „w-ja-domość;“ a zatem co się we mnie, w ja, w mojem ja stało. To jedno słowo zawiera *genesis* umiejętnego trybu postępowania. Dziękujmy niebu za

w tem rozumienie!! Jako i w innem porównaniu z ziarnem gorczycznem, które, wedle wyrazów *Pana* tak wielką łóżę puszcza, że się i ptacy na niej chowają. Rzeczywiście, w rozwijaniu się ziarna, w kiełkowaniu nasion, w pędzie drzewa, strzelającego w wysokość do błękitu, jest coś, co *genetyczną*, rodzajową własność prawdziwej wyobraza umiejętność. Jej duch ten sam, ta sama rzecz, ten tryb postępowania. Takim samym rozrasta się kształtem drzewo wiadomości człowieka, tem bardziej narodu, jakby z pnia, który swe korzenie głęboko i szeroko rozpostarł w wiedzy wewnątrz obróconej jestestwa byt, i istotę swoją uznawającego. Rozrasta się, dzieli, rozplata na coraz liczniejsze, na tysiączne konary, gałęzie, których korona buja wysoko w powietrzu, a kwiat i liście pięściwem wiosny rozzielenione tchnieniem, i zarannej rosy kroplami, i balsamiczną wonią, wszystek ziemiokrąg od końca do końca świata ocieniają. Człowiek rozkazuje naturze umiejętność, ale naturze żywej, ruchomej, ale żywą, ruchomą umiejętnością! Tak jest! Nie masz martwej nauki. Każda jest, każda powinna być owocem drzewa wiadomości, drzewa życia. Wszystko się rozplata i splata w naturze, wszystko rozwija i porusza. We własnem uznając się jestestwie, uznajemy się także we wszech rzeczy jestestwie, i w tem się coraz bardziej rozszerzamy, — rozpraszamy, — nikniemy. Jednostka nasza wogóle niknie, i nazwajem ogół w sobie mieści. Albowiem w myśli

taki język! A miejmy we czci i poważaniu naszego spółziemianina Kamińskiego, który szeroką otworzył drogę wyszukiwań pod względem filozoficzności mowy **polskiej**.

naszej cała się odbija natura; ta myśl służy jej jako głos słowu i jest jej *pojęciem*; jest częścią przyrodzenia, jest duchem świata. Z tej przyczyny myśl ludzką nazwałem strojnym, dźwięcznym akordem, brzmiącym zgodnością wszystkich razem pierwotnych sylab rozrzuconych w przyrodzeniu*).—Zebrać te sylaby, żeby całe słowo złożyły, i umieć przeczytać to słowo: otóż umiejętność natury!... *Czy mamy taką umiejętność w polskiej literaturze?* Czy uważaliśmy naukę z tego punktu i czy ją u nas w tym sposobie ukształcono, rozszerzono?

Pytania takie są to *pozycje*, które się same rozwiązują przez określanie coraz silniejsze i stawianie głównego zagadnienia w coraz innym świetle. Wywodzić początek jakiegokolwiek nauki z teorii *uznania*, w systemie literatury uważanej ze względu *refleksyi* narodu, jest to opisywać sferę tej nauki i zarazem rozwijać jej treść, osnowę. Czyli innemi słowy: jednym ustanawiać zawodem, niejako jednym tchnieniem rzecz i kształt umiejętności. Podług tego, co się wyżej rzekło, filozoficzna umiejętność natury, z nas samych wyciągniona i *genetyczna*, *ruchoma* być powinna. *Jestże taka polska umiejętność?* Co potem będę się starał roztrząsnąć w części pisma mojego, poświęconej *umiejętnościom* w Polsce. Na teraz, dla rozjaśnienia ogólniejszego widoku, pod który podciągnąłem przedsięwziąłem literaturę ojczystą, niechaj mi wolno będzie powiedzieć, co następuje:

Krytyka literacka, w wyrokach swoich omylna i płocha (jeżeli tylko tym wyrazem nie obrażę jej stronników) przez długi czas w piśmiennictwie

polkiem rozwinięcie i postęp wyobrażeń estetycznych tamowała, szkodząc rzeczywiście poezji i sztuce, toż ukracając moc talentu niepotrzebnem powściągnięciem. Ta krytyka przez inną krytykę śmielszą, zachęcającą i ośmielającą, nieraz zuchwałą, uprzątającą wszystkie uboczne względy, ale może silniej popierającą zdanie swoje i widzącą rzeczy z wielu stron, zawojowana, że tak powiem została; odtąd historyczne tylko miejsce w naszej literaturze zajmuje. Ta jest pierwsza opinia, którąbym rad umocował w przekonaniu czytelnika. Druga zaś jest ta: że przez *empiryzm* i wyłączną, niemal fanatyczną wiarę w doświadczenie, którą za naszych czasów najbiegłęjsi pisarze polscy rozszerzali i pomnażali, *skamieniata* umiejętność w polskiej literaturze. Dotąd tkwi to złe w umysłach naszych; nie masz go ani w języku, ani w usposobieniach, ani w charakterze polskiego narodu, ale jest to skutek zawziętego mniemania, skutek powagi i mistrzostwa ludzi wielce zasłużonych, których atoli dobre chęci i obywatelstwo, wyżej zapewne trzeba cenić, niżeli naukę; aczkolwiek i w tem okazała rzecz z innych względów uważając, zajaśnili biegłością w swoim czasie podług swego rozumienia. Ten jest ogólny widok, niejako *status quo* co do krytyki estetycznej i co do umiejętności, a szczególnie nauk przyrodzonych w polskiej literaturze. Pytam się tedy: czy nie czas uprzątnąć tę ostatnią przeszkodę? — Co do ogólnego usposobienia w kraju naszym ze względu *umiejętności*, co do przyjętego u nas trybu postępowania w tej mierze, po szkołach i wyższych instytucjach naukowych, zdaniem mojem (którego jednak nikomu nie narzucam), jeszcze się to usposobienie nie rozwi-

kłało i nie wzmogło. Z tej niwy jeszcześmy dojrzałego nie zebrali plonu. Czemuż to przypisać? Twarde zdają się być te słowa; mniemam jednak, że *konsekwencya* w rozumowaniu nikogo zastraszać nie powinna. Podług zasad i pojęć moich, które następnie będę się starał jaśniej wyłożyć, żadnej w Polsce nie mamy teraz *ściślej umiejętności*. Wyraz ten nawet na wspak bierzemy, tytułując częstokroć *ściłą umiejętnością* z obcych języków tłómaczone traktaty, żadnego wewnątrz ujęcia nie mające, ani takiej mocy, któraby się rozchwiać nie mogła. Wielka to rzecz i bardzo wspaniała—umiejętność! Niesłuszne też, szczególnie ze względu nauk przyrodzonych, rozszerzyło się mniemanie: jakoby tylko domowej potrzebie służyć powinny i dogadzać społecznemu pożytkowi. Zdaje się nam: że te nauki na to tylko są wymyślane, aby podawały sposobność ciągnięcia jak największych korzyści z tych sił, któremi działa przyrodzenie, z tych własności, któremi tak hojnie wszystkie uposażyło jestestwa. A co do trybu postępowania i *metody* naukowej rozumienie jest takie: że wszystko na doświadczeniu zależy: że teorye układać trzeba podług postrzeżeń i wiadomości czerpanych z doświadczenia, a gdy się co odmieni w doświadczeniu, gdy nowe wypadki przekształcą postać nauki, natenczas nową stworzyć teoryę. Ale ten widok daleki od szczerzej istoty umiejętności. Cóż, proszę, za skutki wyniknęły u nas z tak opaczego sądu? Oto, żeśmy w tym wielkim zawodzie nic swego, nic własnego nie wymyślili, prócz dobrego polskiego wykładu i stylu w rzeczach naukowych; luźne bowiem, przygodne wynalazki, urywkowe pomysły, nader chlubne dla szczególnych uczonych. poświęcają-

cych się umiejętnościom, głośnej chwały za dni naszych narodowi nie zjednały. Umiejętność polska skądinąd przeszczepiona, że tak powiem, żywcem wzięta. Rzeczy około siebie cudzym pojmujemy rozumem w ojezyźnie Kopernika i Witeliona. Cudze w laboratorjach naszych powtarzamy doświadczenia. Mechanizm opanował umysły. Układy oddzielnych nauk odmieniają się przed oczyma naszymi w słowniki technicznych wyrazów i technicznych manipulacji; coraz więcej mnoży się szczegółów nie powiązanych myślą ogólną; żadnej prawie teorii, żadnego systematu, żadnej całości organicznej. Rutyna jest w polskiej nauce! Ale to się dłużej żadną miarą ostać nie może. Co *Jan Nepomucen Kamiński* wyrzekł o *filozofii*: że jej zewnątrz nikt nie nabędzie, toż o każdej trzymajmy umiejętności, a tem samem i o naukach przyrodzonych. Obcy nabytek niechaj je wzbogaca, wspomaga, ale na nich swojej nie zasadzajmy iścizny. Wszędzie wprowadzie jednaka natura i te same prawa, podług których działa, tworzy; ale nie wszędzie jednaki sposób pojmowania tego i tłumaczenia. W tem się właściwość każdego niemal oświeczonego wybija narodu. Z tego względu co innego we Francyi, co innego w Niemczech, co innego w Anglii. Tę samą rzecz inaczej pojmuje *Thenard* i *Biot*, inaczej *Berzeliusz* inaczej *Szuberth*, *Oken*, *Steffens*. Z tych odmiennych względów i widoków, z tego rozmaitego sposobu rozumienia natury i tłumaczenia jej fenomenów, toż ogólniejszego systematu, wykształca się różnicowa postać umiejętności. Z tych ciągłych, własną pracą, własnymi nabytkami i od kryciami doskonalonych poszukiwań, rodzi się *historja nauki*. Ale uczeni, własną głową, nie my-

ślący, żadnego podobno miejsca w niej nie zajmą; chyba by się im dostało najpośledniejsze: tłumaczy, kompilatorów, naśladowców. Cóż stąd za chwała? Naukę trzeba mieć w sobie, w środku i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność. („Mocno ten błądzi — pisze po tylekroć wspomniany Kamiński (*Halicz, o umnictwie dramatycznym str. 236*)—ktoby mniemał, że w naród coś zaszczepić można, czegoby już w sobie z natury swojej nie miał, jak nie zaszczepisz w płonkę szlachetnego oczka, kiedy go płonka w życie swoje *życiem swoim* nie przyjmie.“) Przełożyć cobądź z obcego języka na polski, jak się u nas pospolicie dzieje, nie jest to z bogactw literaturę, uważaną ze stanowiska *refleksyi* narodu. Tym sposobem dogadza się tylko chwilowej potrzebie i mijającym względom, które wszakże bardzo ważne i naglące być mogą; czemu nikt nie przeczy. Nauka jakakolwiek, dobrze zrozumiana, pracowicie spolszczona i wyłożona, ma swoją wartość, taką, jaką mają romanse i powieści historyczne, angielskie, włoskie lub francuskie, w polskich przekładach opisujące cudze stroje, zwyczaje i t. d. Nie dlatego to piszę, żebym miał uwłaczać mężom wielce zasłużonym, tak pod tym względem, jako i z wielu innych w naszym kraju, ale jedynie: że czas już zalecił tę rzecz obmyślniu i gruntowniejszej ziomków rozwadze, — czas wezwać *filozofii z głębi ducha naszego i wysnuć ją z istoty naszego jestestwa*, żeby upłodniła, ożywiła myśl, żeby wzbudziła zapal do częstszego pisania i gruntowniejszych rozumowań w rzeczach dotyczących umiejętności przyrodzonych. Niechaj się umiejętność polska z rodowitych nasion własną rozkrzewi dzielnością, własnem rozzieleni liściem

i zakwitnie szeroko, bujnie, wielkimi pomysłami. Oto nieba prosić trzeba za przyłożeniem własnych starań.

Śmiałości mojej wybaczy, kto tę rzecz u nas, jaką jest teraz, i dalsze skutki widzi. Albo to wszystko, co powiedziałem ze względu literatury, że jest *refleksją oświeconego narodu* (a za taki naród polski z chlubą w sercu poczytuje), fałszem jest z istoty wytrawionym; albo jeżeli mi w tem głównem i początkowem założeniu pisma mojego nikt oczywistej nieprawdy nie zada: każda umiejętność tak oryginalna, tak pierwotna być musi, jak *poezya* i poetyckie natchnienie. O to się wszystko rozbija, podług tej silnie umocowanej zasady na prawdzie ducha i istoty bytu naszego, cenić potrzeba użyteczność umiejętności i czynione starania ludzi uczonych ku ich wykształceniu. Umiejętność nie jest rzeczą pamięci, ale największą jest sprawą i misterstwem ducha. Najpiękniejsze odkrycia winniśmy naukowemu entuzyazmowi i ledwo nie poetyckiej *inspiracji*,—tej najwyższej filozofii geniuszu!

Z drugiej strony trudno nie przyznać: żeby dowcipne, zręczne przystosowanie nauk obcem, na cudzej niwie doskonalonych staraniem, do polskiego przemysłu, który rząd tak usilnie wspiera, nie miało sprawiać ważnych korzyści dla kraju. Nic nadto pewniejszego. Ale także przyznać potrzeba przez samą sumiennność *loiczną i dyalektyczną* (niechaj mi wolno będzie wyrazić się tem może dziwnem, ale prawdziwem wysłowieniem), jakiej ściśle przestrzegać powinien, kto z położonych zasad rozumuje: że wyłączny ów взгляд, który dotychczas rozciągaliśmy (mówię tu o ogóle) na samą nieledwie praktyczną, gospodarską

użyteczność nauk przyrodzonych, ubliża ich *godności*. Daleko zacniejsza istota prawdziwej nauki, jako i prawdziwej piękności w sztuce. Przeznaczenie, cel, zawód rzetelnej umiejętności daleko wznioślejsze i wspanialsze. Uważajmy np. *medycynę*. Jak wielka użyteczność tej nauki! A jednak praktyka lekarska, choć lekarz niesie ulgę zwątlonemu zdrowiu bliźnich swoich, nie jest, jak sądzę, ostatecznym kresem jego umiejętności. Głównem jej zadaniem człowiek; a człowiek jest zebranie w treść i niejako suma wszystkiego w naturze. Słusznie przeto *medycynę* położyłoby można na czele innych nauk przyrodzonych. Pojąć *życie* i *śmierć*, a raczej: rozstrzygnąć zagadkę życia i daleko zawilszą, mniej dla nas dostępną zagadkę *skonu*, otóż powołanie i główny zawód filozoficznego lekarza. Z tych założeń wywija się pasmo jego wielkiej nauki. Historyczna znajomość rozlicznych niemocy i środków leczenia, botanika, anatomia i t. d. przechowują tylko składowe części i niejako są jej materiałami. — Weźmiemy inny przykład. Matematyka, kalkuł i głębokie rachunki, wprowadzone do umiejętności przyrodzonych, czyż nie zdają się nigdy na kształt *czasowania* i *spadkowania* w gramatyce? Albo *generatbasu* w teorii kompozycji muzykalnej? Przypuśćmy, że ktoś nauczył się wszystkich *konjugacji* i *deklinacji* obcej lub umarłej mowy, zechce nic więcej nie umiając, czytać natychmiast dzieła, poemata w tym języku. I jednego słowa nie zrozumie, nie dopiero okresów najcięższych, zawilszych toków, sztucznie przerzucanych wyrazów i t. d. A przecie niejednemu zdawało się matematykowi, że zrozumiał styl i wysoką poezję natury! Jest duch w mowie ludzkiej; jest duch w mu-

zyce, jest w przyrodzeniu. A tylko duchem do ducha przeniknąć można,—tylko *umiejętnością ducha*, filozofią!—Inny jeszcze przykład wspiera zdanie moje. Nie dlatego z pewnością uczymy się *astronomii*, żebyśmy na morzu bezpiecznie pływali (lubo ta nauka bardzo potrzebna żeglarzowi), ale żebyśmy, poznawszy porządek tych gwiazd na niebie, ich biegi i obroty, toż układ ledwie nie całego świata, wznieśli się ku Temu, który to wszystko z niczego stworzył! Harmonia niebieskich sfer,—duch *astralny*,—gwiazdziste *idee*: taki może ostatni kres *astronomii*, najwspanialszej ze wszystkich umiejętności. Powiedziano o nauce człowieka, że jest *wielkie nic*. Lecz za spojrzeniem w niebo i uważając to, czego nie wiemy, sprawiedliwiej rzecby można, że to *bardzo małe i maleńkie nic*. Gdy to wszystko razem ściślej roztrząśniemy, wzięwszy pod uwagę te światy światów i te drogi mleczone i te ogromy ogromów, pytam się: czyliż i po takiej próbie naszych zmysłów i rozumu, trwać będziemy w zuchwałem uprzedzeniu, jakoby człowiek zdołał odgadnąć tajemnicę natury na drodze tych postrzeżeń ulotnych, tych krótkich doświadczeń, z których powstała jego wczorajsza i onegdajsza nauka, które codziennie prawie jej postać odmieniają, a które on zapewne w podniosłości swego serca nazwał *umiejętnością przyrodzenia*? Obserwacye z czterech tysięcy lat zebrane w jedną całość przekonałyby zapewne astronomów, że ten ich punkt nieruchomy, to słońce *Kopernika* i *Herszla*, razem z całym systemem słonecznym, razem ze wszystkimi gwiazdami, które oni stałami zowią, poruszają się nieznanym nam obiegiem i dążą w nieznanne strony! A zatem są systema systematów, kołowroty

kołowrotów! Są zapewne inne słońca, które może po milionie lat następnych postrzeżeń i rachunków, nazwiemy nieruchomemi, a których *nieruchomość* w okresie późniejszych jeszcze wieków, znowu pokaże się wątpliwa. Kiedyż nakoniec doprowadzi nas ta astronomia do punktu rzeczywiście nieruchomego, do prawdziwego słońca wszystkich razem światów w powszechnem systemie natury? — Czyż z tego jednego przykładu jawnie, jasnie się nie pokazuje, że droga doświadczeń i *obserwacji* jest nieskończona? I że tym sposobem nigdy nie osiągniemy zamierzonego celu? Co skoro jest rzeczą niewątpliwą, któż weźmie za złe niektórym naturalistom, że odrzuciwszy te pozory, te świadectwa i omamienie zmysłów, w duchu swoim szukają innego *środka* pojęcia przyrodzenia? A nawet, że ku temu celowi wzywają i niejako powabiają na harc twórczy, wielki, ale najburzliwszy *element* ż skarbownicy naszego roztrzęsionego umysłu, tę *fantazję*, co jak prędkie błysnięcie świeci przez chwile, ale także za prędkim ustaniem swoim, zadawszy niemoc oczom, czasem w gęstsza jeszcze éme nas pogrąża? — Największa moc rozumu w dzieleniu; przeciwnie *fantazya* części rozdzielone spaja w całość i wszystko *totalizuje*.

Nie pożytek materyalny, jaki z nauk odnosiemy, ale samą prawdę, bez żadnego innego względu, uważać należy jako ostateczny kres, do którego wszystkie poznawania i wiadomości nasze zmierzają. *Prawdą* zaś jest zgodność wyobrażeń naszych z rzeczami, które sobie wyobrażamy; zgodność i tosamność *pojęć* z tem co *pojmujemy*, — zgodność *objektu* z *subiektem*. Jeżeli inna rzecz zewnętrzna, a inne wewnątrz wyobrażenie tej rze-

czy, natenczas *wyobrażenie* jest omyłne, fałszywe. Cóż stąd wypada? Oto, że kształt, czyli forma zewnętrzna nauki odpowiadać powinna jej treści wewnętrznej, jej osnowie. Gdzie inna jest forma, czyli *metoda* nauki, a inna własność przedmiotu tej nauki; jeżeli n. p. rzecz nauki jest *ruchoma, żywa*, a *metoda* nieruchoma, martwa, jeżeli jedno drugiemu nie odpowiada i jedno z drugim nie rymuje, wtenczas nauka głosi fałsze, same brednie, nie przypadające do miary z rzeczą. Dawni i dzisiejsi retorowie utrzymują: że styl w pisaniu stosować trzeba do *materyi*. Tak samo *metodę* nauki, jej tryb postępowania stosować trzeba do własności przedmiotu. Tu zachodzi tosamność, *analogia*. — Jaki *proces* w naturze, taki i w umiejętności, której natura jest przedmiotem. Zważmy tedy: w naturze jest postęp ciągły i nie przerwany od *widomego* do *niewidomego*, od *materyi* do pojęcia. A zatem, ten sam postęp być musi w rzeczywistej umiejętności przyrodzenia. Co skoro nie podpada zaprzeczeniu, pytam się: co za pewność z świadectwa zmysłów w sferze *niewidomego*, w krainie ducha, będącego częścią, i ostatnią mocą i najwyższą dzielnością natury? Wszystko zmierza w naturze i ku temu się odnosi *co żadną nie jest rzeczą*, a tem samem przedmiotem rozbioru i *analizy* być nie może. A więc: na cóż się przyda *analiza*, gdzie się, że tak powiem, niczego palcem dotknąć nie możemy? Wniosek: godzi się doświadczenie uważać za *jedyne* źródło prawdy w umiejętności przyrodzonej, skoro jej ostateczne zagadnienia, ostateczne wypadki, przez doświadczenie ani roztrząśnione, ani pojęte, ani *sprawdzone* być mogą? Jakto? Miałoby być inny tryb postępowania w początkach nauki, a inny ku koń-

cowi? Mielizbyśmy zaczynać od doświadczeń w rzeczach pod zmysły podpadających, a kończyć na *urojeniu* w sferze ducha?... (Niechaj pierwiej odpowie na te zapytania, ktokolwiek z autorem niniejszego pisma, w tym względzie przedsięweźmie polemiczną rozprawę).

Temi oto czasy, kiedy przemysł, nie tylko dzisiejszą społeczność europejską, ale naukę i wszystkie najwyższe wzgłedy opanował, pierwsi filozofowie niemieccy, wznowieniem za dni naszych myśli starożytnej *ułożenia powszechnego systemu natury*, przywrócili moralną godność umiejętnościom przyrodzenia, jakiej najwięksi, najbłęglejsi empirycy zeszłego wieku we Francyi i w Anglii, nie czuli i nie poznawali. Pierwsi niemcy postrzegli: że natura nie dla samych tylko farbiarzów i garbarzów jest stworzona, ale także dla filozofów. Nowy *organ* pojmowania natury ukształcił się w Niemczech. Tam rozszerzyło się mniemanie: że *umiejętność przyrodzenia dwojakich sług potrzebuje*, jednych coby z niej ciągnęli korzyść praktyczną, ekonomiczną, czyli tak zwanych *empiryków*; a drugich, coby ją staraniem swoim bez żadnego innego względu, dla samej prawdy, dla filozofii doskonalili. — Śmiało rzecz można: zły los wszędzie spotyka umiejętności przyrodzone, gdzie się nimi wyłącznie trudnią *sami* praktycy i matematycy, ci prawdziwi wspomociele i opatrzyciele nauk, którzy jednak rzadko kiedy przenikają do szczerzej ich istoty; ponieważ im samym najczęściej nie dostaje ducha filozoficznego. Gardzą metafizyką i wyższą spekulacją w naukach przyrodzonych, to wszystko czego doświadczeniem sprawdzić nie mogą poczytując za romanse i poetyckie myślenia. Tym sposo-

bem *intellektualna*, idealna strona natury zaniedbana i z granic *pojęcia ludzkiego* wyrzucona została. Tym sposobem zysk stał się miarą wartości wszelkich nowych odkryć, mniemań i wynalazków. Uważając tę opinię, to tylko zarzuciłoby można tym co ją rozszerzyli: że czynią nad obowiązek, powinność swoją, że się wdają w rzeczy, które do nich nie należą; nakoniec, że tego co mówią i piszą sami nie rozumieją. Empiryk trwający w tem mniemaniu, że *prawda idzie tylko z doświadczenia*, niechaj gorliwie odprawuje swe roboty w pracowni, niechaj czyni postrzeżenia jakie chce, ale z swojego niechaj nie wychodzi zakresu i przed innemi nie osławia wszelkiej, która się z jego zasami nie zgadza, filozoficzności. Zawodem jego jest natura objawiona (*naturata*), a zakresem filozofującego naturalisty jest natura objawiająca się (*naturans*). Tamten uważa ją jako *faktum*, jako skutek; a ten jako siłę działającą; pierwszy w stanie *spoczynku* i bezwładności, a drugi w stanie ruchu. Pierwszego nauka nie jest nauką; jest tylko zbiorem encyklopedycznym bardzo potrzebnych nauce, luźnych, szczegółowych wiadomości; ostatniego umiejętność jest *ruchoma*, żywa i t. d. Obadwa użyteczni, jednej sprawie służą; wszakże przydać należy, że nawet empiryzm, *laboratorya* i doświadczenie z użyczenia ducha filozoficznego (jak się to w Niemczech dzieje), pod wpływem teorii piękniejsze wydają owoce; co pokazuje historia nauk przyrodzonych. Nawet dowolne *hipotezy* i *manipulacje* empiryków godniejsze uważania, jeśli z tego źródła początek biorą. — Nareszcie i to także położyć godzi się

że w systemie oryginalnej literatury *dział rzeczy-wistych umiejętności* z działem innych pojęć n. p. poetyckim, historycznym, artystowskim, filozoficznym, toż z życiem społecznym, potocznym, jedynie tylko przez filozofię natury, za pośrednictwem tej *ruchomej, żywej* umiejętności w ściślejsze powinowactwo, i związek organiczny wejść może. Gdzie (jak n. p. u nas) sami empirycy uprawiają nauki przyrodzone, tam one żadnego wpływu nie wywierają na inne części literatury. Co innego w Niemczech! Tu artyści są naturalistami, jak n. p. *Gete* i *Nowalis*, a filozofowie natury najznamienszymi historykami i estetykami, jak n. p. *Gerres* i *Steffens*. — Namawiać do pewnej *uniwersalności* pojęć i ducha, nie jest to zapewne obcemi przykładami zawracać głowy rozsądnym ludziom u nas.

Odrzuciwszy mnogie uprzedzenia we względzie estetycznym, inaczej teraz trzymamy o wartości tworców sztuki. Innem okiem, niżeli przed niewielą laty, patrzymy na usiłowania krajowych artystów. Opinia większości uległa w tej mierze wielkiej zmianie, jaką czas zrządził, jakiej wreszcie społeczna po nas Europa wymagała. Ale nie dosyć na tem. Śmiałym krokiem dalej jeszcze winniśmy postąpić: od *gustu* i *imaginacji* do myśli i rozumowań umiejętności, od piękności w poezyi i sztuce do prawdy w tej bogatej, wspaniałej naturze, która nas otacza. *Nie pojmujemy jej cudem rozumieniem!* Tego nigdy dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: w umiejętności polskiej jest *umarła natura* (naturata); a taż sama umiejętność *skamieniała*, martwa. Tej nauki nie potępiam, owszem przyznaję, że jest nieodbitcie potrzebna; ale utrzymuję: że dla nas potrzeba także żywej

życiem naszym umiejętności, takiej, jaką nas obdarzyć może filozofia naszego jestestwa, filozofia języka polskiego, wreszcie, że tak powiem, *temperamentu i konstytucji* narodowego *geniuszu*, narodowego ducha. Pojmujmy naturę, jako się objawia (*naturam-naturantem*), jako działa! A tego nigdy bez rodowitej filozofii nie dokażemy. Jak przed niewielką laty przesady estetyczne stawiały nieprzetłamaną przeszkodę rozwijaniu się ojezystych talentów w literaturze poetyckiej, tak samo: na polu nauk i umiejętności, szkoła materyalistów i empiryków, nie rozświecona pochodnią krytyki, obwołująca wyłączność i doświadczenie za jedyne źródło prawdy, dotychczas ogranicza w Polsce władzę myśli, i utrzymuje nasz rozum teoretyczny w pewnej opisanej mierze, niby w więzieniu, albo okowach. Wyrwawszy się z *niemowlęctwa estetycznego*, czyż zawsze pozostać mamy w *niemowlęctwie filozoficznym*?

Nauka polska musi wyjść z tego obwinienia; na tem zależy realny postęp naszej literatury. Albowiem wiek nasz jest czasem *emancypacji* we wszelkim względzie.

Te są postrzeżenia co do *umiejętności polskiej*. Czyniłem je samą rzeczą mając na uwadze, a niktogo z piszących u nas w materji naukowej.

Ż kolei teraz mówić będę o piśmiennem *sektarstwie* w Polsce. — Rzecz ta należy do ogólnego widoku dzisiejszej literatury naszej, która nie tylko jest w dziełach uczonych, w utworach artystów, ale także w *opinii* i *dyspozycji* powszechnej. Powiniennem jednak uprzedzić czytelnika, że odstąpiłem w tej mierze od zdania pospolitego: jakoby różno-licowe stronnictwa piśmienne, spory i rozterki literackie miały co szkodzić oświece-

niu. Od tego niektórzy wielkim się krzyżem żegnają.*) Ja zaś przeciwnie sędzę, poczytując wszelkie niesnaski za zbawienne i pożyteczne.

Życie w każdym wyraża się rozśniesieniem mniemań. Pierwszych tego śladów nie trzeba zacierać w literaturze; byłoby to źle zrozumianą miłością zgody i pokoju. *Dualizm* głównym wszystkiego warunkiem na tym świecie. Kiedy przed kilku laty nowe twory ojczystego dowcipu, i nowe wyobrażenia teoretyczne poruszyły u nas dosyć zawilą materję sprzeczek między stronnikami dwóch systematów, tak zwanego *romantycznego* i *klasycznego*, nikt naówczas nie zgadywał, co było istotną przyczyną tego nieporozumienia, i jakie stąd korzyści urosną dla literatury polskiej? Przeciwnie, mniemano, jakoby ta dysputa opanowawszy niedoświadczone umysły, sprowadzić je miała z drogi wiodącej do prawdziwego światła, gustu i piękności. Przyszło nawet do tego, że ludzie w naukach okazali biegli, gorliwi o ich wzrost i powodzenie, młodzież szkolną odwieść chcieli od wszelkiego uczestnictwa w niesnaskach, które oświecają publiczność Francyi i Niemiec tak silnie zajmowały. Tymczasem w skutku się to oczywiście pokazuje, jak niepotrzebna była ich obawa. Teraz bowiem nic w tem wątpić nie mamy, że ów niepokój bardzo wiele dobrego zrządził w krajowym piśmiennictwie: ponieważ obu-

* Właśnie w tej chwili, ogłoszono prospekt na Rozmaitości Kaliskie, których redaktor oświadcza, że ani o sporach romantyków, ani (broń Boże) o *Filozofii* pisać nie będzie.

dził ze snu lenistwa talenta i dowcipy, wychylił z pod cienia rozmaite widoki przedmiotów estetycznych, i wyrwał na jaśniejsze, prawdziwsze opinie w tym względzie. Nareszcie, otarwszy z starych pleśni mnogie uprzedzenia, zniewolił nas do zabrania ściślejszej znajomości z pismami znakomitych literatów, którzy tę samą rzecz w obcych językach roztrząsali.

Gdzie niemasz żadnego *przeciwieństwa*, tam niemasz *ruchu*. Wszystko z czemś innem wiedzie przeciwieństwo. A gra tych przeciwieństw sprawia najpiękniejszy fenomen, — *fenomen życia!* Niechaj kto pojmie, jeśli zechce, taką siłę, któraby się w przestrzeni, bez żadnego oporu, niewstrzymaną rozwijała mocą! Każdą siłę przeciwną powściąga siła; a tem samem czyni ją jeszcze dzielniejszą. Nic się nie ściągnie, bez odpowiedniego rozciągnięcia się tej samej chwili; ani się nic nie zwinnie, bez rozwinięcia; — i przeciwnie. Cobądź wywiąże się, rozwikła z istoty rzeczy, tak że ludzie głośno o tem prawią, piszą, toż natychmiast przeciwną w czem innem moc, własność wzbudzi, potrafi, obrazi. Natenczas jedno walczy i wojuje z drugim, póki węższe, słabsze mocniejszemu nie ulegnie. Lecz tylko przez krótką chwilę, która jak błysk przemienie, trwa ten stan przecięcia się i przeniknięcia dwóch sił przeciwnych; albowiem natura nie cierpi nic statecznego, nie *nieruchomego*. W tym samym momencie nowy odskok, nowy wyskok i nowe siły z pozornej zgody i *tosamości* na przeciwne strony, w przeciwnym kierunku rozniosą się, rozstrzelą.

To samo dzieje się w widomej naturze, jak pokazuje chemia i fizyka. Wszędzie ruch jest znakiem życia! Same przewroty w budzie, to silne

mi rozrywającemi, odpychającemi. Światło, ten atom niebieskich przestworów, rozbity na promienie, czyż nie wpływa na związki chemiczne, i działań chemicznych nie wywiera? A rozszczepiony promień, czyż oddzielnych nie maluje kolorów?—Ciepło, ten inny atom tak nieodzownie potrzebny do życia, i wzrostu roślin, zwierząt, czyliż nie jest głównym działaczem wszystkich w naturze rozkładów, i ową siłą, któraby ten świat cały roztrzęsała, zburzyła mocą rozszerzalności swojej, mocą odpychania się na wszystkie strony, gdyby jej inne siły skupiające i przyciągające, równie dzielnego nie stawiały oporu?—Toż samo postrzegamy w naturze niewidomej, — w myśli ludzkiej, w naszym sercu, w naszej duszy. Historia na tym zasadza się *dualizmie*; wszystkie stosunki społeczne są grą tych przeciwieństw. Z tej to przyczyny nikt swej woli nie dogodzi, bez odpowiedniego czyjejs innej woli odporu. Gdzie jakakolwiek usilność zmierza do celu w kierunku prostym, oznaczonym, tam niepochybnie przeciwne zbija ją, i potłumia staranie. Ztąd ruch, ztąd, postęp, ztąd wyścig we wszystkich sprawach. Śmiech w rozpaczy jakże okropny! A smutek, kiedy się inni weselą, dotkliwszy niżeli w powszechnem rozżaleniu. Nadzieję bojaźń umacnia, krzepi; chęć do pracy wielkie podniecają trudności. Przez działanie i oddziaływanie, w *akcyi* i *reakcyi* wszystkie się wykształcają mniemania, wszystkie stronictwa, wszystkie talenta.

Tę *dynamikę* widzę także w dzisiejszej literaturze polskiej, — w naszym estetycznym sektarstwie. Dwie się o pnie starły. W jednym następnym rozdziałów pokażę, że u nas nie masz ani

romantyków ani klasyków; że te wyrazy brać potrzeba nie w tem rozumieniu, jakie się tu rozszerzyło, lecz wcale innem, a przynajmniej bardzo różnem od tego. Pod temi tylko jakby zwierzchniemi znakami rozprawialiśmy z sobą; ale w gruncie rzeczy szło o co innego, może i nie przypadającego do miary z tą *materią*. Cóżkolwiekby to dotąd trwające nieporozumienie jest niejako środkowym punktem i duszą piśmiennego sektarstwa w Polsce. Rzecz dziwna i godna uważania! Od czasów kłótni *Orzechowskiego z Stankarem* i *Modrzewskim*, żaden rozterk piśmienny nie był u nas tak głośny. Żaden przedmiot literacki tyle piór nie zaprzętnął. Żadna waśń nie zrządziła takich skutków. Pod tym względem staliśmy się częścią europejskiej publiczności dziewiętnastego wieku. To samo bowiem odstępstwo od prawodawstwa Apolinowego, toż odstrychnięcie się od poetyckiej wiary, jakie zburzyło spokojność na świecie literackim postronnych narodów, i u nas także od lat kilku szerzy się, nie za szkolnemi ławami, ale, co daleko więcej znaczy, w dobranem światlejszem towarzystwie i całą niemal Polskę od jednego końca do drugiego przebiega. W salonach, gdzie mało co przedtem popisywały się ulotne tylko dowcipy ulotniejszymi jeszcze błyskotkami, panuje teraz gust daleko prawdziwszy, nie samej tylko ogłady i zewnętrznej okraszy szukający; w mniemaniu powszechnem nawet gruntuje się i znawstwo i rozsądek estetyczny. Taką zaś ma dziwną siłę, taką moc nie ukróconą owa *dysputa*, że i ci co żadnego wyobrażenia nie mają ani o *klasyczności*, ani o poezyi romantycznej, chcieliby jednak należeć i w samej rzeczy należą do tej lub tamtej koteryi literackiej. Więcej po-

wiem: nietylko należą przyjęciem nazwiska jednego z dwóch stronnictw, ale po wielekroć trafia się, że piszą, choć tego, o czym piszą, często sami dobrze nie rozumieją. Piszą źle, nie obeznawszy się pierwej z rzeczą. To prawda. Ale jednak piszą, rozprawiają, myślą. Czyli innemi słowy: uczą się i myśleć, i pisać, i rozprawiać. Częstokroć atoli zdarza się pod tym względem czytać bardzo dobrze pomyślane i wyłożone artykuły w naszych dziennikach peryodycznych. Rzecz ta jest dosyć ogólna, oderwana, metafizyczna, przynajmniej kiedy ją przyłożymy do miary zwyczajnego pojęcia. Przeto, po odciążeniu nazwisk i przedmiotu, możnaby uważać ów spór romantyków z klasykami jako pole ćwiczenia się w rozumowaniu, jako *gimnastykę* umysłową; a może jako przynętę i wab do wyższych rozpraw. Powtarzam raz jeszcze: literatura nie w samych tylko piśmiennych mieści się tworach, ale jest także w opinii publicznej. Stosunek tej do tamtej obojętny być nie może dla prawdziwego krytyka.

(Z niezdolności ocenienia tego stosunku dziełne się u nas wyrobiły mniemania o *sektarstwie estetycznem*. Są, co by to przytrzeć chcieli i jednym zakończyć rozstrzygnięciem. Inni wpadli na myśl pewnej *medyacyi*. Zjawił się nawet w Warszawie rymowany projekt do zgody. Rozjemca z politowaniem mówi o jednym i o drugim stronnictwie, gładkim wyśmiewając wierszem i klasyków i romantyków.—U innych literatów w stolicy różność zdań jak w tej, tak i w każdej innej mierze za nic nie waży. Pomiatając wszystkiemi polemicznemi *dyskusyami*, znać nie pojmują jeszcze natury *opozycyi*, ruchu i zasady dynamicznej w literaturze. I tak np. „Pamiętnik warszawski umiejętności

czystych" (tom III, zeszyt 1, str. 55) oświadcza: „Tyle już od pewnego czasu *nađ* (!) romantycznością i klasycyzacją pisano, tyle o zasadach jednej i drugiej prowadzono zaciętych sprzeczek, że *najżarliwsi miłośnicy* poezyi, znużeni próżnem piór szermierstwem, zarzuceni niesfornych zdań tłumem, *przy największej zdolności swej do ocenienia i czucia twórców poetycznych* (?), nie wiedzą, co przez klasycyzność i romantyczność rozumieć mają i jakie są tych dwóch rodzajów poezyi cechy.“ — Że „*najżarliwsi miłośnicy* poezyi“ nie wiedzą, co mają rozumieć przez klasycyzność „*przy największej zdolności swojej* (jaką zapewne pan redaktor tego działu „Pamiętnika umiejętności *czystych*“ mieć musi) *do ocenienia i czucia twórców poetycznych*, niema się czemu dziwić; bo ci *żarliwi miłośnicy* bawić się chcą poezją, a nie rozumować w rzeczach teoretycznych; ale że Pamiętnik umiejętności *czystych* nie wie dotąd jeszcze, co ma rozumieć przez klasycyzność i romantyczność, temu słusznie dziwić się można. Pamiętnik umiejętności *czystych* nie wie: jakie są tych dwóch rodzajów poezyi istotne cechy? Ale, pytam się, któż powiedział „Pamiętnikowi“, że klasycyzność i romantyczność są *rodzajami* poezyi. To nie są szczególne rodzaje poezyi. Owe wyrazy służą ku oznaczeniu dwóch wielkich systematów we względzie poetyckim i artystowskim, różniących się *genetycznie* tak co do zewnętrznej istoty, jako i zewnętrznego kształtu, dwóch przeciwnych sobie systematów, z których jedno obejmuje starożytną cywilizację grecką, a drugie Europę chrześcijańską. — „Przyczyną tego nierozumienia — mówi dalej „Pamiętnik umiejętności“ — i niewyrozumiałości obustronnej są same wyrazy *klasycyzność* i *romantyczność*, które dają się brać w odmiennem

znaczeniu i jako przypuszczające rozmaitość wykładu, nie mogą do jednostajnego doprowadzić wniosku. Z tego braku dokładnego określenia pochodzi ta *obszerność* rozumowań, a bez pewnego końca i rezultatu.“— „Filozoficzny Pamiętnik umiejętności czystych“ ma, jak widać, niezmyśloną odrazę ku *obszernym* rozumowaniom. Jest to nowy *horror!—horror ratiocinationis*. Rzecz nudna i nieznośna długo rozumować! Trudno jednak przystać na zdanie „Pamiętnika“, żeby te rozumowania były bez pewnego celu i końca. Ten *koniec* i ten cel mieszczą się w dziełach sławnych krytyków, począwszy od *Lessynga* do *Szległów*. Tylko że te ich pisma tak przeraźliwie są *obszerne* i tak nielitościwie długie zamykają rozumowania!! Tego się „Pamiętnik umiejętności czystych“ najwięcej obawia. To sęk najtwardszy. Ale *Winkelmann* wiedział przecież, co ma rozumieć przez *klassyczność*, a *W. Szlegel* dowodnie i na oko pokazuje, co przez *romantyczność* rozumieć trzeba. Gdyby był „Pamiętnik“ zasięgnął rady tych pisarzy, nie byłyby zapewne kładł skargi na brak ścisłego określenia.—Lecz we wspomnianym artykule „Pamiętnika“, jako i we wszystkich innych filozoficznych i estetycznych (a które jednak filozoficznymi nie są), tyle jest szczegółowych zdań i zabawnych wysłowień, że dla samej osobliwości wstrzymać nad nimi muszę uwagę czytelnika. I tak np. twierdzi dalej „Pamiętnik: --- „Francya dzisiejsza *nie może nie poglądać z góry na romantyczność, jako na plód niedawny i pośród gminu wyległy*.“ --- Cóż znaczą wyrazy: Francya *nie może nie poglądać z góry?* --- Na kogo? Na najznamienitszych pisarzy swoich! Na *P. Stael*, na *Szatobrianda*, na *Hugona*, na redaktorów najlepszych dzien-

ników literackich, jakimi są „Revue de Paris“ i t. d. Na takich krytyków, jakimi są *Chasles* i *St. Boeuf*? Francya nie może *nie* *poglądać z góry* na tyle rzadkich talentów, które zdobią, wzbogacają jej dzisiejszą literaturę poetycką, krytyczną i historyczną? Na tylu pisarzy, którzy wszyscy odstąpili od mniemanego *klasycyzmu*? Nie może *nie* *poglądać z góry* na poezję ojczystych wspomnień, na poezję oryginalną, którą „Pamiętnik“ nazywa *plodem gminu*? Trzebaż przypominać „Pamiętnikowi“ (który z samego nazwiska swego wiele pamiętać powinien) że najpiękniejszą poezją jest poezya ludu, a nawet poezya gminnych narodowych podań? Nigdy poezyi *arystokratycznej* nie było. — Dalej utrzymuje „Pamiętnik umiejętności czystych“: „że *podobanie* się jest stanowisko, z którego w poezyi i sztukach o dobroci tworców się sądzi.“ — Od *Baumgartena*, pierwszego założyciela filozoficznej teorii smaku, do *Szellinga* i *Hegla*, nikt prócz „Pamiętnika umiejętności czystych“ takiej maksymy za zasadę estetyki i główną cechę doskonałości dzieł sztuki nie położył. Co większa: tenże „Pamiętnik“ utrzymuje, „że każdy skąpiec jest poetą, kiedy z niepojętą i skrytą radością waży i chowa do szkatuły złoto.“ — Rzecz najniepoetyczniejsza w świecie! „Pamiętnik“ byłby może miał słuszność w tym względzie, gdyby był powiedział, że taki skąpiec jest *przedmiotem* poetyckim np. dla malarza flamandzkiego, wyrażającego chciwość i ukontentowanie w rysach twarzy sknery, lichwiarza i t. d., albo dla poety kreslącego taki charakter i taką scenę w komedyi lub powieści historycznej. Lecz nie idzie zatem, żeby sam skąpiec miał być poetą. Na to się nikt nie zgodzi. „Pamiętnik umiejętność, po-

włada, „że i dworak jest poetą, kiedy nadzieje i widoki swoje buduje na uśmiechu swego potentata.“ Ale to jest nadskakiwanie i służalstwo nie poezya. *Pamiętnik* nie odmawia tytułu poety nikomu. Daje go próżnym i ambitnym (str. 89) odważnym i lęklwym, ubogim i bogatym, młodym i starym; słowem tym wszystkim co się rodzą i umierają. *Pamiętnik* częstuje czytelników swoich wyjątkami o smaku z dzieł *Hugona Blaira*, a delikatność i poprawność kładzie za najwyższe prawidło sztuki (Tom III, zeszyt 11, str. 12). *Pamiętnik* przyjacielskiem zaleca piórem listy *Władysława do Celestyny*, gdzie cała estetyka mieści się w kojcu między gęsiami i kurami. Nareszcie *Pamiętnik* Izorę P. Odyńca uważa za twór geniuszu!!! Słowem *Pamiętnik umiejętności czystych* nie najczystsze miewa zdania w rzeczach estetycznych.

Jednym odprawię zachodem inne jeszcze uprzedzenia pod względem *sektarstwa*, jakie się samopas w oddzielnych broszurkach wałęsają. Pan *Oboleński* rossyanin przełożył r. 1827 z greckiego na język rossyjski dzieło Platona „o Prawach“. (*Platonowy rozhowory o zakonach. Perewod Obolenskaho z greczeskaho. Moskwa 1827*). Okoliczność ta dała powód p. *Józefowi Jeżowskiemu* do ogłoszenia w Moskwie roku następnego książeczki polskiej p. t. „O postępie badań filozoficznych we względzie pism Platona“. — Tę książeczkę poprzedza przedmowa, w której p. Jeżowski tak pisze: — „niema przypadku, w którymby pisarz chcący *pożytecznie i roztropnie na jaw wystąpić, mógł nie dosyć pamiętać: co? kiedy? dla kogo? na co? i w jakim języku pisze?*“ — Rzecz godna uważania, że p. *Jeżowski* powziąwszy tak doskonałe wyobra-

żenie o obowiązkach pisarza, nie starał się im za-
 dość uczynić i przykładem swoim stwierdzić
 wskazanego prawidła. Z wielkiej bowiem chęci
wystąpienia pożytecznie i roztropnie na jaw, zapomniał
 najpierwej co pisze, kiedy pisze, i dla kogo? Zamierzył okazać publiczności polskiej, że tłumacz
 rosyjski chybił w wyborze dzieła omylnie przy-
 pisanego Platonowi, a zamiast tego bije na miło-
 śników sztuki, zaprzeczając im prawa do sądu
 o rzeczach estetycznych; „albowiem“ — są słowa
 p. Jeżowskiego, — „nie mają oni stałej, przyznanej
 i urzędzonej posiadłości w państwie naukowem“!
 Cóż znaczy stała, przyznana i urzędzona posia-
 dłość w państwie naukowem? — Czy katedra
 w akademii? Czy patent nauczycielski? Czy to-
 ga? Więc podług p. Jeżowskiego, kto nie ma ka-
 tedry, patentu i togi, ten ani myśleć, ani pisać
 nie może!!— Kto tak sądzi, nie *występuje na jaw*
pożytecznie i roztropnie. Powiada dalej p. Jeżowski
 „że rozległa sfera pięknej literatury coraz bar-
 dziej ścieśnia się u nas“.— Dla czego?— „Bo tru-
 dne powołanie tych uczonych, którzy mogli mieć
 imię znawców, przestało być dostojnym *urzędem*
nie wielu wybranych“.—Więc do sądu o sztuce
 koniecznie potrzeba *urzędu*? Potrzeba aeropagu?
 Trojnoża delfickiego wyrokującego wśród kłębow
 dymu? A my drudzy, czerń niewtajemniczona
 w poświęcone misterstwo uprzywilejowanej kryty-
 ki, czołem bić będziemy przed tymi arcykapłana-
 mi sztuki?—P. Jeżowski zapomniał kiedy pisze? bo
 w XIX wieku podobne opinie własną upadają nie-
 mocą.—Naostatatek, nie mogę tego przewieść na
 sobie, żebym, dla ujęcia pod jeden widok tylu
 krzywych zdań, charakteryzujących potoczne pi-
 śmiennictwo *krakowe*, nie wspomniął przy zdarzo-

nej okoliczności o innej jeszcze broszurce wydanej w Warszawie roku zeszłego pod tytułem „*O nagannym zwyczaju używania słodkiego merkuriuszu.*“ Autor tej broszurki, równie jak p. Jeżowski, zapomniał co? i dla kogo? pisze. Chciał pisać o słodkim merkuriuszu, a zaczął w przedmowie od tego: — „Że niepodobna przyjsć inaczej do wydania własnych płodów, *tylko przez naśladowanie, że tę tylko drogę mając w naukach upoważnieni jesteśmy do ślepych naśladowań, do przejmowania cudzych utworów imaginacyi, lub rozumu, że na obfitości schwytyanych tym sposobem cudzych własności mądrość się nasza zasa-
dza.*“ (str. 4).— Z tych założeń tak dalej autor rezonuje: — „że w sztukach pięknych dziwna moda oryginalności wywraca dawne zasady poezyi, znosi wszystkie kształty foremne dla tego, że stare i stawia natomiast wyboczenia rozbującej imaginacyi zagorzalców romantycznych“. — Te zdania nie potrzebują rozbióra. Ale trudno nie zapytać się autora wspomnianej broszurki: jaki ma związek sztuka i poezya romantyczna z *słodkim merkuriuszem*, czyli, jak go nazywa autor, z solnikiem żywego srebra? Taki sam zapewne, jaki zachodzi między tą poezją, a przedmową p. Jeżowskiego do broszurki okazać mającej, że traktat o *Prawach* mylnie przyznano Platonowi. — Krótko mówiąc: rzadko kto weźmie u nas pióro do ręki w jakimkolwiek celu, żeby zdrożywszy z toru nie wjechał na manowce i kręte ścieżki romantycznego labiryntu. Wszyscy biją na sektarstwo, a niechęcący stają się tegoż uczestnikami. Z czasem przyjdzie ku temu: że rozprawy techniczne np. o sztuce wyrabiania mydła, i garbowania skór, albo wypalania gliny garncarskiej, zaczną

się będą od przedmów, zamykających wykład teorii piękności w poezji i sztuce. Niema co mówić: pisarze doskonalą się, cywilizacya naprzód postępuje). Nie sami tylko autorowie, ale i czytelnicy pomagają piśmiennictwu. Gdy podobne nieporozumienia, jak w systemie terażniejszej literatury poetyckiej zakłóca u nas spokojność we względzie filozofii i umiejętności, tak głuchą, i tak wygodną ospałości lenistwa, natenczas może otrząsnimy się z niemocy dyalektycznej, jak poczęści zaczynamy wychodzić z krytycznego *obskurantyzmu*; wówczas *spekulacyjne*, metafizyczne, *transcendentalne* teorye, jakie daleka przezorność naszych uczonych kłatwą obłożyła, otworzą nieznaną drogę młodzieży polskiej i myśl nieznaną potęgą działać zaczną.

Że starszyna uczonej *hierarchii* polskiej krzywo z urazą dotąd nieukojoną patrzyła na to rozerwanie jedności w rzeczach ojczystego Parnasu, wielorakie tego przyczyny naznaczyć można. Albowiem nie sięgając baczniejszym rozmysłem zmiany, jakiej w sobie doznało na początku dziewiętnastego wieku powszechne niemal systema poetyckiej i kunsztownej literatury europejskiej, chciała pierwwej spuścić na sąd głowy swojej, i jako się jej podobało przyjąć albo odrzucić, co nie poszło z przygody, ale z osobnego zrządzenia co koniecznie nastąpić musiało, co było wypadkiem ogólnej dążności i ogólnych usposobień. Przeto wszystką chęć swoją, myśl i starania położyła była zrazu w obronie szkoły, wsławionej przez pisarzy francuskich tak we względzie praktycznym, jako i teoretycznym, którą osobiłwie zaszczycały: długie powodzenie na świecie, i nazwisko okazalsze niż właściwe, albo zasłużone.

Lecz nie tak to łatwo potłumiają się w narodzie usposobienia choć nie zupełnie rozwinięte i nie tak łatwo powszechniejsza dążność się wstrzymuje.—Mniemano natenczas, że tak zwana *romantyczność* jest tylko jednej, lub kilku głów wynysłem, toż jakoby była szczególnym rodzajem poezyi, jak np. bajka, satyra, albo sielanka. Widziano w tem sam niesmak, samych upiorów, czary, samych duchów i nieboszczyków chodzących po świecie. Wyobrażenie literatury ledwo nie do samych romansów i wierszopisarstwa było u nas zacieśnione. Nikt jej nie uważał w związku z przeszłością, w związku z masą myśli i pojęć,—którymi się istota narodu wyraża. Wynaleziono nazwisko *pięknej literatury* ku rozrywce kobiet i beletrystów; a postawa tych trefnisiów w literaturze, była że tak powiem, jedwabna,—nawet ich słowa były pieszczone. Oni mieli zemdloną mowę. Światlejsi rozumieli przez poezyę kunsztowną tylko zabawę, igraszkę, cacko. I nic więcej! Z przyczyn naturalnych takie zdania w dzisiejszym czasie do miary już nie przypadają; nie mogły też ku sobie pociągnąć literackiej młodzieży. Tę jak gdzieindziej, tak i nas większa może umysłu giętkość, a żywsze bezwątpienia objęcie i niestępięne uczucia sposobniejszą czyniły ku prędkiemu wtajemniczeniu się w owe misterstwo niewidomego ducha, sprawcy wszelkich przeobrażeń w literaturze dzisiejszych ludów Europy, który jednym, ale pochmurnem wejrzeniem ośmielił geniusz poety, artysty, filozofa, podając im do ręki władzę nigdy przedtem nie znaną z takiej mocy, rozdzierając przed nimi zasłonę, nigdy nie ukazanych dziwów w naturze, w sercu ludzkim w przeszłości, we wszystkim co ich otaczał!

Błyszczała ta nowość młodzieży polskiej tak nadobnie w dali, że tą razą ani rady, ani upominające przestrzeganie, ani nauka pomiaru, nie włożyły na nią żadnego przymuszenia. W tym dziele narodu zamykającym najpiękniejsze jego nadzieje, przyklaskiwano nowej Muzie, co nie wiedzieć skąd, i nie wiedzieć z jakiego zrządzenia liczne, wspaniałe dary naokoło siebie rozdawać zaczęła to temu, to owemu, wedle swęgo upodobania. Jej uśmiech nie był z tego świata! Smutna, żałosna, polubiła to ustronie nad Wisłą, Wilią i Dnieprem, i nasz ostry klimat, i nasze niebo pochmurne. W szacie ukazała się białej, a nikt nie wiedział co to za zjawisko? Nuciała różne pieśni i górne, i gminne, na wysoką nutę i niską, pierwsze westchnienia swoje mieszając jakby z zarannego wiatru powiewem. Młodzieńcze tylko uniesienia wspanialszą jej cześć wymierzwały; w poważniejszym kole wzruszano ramionami. Tu doznała albo niegościnnego przyjęcia, albo publicznej wzgardy, obelg. Każdy wiek cenią ludzie podług przeciwnych, wojujących z sobą ostateczności; lubo zresztą przyznać trzeba, że i to co się w środku między niemi dzieje, godne także uważania, jeżeli nie pamięci. Jakożkolwiek bądź: gdzie tylko pokaże się coś nowego, niezgodnego z dawniejszem, już to pewnie z tej lub innej miary zburzoną, zepsutą oznacza równowagę. Sami prawie młodzi pisarze ten spór popierali, zasilali, wymyślając coraz nowe podniety i waby, żartkimi dowcipem swoim, trudnym ku ukróceniu, jeśli się raz w czemkolwiek rozżarzy, a kiedy który z starszych braci poważniejszym, uczonym ozwał

się głosem, głos ten nikomu żadnego pożytku nie czynił: albowiem twarde były ich słowa i niewzględne. Jak z jednej, tak i z drugiej strony nie postąpić nie chciano. Jednym szła gra o zasłużone mistrzostwo nad opinią współczesnych, a bardziej jeszcze o to, żeby jak najdłużej cieszyli się mirtową na skroniach opaską i wieńcami apolinowej chwały, jakby te zwiędnąć nie mogły; drudzy nadstawiali się przykładami, które zdobił wdzięk świeższych powabów, którym nadto zgodność z duchem czasu i wzniosłemi jego wyobrażeniami okrasa przysparzała.

Jakże? — Cóż znaczył u nas ten głośny rozterk, że jedni nazywali się *romantykami*, a drudzy *klasykami*? Wszyscy unieśliśmy się wiatrem nowej nauki, wszyscy dzieliliśmy te nieporozumienia. Nie było to jednak naśladowstwo postronnych swarów, ani też dziecinna słów igraszka. Nie ważmy sobie tak lekko rzeczy, które się daleko w narodzie rozpostarły, a przynajmniej między światlejszą publicznością. Potrzeba dalej zasięgnąć i baczniejszym rozmysłem. Lecz cóż powiem nowego w tej mierze, czegobym już potylekroć nie wypowiedział?... *)

Czy możemy razem z mieszkańcami południowych krain zawołać w uniesieniu: *to niebo nad nami i ta ziemia, te góry i te doliny pierwszych wieszczów naszych natchnęły!* Gdzieindziej poezya poprzedziła wschód rzesistszej przez główne umiejętności oświaty. U nas przeciwnie się

*) W pismach: *Dzienniku Warszawskim*, *Gazecie Polskiej* z r. 1828, nareszcie w *Kurjerze Polskim*.

stało. Z zapadłych czasów żadne harmonijne pieśni nas nie doszły, — tylko może świągotania niestrojnej gęśli. Gdzież są ojcowie naszej poezyi? Daremno szukalibyśmy ich w tej omglonej przeszłości, kiedy z śmiałych przedsięwzięć i rycerstwa w przełożeniu, plemię Piastów na słowiańskiej ziemi słyneło. Bolesławowie podobno żadnego barda nie mieli. Czasy poetyckie, godne śpiewu bardów, przeminęły bez wieszczonego uniesienia. Sprawy, mądrość wielkich mężów w gminnej pieśni, w pieśni ludu nie zawiekowała; co przeszłe czasy staraniu następnych pokoleń poruwały, zdaje się, odkazem wspianiałej puścizny.

Ocalała w Saksonii z czasów najazdu Franków pamięć irmińskiego słupa. Starożytne, cienne dęby poświęconego gaju *Wodana* nie straciły czarnoksięskiej natury. Przypomniano sobie czasy wielkiego Hermana, — Witykind ożył. — Ale my jeszcze piękniejsze mamy zabytki!

Na polach maratońskich, pod Salaminą i Platęą ścierała się przemoc Azji z duchem greckiej wolności, — wiele śpiewacy biegli w zawód ku uczczeniu tej sławnej pamiętki.

Daleko pierwej jeszcze niebezpieczeństwo groziło grekom, w małej Azji osiadłym. Gdy Cyrus zawojował państwo Krezusa, Solon i Pizystrat uczuli w sercu trwożę. Przewidując bliską burzę, która się później pod Daryuszem i Kserksesem na Grecyę oberwała, zbierają w całość rozerwane części narodowego pieśnioksięgu Homera. W sercach ziomek wzbudzają heroizm cnoty wspomnieniem dalekiem, jako kiedyś bohaterowie greccy, podawszy sobie bratnie dłonie, obrócili spólną siłę przeciwko Azji, zburzeniem

Troi wetując uczynioną jednemu z pośrodku nich
zelżywość.

Gdy burzą przeciwnych losów
Walka żywiołów szaleje;
Słyszę pieśń jego śród grzmotu odgłosów
Widzę go w połyskach gromu
Jak z tego nocy poziomu,
W zagrobnych krain zamęcie
Nieśmiertelności widzi się nadzieję.
Taki świetny, a taką pomroką odziany
Na rozchwianym stoi okręcie,
Pośród wichrów dzikiej wrzawy,
Szturmuje morze do nawy;
A on niezłękły, spokojny
Jak gdyby słuchał tryumfalnych pieni,
Z brzmiającą w pewnej ręce struną
Wlepił oko w burzę łono,
Jakby we tle tych płomieni
Widział zwierciadło swej chwały,
Jakby w tej gwiazdzie co lśni nad obłokiem,
Kiedy go piorun rozdwoi,
Widział spojrzenie kochanki swojej, —
Jakby te gromy jego chwałę grały!
Z spokojną piersią, z niezmrzużonem okiem
Unosi się okazały ponad śmierć, ponad zniszczenie.
O tajemnicze wieszczu zachwycenie!

Taki obraz poety Luzytanow, kreśli *Seweryn Gósczyński* w tych pieśniach lirycznych, których rękopism czytałem. *Tajemnicze wieszczu zachwycenie!* Któż wypowie jaki wpływ mógł mieć Homer na uczucia i imaginację synów Grecyi, co poległ pod Termopilami? Poezya w Grecyi z poe-

zyi się rodziła; sama ją stworzyła natura; myśl, natchnienie jednego pokolenia wraz z życiem dostawało się drugiemu puścizną. Ten początek i taki wzrost literatury!

Na otworzystem błoniu pod *Poitiers* mocował się *islamizm* z chrześcijaństwem. Natenczas jedna z tych dwóch *idei* zagasła. Niektórzy chcą wyrzucić z historii ten wyraz „*gdyby*,” w czem jednak nie zawsze słusność mają. *Gdyby* był *Abder-Rahman*, a nie rycerski *Karol* odniósł natenczas zwycięstwo, jakież byłyby rzeczy wzięły obrót we Francyi i w Europie? Oto niechybnie na świątyniach pańskich powiewałyby chorągwie *Mahometa*! A gdzie teraz sterczą pod niebiosa pomniki feudalnej architektury, gdzie się wznoszą ciemne, melancholijne, gotyckie massy, rzniete w zygzaki, filigranowe kopuły, wieże kończaste z misterną na wierzchu murów zębaczyną, tam przypatrywalibyśmy się wspaniałym *meczetom*. Bieguny wiatro-nogie Kalifów zarżałyby nad Renem; a możeby je i w naszej Wiśle pojono. Bądź cobądź, gwiazda Aldeboranu dłużej, w niezamierzone lata świeciłaby plemionom dzikich pustyń i stepów. — Czyż zwycięstwa greków nie miały żadnego wpływu na ich kulturę? — Czyż zwycięstwa Karola Martela, Karola W., nie zasłyneły w pośrednich wiekach? Ileż stąd podać, ile tradycyi, — jakie *sagi*?

Wieki są jako obszerne place, gdzie się wywijają z zawiązków, rozwikłują, szerzą, starzeją i drobnieją pewne pomysły, pewne *ideje*, które wszechmocna, dobroczynna, a czasem i karząca ręka Opatrzności snuje na nierozdziernioną i w coraz większą płaczącą się gmatwaninę nie wątkową tłu dziwnych i coraz dziwniejszych losów.

tylu niewybadanych rodu ludzkiego klęsk i powodzeń. Ku tym pomysłom odnoszą się i z tego źródła wypływają wszystkie poruszenia, wszystkie ważniejsze sprawy. Gra tych wyobrażeń, tych *idei* jest historią. Rozproszone po ziemi plemiona ich moc przywdziewają; tą mocą działają. Stąd kolej zdarzeń, porządek wypadków. Narody są *reprezentantami* tych *idei*; a wielcy ludzie na to się tylko rodzą, żeby je władzą namiestniczą, z zlecenia braci swoich sprawowali. Wielcy ludzie, jak powiada *Cousin*, bądź dobrą radą, bądź szablą w boju wspierają takie *ideje* i niemi tłumią inne przeciwnie, któreby się także szerzyć chciały — Ledwo nie tym samym kształtem, jak jedne rośliny, a czasem zielska krzewią się nieprzerodną płodnością ze szkodą innych roślin, nie mających takiej siły wegetacyjnej. — Jeżeli się w życiu jakiegokolwiek narodu tak rozległa *idea* nagle szerzy, rozplenia: w tym czasie najwięcej usposobień, najwięcej twórczych zdolności, — a zatem najwięcej poezyi.

W dziejach polskiego narodu nie jedna wielkimi nadziejami rozbłysnęła chwila! I u nas nieprzerodną płodnością szerzyły się rozległe pojęcia. *Mieliśmy poetyckie czasy*, czasy olbrzymiej mocy; mieliśmy rzeczywistą poezję w życiu, lecz nikt jej nie przekazał następnym pokoleniom utworami poetyckiego geniuszu. Tę myśl potrzeba dobrze zrozumieć; to bowiem, jak sędzę, charakteryzuje naszą dzisiejszą poetycką literaturę. Z tego tylko względu uważać ją będę.

Wejrzymy naprzykład w wiek *Bolesława wielkiego*. Szerzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genialna *idea*, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak po-

viem, namiestniczą sprawował władzę ludów słowiańskich. Myśl ich jedności, mocy, chwały! Bolesław tę ideę rozpleniał szablą swoją, nie dopuszczając, żeby przeciwna w krajach słowiańskich *idea* germanizmu, niemniej wówczas potężna. świetna, wojująca, przed nią przodek otrzymać miała. Był on nie tylko królem polskim, ale zarazem opiekę swoją na wszystkich rozciągał słowian. Tą cechą oznaczone jego wojny z Niemcami. Ta myśl opatrzna kierowała ledwo nie każdym jego poruszeniem. Dla tego takie oko miał na Czechy. Z tej przyczyny dzierżaw swoich tak upornie bronił w Misnii i Milzawii. Inne przedsięwzięcia *Bolesława* są raczej sprawą zdobywcy, niżeli rozmnożyciela, i patrona wspomnianej *idei*... Gdzież ojcowie poezji naszej? Kiedy opatrzność powołała *Bolesława* do przełożenia w narodzie polskim,—ten czas prędkiego wzrostu, czas powodnego szczęścia, był gdzieindziej, jak np. w Grecyi, w Hiszpanii, we wszechątku nowszych społeczeństw europejskich, w Anglii, w Niemczech, we Włoszech, czasem poetyckiej *inspiracji*, zawodem śmiałych geniuszów, i niejako idealną podstawą, skarbnicą literatury następnie kształconej i pomnażanej. U nas ogromne w krótkim czasie państwo powstało. Postrzegamy przed sobą charakter poetycki! Romantyczną postać dziejów polskich! Jak *astralne* światło jaśnieje ten ulubieniec Lelewela w odległej dali naszych czasów. Jego kraj szeroki, — jego lud prosty, niebywały, źle otarty z bałwochwalstwa, po tej przestrzeni rozsypany wiejskimi osadami, wśród nieprzetrzebionych puszczy, wśród głuchych lasów. Szlachta drapieżna, ni z praw ni obyczajów w swej woli ukrócenia nie mająca. Zewsząd groźny nieprzyjaciel!

Tu hordy dzikszych Słowian, którzy się jeszcze ciosanym bożkom kłaniają, — owdzie przemoc sąsiedzkich Niemców. Jaka burza nad głową młodego króla! Jaki plac do szlachetnego zawodu! Temu jednak podołał ogromowi, bo nim władał duch plemion sławiańskich, równie nadzwyczajny i silny, jak były nadzwyczajne, a prawie nadludzkiej siły wymagające ówczesne okoliczności. Wiarę krzepi, mocuje, szerzy światło; ujmuje w kluby swawolę, niesforność; gromi nieprzyjaciół; ich dzierżawami swoje pomnaża. Od Odry do Dniepru niespracowany goniec, wódz i żołnierz, ustawodawca, i gospodarz, ubezpiecza niepodległość państwa, wewnętrzny porządek ustanawia. Odziedziczywszy po ojcu, jak powiada Naruszewicz „obszerłą nিকেzemość“, puścizną przekazuje następcom dostatek, chwałę, i postrach swego imienia. A też figury co go otaczały? A ci bojarowie z dzikimi, leśnymi sercami, odważni, bitni, pancerni? A ta starszyzna? Wywołajmy sobie z pamięci te wszystkie postacie!! Wystawmy sobie *Bolesława* w domu drewnianym, którego ściany, jak je *Lelewel* opisuje, bogato ubrane, złotemi i srebrnemi blachami, tarczami i szablami, od kamieni i kruszcu lśniły się. Wyobraźmy go sobie jako rozmyśla o darowiźnie *Otona*, co mniemanem prawem wszystkie słowiańskie bałwochwalskie narody jego dziedzictwu zostawił. Albo też, kiedy przy wieczerzy w Pradze czeskiej odpowiada ze wzgardą kapelanowi biskupa kolberskiego, który mu oznajmił niespodziane wtargnięcie Niemców: — „że te żaby tak rychło przyczołgać się nie mogą“. — Nie wyrażasz się temi słowy duch rycerza, co nie zna w sercu żadnej trwogi? Rozum i imaginacją zaj-

mują sprawy *Bolesława*. Wszystkie zafarbowane tą poetycką farbą. Jego przymierze z *Ottonem*! Jego polityka! Jego przyjaźń z świętym Wojciechem, i mnichem Gaudentym! Scena w lesie pustelnicznym! — Rysy, właściwość charakteru, wiek, ludzie, okoliczności, wszystko to stawia tego króla jakby w świetle romantycznej wieści, której najbujniejsze zmyślenie nicby nie przydało godniejszego pamięci i zadziwienia. Nawet wiara ludu osnuła go mgłą poetycką. Szczerbiec miał mu się dostać z rąk anioła. Wieść się także daleko rozniosła, jakoby na znak zwycięstwa nad Rusinami miał powrzucać do Dniepru misterną robotą udziałane trąby, przez które sącząca się woda, dźwięk dziwny w powietrze wydawała.

A ów inny rycerz odarty z zaszczytu dostojenstwa! tułacz w kاپicy mniejszej? A dalej *Eokietek*,—cień za cieniem, i tyłu potem, których słodka została pamiątka w Polsce! Dziwni, wielcy, których z jednakiem zachwyceniem, z jednaka chlubą, jakoby cudotwórców jakich wspominamy, którzy ustawodawcę, polityka, filozofa, sztukmistrza, poetę w równej mierze obchodzali...

Tak jest!—mieliśmy poetyckie czasy. Kiedy przeminęły, kiedy się wszystko w nic rozwiało, dopiero za naszych czasów zjawili się poeci. Nie w kwiecie, nie we wzroście, ale ku schyłkowi. Cieniem jest ich poezya, wywołaniem z pamięci. Los dziwny zrzadził, że poetycka literatura nasza, w wiekach szczytu się zwycięzkiego olbrzymich pomysłów, nie rozwikłała się, i na tysiączne jak z jednego atomu światła, nie rozbiła promienie. Ona jest tego wszystkiego nie zwierciadłem, ale przypomnieniem. Żąd ten senny jej charakter, melancholijny, jak dźwięk dalekiego echa. Cóż

zostało z energii ducha wojennego, z mocy pierwotnej, plemiennej dzielnego rodu? Nic.—Cóż się poetyckiego z bolesławowskich, poetyckich wysnuło czasów? Nic. — Dopiero za Zygmunтів, z powszechniejszą znajomością łacińskiego języka, zaczęto u nas naśladować rzymskich rymotwórców. Polityczne instytucye wykształciły prozę, i krasomówstwo. Tych nieporównane zabytki teraz jeszcze wzbudzają zadziwienie. Gdy w Europie dzwignęty się z upadku nauki, i u nas nie zbywało na rodakach okazale w nich biegłych. Nikt nas wtenczas nie przewyższył w wyborze, i liczbie pisarzy. Owszem, z najokrzesańszemi narodami całego świata, mogliśmy grać o lepszą w tej mierze. Ale w poezyi owe początki, które za naszych czasów może bez pomiarowania wielbiono, wkrótce ucichły. Zaledwie co pierwotnego, narodowego w tym względzie ocalało; resztę głucha zatarła niepamięć. — Któż dzisiaj zgodzi się z *Krasickim*, że Piotr Kochanowski, tłumacz wyzwołonej Jeruzolimy Torkwata Tassa, przewyższył wdzięk włoskiego oryginału? — Albo nie policzy *Felińskiemu* na karb cnotliwego zamiłowania ojczystych zaszczytów, że go nazwał *wielkim poetą*? W następnych czasach, różno-kolejne nachylenie się do upadku Pospolitej Rzeczy, wielki wpływ miało na publiczne oświecenie. Polskę leącą nierządem do tego upadku, porzawszy od Zygmunta III, zaległa gruba pomroka. Zepsuł się język ojczysty. Chwałę lepszych czasów niewiadomość przyćmiła. Nareszeie, po długiej przerwie publicznego oświecenia, rozszedł się z klasztoru w całej Polsce odgłos *Konarskiego*, dawną świetność ojczystej mowy, a z nią i wyobrażeń narodowych,

wywołujący z zapomnienia, wprzód jeszcze nim *Stanisław August* zasiadł na tronie Piastów i Jagiełłów. Za sprawą tego wskreścy nauk znowu zaczęto u nas, i z lepszym skutkiem, uprawiać odłogiem zapuszczoną niwę. *Bielawski*, *Minasowicz*, *Bohomolec* przetarli zdziczały język, który terażniejszy polor swój i wykształcenie winien ich następcom na polskim Parnassie: szczególnie *Krasiickiemu*, *Węgierskiemu*, *Naruszewiczowi*, *Trębeckiemu*. Są to wieley reformatorowie, wieley nauczyciele; zaszczytscy nieznaných pojęć; dobrzy Polacy, gorliwi ludzie. Ci znamienici pisarze okryli się nieprzemienną chwałą niepożytą czasem. Imiona ich wdzięczność narodu wiecznej poświęciła pamięci.—Ale także każdy to z nami przyzna, bo tego nie możemy zataić przed samemi sobą: że ci mężowie *rzecz cale nową z kądinąd zaprowadzili do kraju*. Nową upowszechnili kulturę. Jako ogrodnicy w pień spróchniały starego drzewa z bujnej, gdzieindziej posadzonej krzewiny, latorośl wszczepiają, tak samo i oni, stosując ku naglącej potrzebie czasu obywatelskie, poczciwe chęci, i starania swoje, z obcej ziemi z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce wyobrażenia i pojęcia, na kształt postronnej monety, nieznanym stępem cechowanej. Ta moneta chyżym krążyła obiegiem. Z obcym rozumem, z obcemi wyobrażeniami weszły się do nas obce uczucia, zwyczaje. Nie prawie dawnego nie ostało się. Zmieniono stroje, szaty. Po większej części wzmogliśmy się cudzą iścizną. Wszystko było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia, nie wspierał się w przeszłym wieku, i nie był umocowany na historycznej posadzce. Najbardziej zaś

w literaturze poetyckiej przecięty został związek z przeszłością, Ta literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnią wyciągnioną, która myślą przeszłości nie była. Twórcza jest *fantazyja* poetycka; coraz nowe maluje kształty, ale i to co minęło w właściwe przybiera szaty. Takiej *fantazyji* nie mieli poeci Stanisława Augusta. Śmiało to pisze: *oni nie byli poetami*. W ich pieśniach odbijała się czyjaś postać, ale omylna, nie nasza. Polak myślący przyszedł do uznania samego siebie, *ale nie w swoim jestestwie*. Naród nie miał w literaturze wyciągnionej na widok massy wszystkich swoich wyobrażeń. Krótko mówiąc, przyszliśmy w tym względzie do cudzej *refleksyi*,—do *refleksyi* francuskiego narodu, który także podówczas nie miał własnej, oryginalnej literatury, ale naśladowaną, i nieumiejętnie naśladowaną, w nieumiejętniej kształconą szkole, oderwaną od historycznej przeszłości, za wpływem niezliczonych przywidzeń i przesądów estetycznych. Sami to teraz francuzi przyznają.

Cudzy dar z trzeciej ręki przejęliśmy. Literatura polska w drugiej połowie zeszłego wieku była kopia kopii, przeobrażeniem przeobrażenia. W niej podobno żadna iskierka życia nie tłała. Drzewo zagranicznego szczepu, nie wprost z korzenia ulepszone, obce zrodziło owoce, wysileniem, przymusem i sztuką cieplicy roślinnej. — Mogłoż to być inaczej? Tak było w rzeczy samej. Tak być musiało.

W pierwszych momentach rozjaśniającego się u nas brzasku cywilizacji, ledwo nie z pierwszymi dnieżącej jutrzeńki promykami, ujrzelśmy płody dowcipu francuskich pisarzy w zaszczycie

wziętości u postronnych, i największym blasku chwały. Był to wiek panowania literatury francuskiej w całej Europie. I nasze olśnęły źrenice na widok tej świetnej, prędkiej, okazałej kultury. Na tych wówczas jeszcze nigdy dostatecznie nie wystawionych wzorach, jak u nas, tak wszędzie indziej, i w Niemczech i w Anglii i we Włoszech. znamienitsze kształciły się talenta. Z potrzeby, nie z przejrzenia, w niedostatku własnych, chwyciliśmy cudze opinie o sztuce i piękności; nie czyniąc braku, nie odróżniając prawdziwych od omylnych, nie zapuszczając się w roztrząsanie tego co przypadało do miary, a co mniej było zgodne, a nawet sprzeczne z duchem ojczystych ustaw i obyczajów, z charakterem, sposobem myślenia i czucia mieszkańców tej ziemi, z ogólną ich dziejów cechą; wreszcie z *fizjonomią* przeszłości i nadziejami, jakie daleka przyszłość w swem łonie tuliła. Nie przestrzegające rozsądnej krytyki upominanie, ale chęć podobań się współczesnym, to błyskotkami dowcipu, to niestatkami, którym lada wiatr mody władał, pisarzy naszych wiodły do zamierzonego kresu we wszelkich przedsięwzięciach apolinowych. Dla nich poezya była rozrywką i swobodnem po trudach wytchnieniem. Na umajonych kwieciem dolinach, około źródeł *Hipokreny* wesoło bujali, płaśali; lecz samego zdrojowiska rzadko kto ważył się zaczerpnąć, a nikt podobno nie przejrzał w jego głębi. W tym, jak go nazywają niektórzy, złotym wieku literatury polskiej, poezya u podnóża tronu łaską możnych i mecenasów względami wzniosła się. Dworskim przeto jaśnieje blaskiem! Zdobi ją polor i okrasa; znamionuje dowcip i tok bardzo kunsztowny. Usilność ówczesna obrócona

była na udoskonalenie mechanizmu wiersza i przyczynienie świetności zewnętrznemu kolorystowi. Wyższości w tym względzie poświęcano nieraz istotniejsze rzeczy. Naostatek, czyli śmielszych, szlachetniejszych uniesień nie tłumik wpływ współczesnych filozofów francuskich? Ceniąc czasy i ludzi, ogólną dążność ściśle rozważyć potrzeba. I poezya ma swoją filozofię. Lecz z grubych materiałów empiryzmu, sensualizmu i sceptycyzmu ani podobna było wykroić szaty, potrzebnej do robót sztukmistrza, poety. Wiek *Stanisława Augusta* był wiekiem krasomówstwa w poezyi opisowej; wiekiem satyr, bajek, epigramatów. Była *wierszomania!* Było modą ulotne pisać rymy. I na przedpodwojowem, przedpodkojowem rymotwórstwie nie zbywało.. Zaiście nie mogliśmy nie uledz rozszerzonemu w całej Europie wpływowi języka, filozofii i literatury francuskiej! Żądaniem z tyłu miar przechodzącem ówczesną możliwość, okazywalibyśmy tylko nieżyczliwe uprzedzenie ku tym prawdziwym założycielom i rozmnożycielom oświecenia w Polsce. Brodziński dobrze mówi: „byłoby to jedno co naśmiewać się z ojca, który zubożony jako mógł dorabiał się majątku, aby przynajmniej synów wychować.“ — Wyrazy prawdziwego krytyka, obywatela!

Poetycką literaturę polską owego czasu przyrównałem jednego razu do brzmienia głosu, któremu jeszcze słowa brakuje. A ten głos, ten dźwięk szklany i harmonijny, pieszczony i mocny, jako czysty strumień płynący, małyż to dar? Czyliż go nam napróżno przekazano? — Że się wyrażę pożyczonem wysłowieniem od pewnego filozofa niemieckiego: literatura taka było to koło dosyć misternie zokreślone. Lecz zważmy pilnie:

w to kolo jeszcze duch nie wstąpił, wywoływany od guślarzy, co go na mylną rotę zakławszy, z tamtego świata sprowadzić mniemali.

Taki był *status quo* polskiego Parnassu i estetycznej krytyki naszej przed nie wielą jeszcze laty! — Za naszej zjawili się pamięci długo oczekiwani nowi pisarze, prawdziwi poeci, pełni talentu i daru wieszczego ducha. A przodek przed niemi trzymał letni starzec, wyniosły mąż osiemnastego wieku, nad którym górował wyższością i mocą swego geniuszu, — sędziwy, pobożny mówca, natchniony poeta *Sybilli* i Lechiady, — poeta żałoby narodowej. A obok niego w równej mierze stanął drugi starzec! Ten w grobowce sławnych ziomków swoich wszczepia gałązki cyprysowe i żadnego niemasz obrzędu pogrzebowego, gdzie wszyscy płaczą, któregooby za dni naszych nie święcił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu pisał dla dzieci i dla starszych śpiewy historyczne. On wykształcił *dumę polską*. Nakoniec *Kazimierz Brodziński* wziął pióro do ręki; zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezyi; i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce! Wszczęła się potem waśń; jedni na drugich ostre miotali słowa. Skądże ten rozterk? — Oto, że wedle wyrazów mędrca *chromy jako jeleni poskoczył i rozwiązał się język niemych*. Zaczęto ściślej ważyć zasługę literacką, talent, poezję. Rzecz nie mała tych rozpraw była przedmiotem. Sektarstwo podzieliło umysły. Rozchwiała się dawna nauka. Stare zdanie upadło. Pojrzeliśmy za siebie na wiek upłyniony i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugim, nie było zgody w literaturze między przeszłością, daleką, poety-

eką, rycerską podbijającą Polski, a tym wiekiem upłynionym *Stanisława Augusta*, gdy się już rzeczy znacznie miały do upadku. Jedno z drugim nie rymowało. Mielśmy boleść na sercu. Raziły przeciwieństwa jasne jak na dłoni. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwalono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swoim upór wysadza za wzór niedościgłej doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. Ta główna wszystkich niesnasek przyczyna! Pogasty były stare *tradycje*, pocichły wieści i powiastki tak potrzebne każdemu ludowi i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi. Rozstroił się, ba nawet rozstrzaskał na kawałki stary dźwięczny ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele i walecznych w boju. Zdał się niby ladajakim sprzętem nowatorom. Zaszły także rdzą dawne pamiętki; a tymczasem nic kłębka dziejów ledwie do połowy wyciągniona, co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpruło! Dopiero przetarłszy oczy, w sam czas jeszcze przyszliśmy do siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas w nie swoim poczuwaliśmy się jestestwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecię umarłej imaginacyi. Zapał owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili geśl minionych wieków. Przewzano ich *romantykami*, bo nieznane piosnki nucili o kozakach, rusałkach, dziadach i strachach; a *Jan Sniadecki* biegleszy zapewne matematyk i astronom, niżeli krytyk, wołał jakoby to wszystko było wymysłem oswoiałej metafizyki niemieckiej.

Tak samo prawie lekarz doświadczony, okazale biegły w swej sztuce chorego za rękę bierz! Puls bije mocno, bije często, bije coraz mocniej i coraz częściej. Oczywiście gorączka! Idzie więc, siada, pisze receptę na ochłodę krwi wzburzonej. Lecz to nic nie pomaga. Niemoc głowę i myśl opanowała. Chory ma drzenie w sercu i boleść na duszy. Trzeba innego lekarstwa i lekarza!

Ważnią estetyczną, piśmiennem, krytycznem, sektarstwem oznajmiłszy po długim *far niente* chęć wyrażenia ducha twórczego, łamiącego się z uprzedzeniem i przeciwnością; chęć objawienia naszych własnych wyobrażeń, pojęć. W Niemczech wyciągniono z filozofii ogólną, metafizyczną teorię piękności. Krytyka wsparta na tej teorii wszystko w odmiennem ukazała światło. Ta chwila na zawsze będzie pamiętna w dziejach europejskiej, poetyckiej literatury. Były to początki estetycznej emancypacyi z pod przymusu francuskich cudzych pojęć. W to ugodził *Kazimierz Brodziński* rozprawami pisanemi ozdobnie, a z wielkiem, jak podówczas wypadło, umiarkowaniem, żeby nikogo nowością nie zrazić. On pierwszy—jak powiedział *Michał Grabowski* — zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, krok olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Pierwszy *przeczut* poezję narodową i we własnem ją sercu wynalazł. — Chcieliśmy mieć swoją imaginację, swój rozsądek estetyczny, swoje uczucie i własne fantastyczne zmyslenie. W tem istotna przyczyna, w tem główna podnieta sporu, który przyjaciół poezyi i sztuki, pożywających dotąd jej owoce w zgodzie i dobrem porozumieniu, na dwa rozerwał stronnictwa.—Cobądź na
Dodatek do „Kur. Codz.“,—O Literat. Polskiej. 8

podstawie historycznej nie jest założone, własną niemocą prędzej czy później upaść musi; bo nie ma gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta (niechaj jako kto chce wywyższa dowcip, talent wielu ówczesnych pisarzy) nie była ugruntowana na tej podstawie. Obcy zasiew wybujają; ale kłosa czcze były po większej części, a ziarno nieważne, lekkie; reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni tej niwy uprawiacze, tej samej szkoły uczniowie, chwalczy tych samych przykładów, coraz dalej doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku, wierszopiski mechanizm, ulepszając naśladownictwo, coraz większego nieurodzaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję. Nie polska, nie z zapadłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, ale obca jakaś postać, zemdląca, omdlewająca, niemiecka w tem ich rymotwórstwie ukazała się.

Czegoż chcieli *romantycy* na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezji, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę pocziwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby całopalenia ze czcią tylko bożków marmurowego *politeizmu*, nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne w wspomnieniach zgody, mniemając, że groby i rumowiska do życia należą i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazję gminu, dlatego, że tam w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni to chcieli obraz malarski roztraconego jestestwa w zwierciadlanem nokazać przezroczu, żeby myśl prędką jak

widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień wzniecił, rozpałił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górnieszego wznieśli się lotu! Ten gdzieindziej zmie-zał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich rękę, zabrzmiała! Żałośnie i tęskne ich pienie, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdarciem sercem wraca do domu, nieznanym, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegóż chcieli polscy *klasycy*? Oni tej całej nie pojowali zagadki. Mniemając, jakoby nie czas jeszcze było myśleć po swojemu i wszystko rozumieć swym pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Po wielokroć śmiali się ze złych wierszy i złej prozy niewyćwiczonego talentu. Chwalili co było godniejsze nagany, a ganili co ze wszech miar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi tak drudzy zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w tej materji nie było i nie masz zgody, kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tem piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwom przeciwnym służyły stronnictwom, których *dysputy*, czy potocznej, czy piśmiennej, zdaniem mojem, nikt osławiać nie powinien. — W całym toku tej sprawy nic nie było nagannego, nie dopiero zdrożnego. Że się przez

to rozchwiała, jak mgła przemijając, reputacya niektórych gładkich rymotwórców, nie wielka szkoda. Z innej strony cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych zatargów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas *sektarstwa*; bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykłada, już to samo oznacza niemały postęp kultury. Jak w religii, tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe, uporne nawet przy swoim obstawanie od owej na wszystko obojętności, która jeżeli z obyczajów zmazanych jakąś skazą nie pocho- dzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspomnijmy sobie, że przed niewielu laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał; a rzadko kto niósł jej wspomnienie choćby gruntownem tylko o jej wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów śle- pemu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci i wszyst- kich usiłowań, rozmów. Zważmy także: że entu- zyzm w popieraniu wszelakich opinij, nie gwoli osobistej korzyści i pożytkowi prywatnemu, zaw- sze okazuje poczciwe serce i myśl wspaniałą. Zaiste, daleko lepiej rządzić się wątpliwem zda- niem w tej mierze, choćby nawet omylne było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rzeczypospolitej, którzy w rozterkach domowych do żadnego stron- nictwa należeć nie chcieli.--Prawdziwej harmonii jak potrzebna zgoda, jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poeci. — Architektura idealna w systemie poetyckiej literatury polskiej.—Porównanie tej literatury z rzymską za Augusta Cezara.

Prędzej to może, łatwiej trafi do przekonania wielu czytelników moich, co się rzekło we dwóch pierwszych rozdziałach, niżeli to co mam następnie powiedzieć o współczesnych polskich poetach, sztukmistrzach. Słyszałem nieraz, jakoby się nie godziło pisać o *żyjących*. Dla czego? Pisać a mówić, toć wszystko jedno, zdaniem mojem. Niechaj tylko każdy tak pisze i mówi o swoim czasie, jakby żył cokolwiek później; o dawniejszych zaś czasach, jakby się patrzył na takowe, a pewnie nie zbłądzi. Szczególniej atoli: niechaj pisze wedle przekonania i rozumienia swego. — Praktyka jest kamieniem probierskim ledwo nie wszystkich mniemań teoretycznych. Jakiemiż twórcami podparli swoją teorię stronnicy literatury poetyckiej z czasów *Stanisława Augusta*? Wszelka wiara, nawet poetycka, cudami się rozszerza i pomnaża. Któż uwierzy prorokom bez natchnienia? Prawodawstwo estetyczne potrzebuje sank-

cyi geniuszu. Gdzież są poetyckie dzieła *klassyków*? Któreż tak silnie zajęło umysły i tak silnie wpływa na opinię społecznych, żeby w tej mierze o lepszą iść mogło z cenniejszemi tworamiasznych *romantyków*? Gładkie, staranne przekłady z obcych języków, ustawne podwodzenie mowy ku wytworności smaku, i delikatności wystłownia, nie przechyla sporu na stronę naśladowstwa. Czasy tych zalet może za zawsze przeminęły. Teraz trudniej, niżeli przedtem, dostać u nas poetyckiej, pisarskiej sławy; a zalecanki krotofilne niczyjego nie przerobią rozumienia. Zmężniało dzisiejsze pokolenie. Młodzież myśli, rozważa; i w smak jej nie idą przymilenia lekkiej Muzy nadsekwańskiej, której kupny uśmiech, toż najznacniejszy pokaz łaski od lat wielu w samej Francyi staniały.

Wcale inaczej ma się rzecz co do tych poetów w literaturze ojczystej, których nie wiedzieć dla czego *romantykami* nazwano. Ci własną usilnością, własną mocą, wspierają wyznawaną przez siebie teorią sztuki; jeżeli tylko pocie, sztukmistrzowi teoretyczne rezonowanie na co się przydać może! Ich młoda, poetycka literatura jedynym oto żartkiem skokiem daleką przestrzeń ubiegła, — jak Alcyd dławiąc smoka w kolebce. Wyznaję to przed obliczem narodu z prawdziwą chlubą, z prawdziwem uczuciem dumy narodowej! — W tej, że tak powiem, wobec nas, przed naszymi oczami *improwizowanej* literaturze wyraża się duch dziejów krajowych, duch starej Polski. Jeszczeć nie stanęła u kresu swego; ale ciągle naprzód postępuje.

Któryż twór położę na czele tego systematu nowych, świetnych tworów imaginacyi?... Przede-

wszystkiem oddajmy cześć umarłemu. Poświęcimy kilka słów ceniom poety, który za dni swoich tak był skromny, i tak cichy, — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółziemianom. Urońmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych.

Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził. Ofiara nieumiejętej krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna *Maryi Malczeskiego*. Nie we wszystkich rękach znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych exemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. *Maryja Malczeskiego* jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy, i twardego, jak się niektórym zdaje, wysłowienia — jakie ja przynajmniej, mojem zdaniem, za zaletę poczytuje. — „Gdybyśmy tylko mieli *Maryę i Grażynę*“ — rzekł *Michał Grabowski* w dzienniku *Ordyńca*, — „mielibyśmy już oryginalną literaturę.“ — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Napiszę o tej powieści co długo w myślach miałem. — Działo się to na Ukrainie, podobno, że za rządów Augusta III. Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu i imienia, wysłał syna za granicę. Ten po drodze, przypadkiem, czy z rozmysłu, wstąpił do domu mniej majątnego, lecz poczciwego szlachcica. Obaczył jego córkę. *Wacław* był młody; *Maryja* była także młoda, piękna. **Pokochał** ją, i z nią się ożenił. Ojcu, panu Wojewodzie nie podobały się te śluby. Razika arystokratę wielką, jak są-

dził, nierówność stanu; a prawdziwa imienia i do-
statków. Przedsięwziął stargać święty węzeł: zra-
zu łagodną namową i upominaniem ojcowskiem,
a gdyby to nie pomogło, przemocą, gwałtem. Syn
jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysię-
żonej wiary. Wojewoda widząc jego stałość, roz-
kazał kozakom porwać Maryę z domu jej ojca
Miecznika, i utopić w pobliskim stawie.

Ta jest osnowa powieści *Malczeskiego*. Poe-
tycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy za-
rys, wielki, pomysłany, prosty, jak przyzwoicie
biegłemu sztukmistrzowi przystoi. Wykonanie te-
go planu śmiałe; każdy zaś domyślić się może,
że przez *wykonanie* poematu nie rozumiem wier-
szy gładkich, potocznych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze!
I jak właściwym godłem z *Jana Kochanowskiego*
zagał początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić
I zginie a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści
splatało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie od-
motaną. Rzecz prosta i zawila, naturalna i okrop-
na, powszednia i głęboka jak przepaść.—Nie tak
czyn krwawy, jako przyrządzenia mordercy wzbud-
zają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swej ro-
boty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajem-
nie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach
ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie
śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego
ścieżki, manowce sięją postrach. Wikła sie myśl

ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przecucie całą moc swoją odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się uprzedzające skutek jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona *fantazyi*. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnięciem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina *Szekspira!* Rodzicielka wielkich, tragicznych wrażeń! W tym mroku *imaginacyi*, za tą mglistą zasłoną *fantazyi* pojał *Malczeski* rzecz swego poematu.—Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko co czułem, co mi się zdawało przy częstem odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. *Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.* — Była noc; nie spał, chodził w jej ciemnościach. *Duszna wysoka komnata!* Łatwo zgadnąć dla czego? — Otwiera okno,— patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło się nad rankiem; słuchał budzącej trąby:

„Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszem spoj-
[rzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdzi-
[wieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic, i pióra rycerzy;

Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej słodkiej
[nucie,

Co z mokrych rosą dziobków wrywa uczucie:

Nie dla niego—on nie chciał na widoku zostać.

W niknących cieniach zamku zanurzał swą postać,

Jak te straszące mary, które bojaźń nasza

Widzi w bezsennej nocy—poranek rozprasza“.

Świt różanej jutrzeńki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnej myśli. Nie mógł na widoku zostać. Któż inny, jeśli nie poeta z użyczenia, i daru nieba, mógł pochwycić to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wiedzie z światłem dziennem. Te szczególne rysy charakteryzują to co zwiemy *mądrością* artysty.—Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda postanowił korzystać z tej okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża *Maryi*? Jak jej ojca oddalić z domu? Wysłała gońca z listem do Miecznika. Uprzejmymi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synową zaprasza do domu. Więcej jeszcze:—„takiego szczęścia“—pisze Wojewoda,—„syn mój nie wart; niechaj w wojennej potrzebie dobija się pierwszej chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swej żony.“ — Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych *cukrowych* wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy, — miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak uniósłszy się rycerskim zapałem, zostawi *Maryą* w do-

nu,—samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takim pismem wyprawiwszy kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w roździele niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie; i pieści się z nim, jakby dla powetowania, niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrocią, najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamiśle nieludzkiego okrucieństwa, depcącym wszystkie prawa, i wszystkie zrywającym związki. Ja w tem prowadzeniu rzeczy, w tem wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo, albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, *umnictwo* Malczeskiego. Wojewoda dawał ucztę na zamku w wigilią zgonu *Maryi*; do późnej nocy trwała ochota; libacye wina poprzedzić miały taniec tatarski, — i spełnienie najstraszniejszej zbrodni. *Malczeski* powiada, „że tego wieczoru twarze ostre, malowane portrety przodków Wojewody wiszące na ścianach komnat godowych:

„Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami
I śmiać się do pijących—i ruszać wąsami.“

W tem nawet wierny charakterowi narodowemu! Odtąd Wojewoda nazawsze znika ze sceny poematu. — Cóż miecznik? Pod rozsochatemi lipami domowej zagrody koił tymczasem jako mógł urazę we własnem sercu. Jego wejrzenie pochmurne, to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, *pełen niechęci, gniewu*, — a może *i wzgardy!* Przewodzenie bucznego pana, niedola, miłość córki; jej wiek młody, bladeść na jej licu uczucie własnej godności, wszystko to boleśnie go

dreńczy. „Wolałby dźwigać więzy u brodacza,
turka, wolałby umrzeć w ciemnej turmie, niżeli
spokojnie patrzeć na te smutne śluby:

„Alboż to u nas braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach
I tak jak dawniej było—rycerskie kolano,
Raz w życiu tylko ugiąć—po wianek, za wiano!
Nie Maryo! Nie trza wzdychać — twego nie
[obrażam,

Mężny jest i cnotliwy—wiesz, że go poważam:
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi—
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czeczym tylko blaskiem
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem,
Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? A nasze hufy nie z sobą na sejmie;
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas szwedowi na głowy,
I gdyby twoja matka, (daj jej niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie
A niewieścim w błyskotach, tajemnicach smakiem
Nie zawarła tych związków z swych matron or-
[szakiem —

Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
Anibym jego złości dozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa —
A córę—szczep jedyny—z łez polewa rosa!
Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
Alboż choć raz do serca me dziecie przytulił?
Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się
[rozczuilił

Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania!
O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże—
Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę;
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc
[wezwą:
To w końcu tej tam waśni—dzwony się odezwą!“

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia?
Malczeski podniósł do *ideału* historyczną postać.
Idealizuje, cechę poetycką znaczy popularne wy-
słowienie, — *idealizuje* wszystkie szczegóły, wszyst-
kie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju.
On pierwszy szatę polskiego szlachcica — *żupan*,
kontusz, toż broń jego — *kord*, *karabelę* do poetyc-
kiej wzniosł godności*), i w poetyckiem pokazał
światle. Nie *Podstoli* Krasickiego jak mniemano,
ale *Miecznik* Malczeskiego jest, zdaniem mojem,
tą poetycką figurą w literaturze naszej, która sta-
rego, polskiego szlachcica wyobraża. *Podstoli*
sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem,
gospodarzem. Ale *Miecznik* to rycerz-ziemianin!
Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas
zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w ser-
cu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Po-
strzeża w dali kształt historyczny — niknący, le-
dwo nie w nie się rozwiewający. Korzysta
z chwili i nie daje się w niwecz obrócić pięknej

* Tę uwagę czyni *Michał Grabowski* jeden z najzna-
komitszych krytyków naszych w rękopiśmie nie wyda-
nym, który mnie nadesłać raczył. Ciekawe są i zajmu-
jące spostrzeżenia jego co do *Maryi*, *Walenroda* i *Zamku*
Kanioskiego.

pamiętce! Za sprawą jego, co przepadło w historii, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezya drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą! Wszystko ziemianieje w powieści *Malczeskiego*.

Przybycie kozaka z listem Wojewody, smutek *Maryi* odmieniło w niespodzianą radość *Miecznik* czyta i wydziwić się temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia,— ale ten promień dobroci Bożej upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady, i nie znał jej krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył z zbrojnym hufcem po przybyciu wspomnianego kozaka. Co żywo krząta się; bierze zbroje, rozdaje oręż ludziom, poleca *Maryi*, żeby suto zastawiła stół na uczenie gościa. „Nie szczędź korzeni, pieprzu, bobków, imbiru, cykaty, szafranu, bo ten piękny rycerz w bakaliach chowany. O winie sam pomyślę.“—A tak kilka przynętnych wyrazów chytróści, jeden uśmiech na twarzy *Maryi*, obecność *Wacława*, — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnej prawdzie? Nie szczyryż to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnemi harcami z łupieskiem pogaństwem własną odpierali pierśią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacji?

Oni zapalczywość jako charta zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała spólna potrzeba, gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło; nieukrócona duma arystokracji, zdrożne możnowładztwo z staroświecką cnotą i uczciwą godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i charakter światowy, po wszystkie czasy daleko słynny dziejów polskich wedle tego, żeśmy stawili dzielny odpór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała.

Nie jestem rozbieraczem płodów cudzego dowcipu; kreślę tylko ogólnemi wyrazami obraz naszej dzisiejszej poetyckiej literatury, gdzie się znamienitym talentem, zaletnemi tworam i nadobnem misterstwem kilku pisarzy, ziomeków naszych, jakby z wezwania wszystkich innych braci i spół-ziemian, jakby przez reprezentację wyrażać zaczynają władze i siły powszechnego narodowego umysłu, jakoto: zwierciadlana *imaginacja*, żywa i mocna *fantazja*, duch, natchnienie. Nie mały to postęp od czasu kiedyśmy najpierwej rzymskich, a potem francuskich naśladowali rymotwórców! Charakter, dążność, prędkie wywijanie się tego systematu z niemowlęctwa unoszą mnie chlubą ojczystego zaszczytu, aczkolwiek piętno rodowitości na dzisiejszej poezyi naszej nie jest jeszcze tak ustalone, iżby o tem godziło się mówić z *precyzją* właściwą krytykom, roztrząsającym systemata poetyckie zapadłych wieków. Nie strzymywałbym nawet tak długo uwagi czytelnika

nad *Maryją* Malczeskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilku laty swawolnie szerząc się i brojąc w piśmienictwie stołecznem, wspomniane dzieło w tak omylnem świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zasłudze, — żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. *Malczeski* był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadził. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą astralną siatką, która się w poezji nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już w jakim świetle pojał i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczorowi dzikiej, ponurej, melancholijnej fantazyi. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończą też obiedwie pieśni wyrazami:

„I pusto, smutno, tęszno, jak gdy szczęście minie.
I pusto, smutno, tęszno w bujnej Ukrainie.“

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka:
Gdy *Wacław* ruszył z *Miecznikiem* i zbrojną drużyną na harc tatarski, sama śliczna *Marya* bez straży została w opuszczonym domku. Któż utyskuje przed wrotami tej zagrody? Kto płacze na świat? — Anioł, czy zły duch, czy człowiek? Poeta

wprowadza tajemnicze jestestwo; daje mu ludzką postać; ale boleść jego, ale trwożne przeczucie, rozpacz na jego myśli nie są z tego świata. To zjawienie zdaje się być nakształt światelka świętego *Elma*, zwykle poprzedzającego rozerwanie nawalnej, gradowej burzy. Stary sługa rozmawiał z ową postacią; nie jednak nie rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, postrzega maski, larwy zbliżające się w różnofarbnych strojach z wrzaskiem, krzykiem, śpiewem karnawałowej, zapustnej ochoty. Byli to wykonawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich dzika, liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła, też same uczucia wzbudza w sercu naszym. Jest to najgenialniejszy pomysł poematu:

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?
I w noc i we dnie
Wesołe, szalone, przednie;
Maska twarz kryje, a kto się pyta
O sprawy czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty.
Żywo, radośnie
Skrycie, miłośnie,
Staruszek Doża, Arlekin młody,
Dziewczyzna hoża, szuka osłody;
Matrony, księża, oszusty
Swobody;
A kryte łodzie
Czernią na wodzie;
Wrzawa, śmiech pusty,
Czy znasz weneckie zapusty?

Doł. do „Kur. Codz.“.—„O literaturze polskiej” 9

2.

My jedziem sobie kulikiem,
I w noc, i we dnie
Wesołe, szalone przednie;
Maska nas kryje— a kto chce wiedzieć
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczerą ochotę
Otwiera wrotal
Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
Żydzi, Cyganki, uderzą w pary,
Wróżki, dyabli, nie oszusty
W puchary:
Lecim saniami;
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty;
Czy znasz ty *polskie zapusty?*

— „Ale tu wejść nie można“ — odpowiedział stary dworzanin, świadomy polskiego *kulików* obyczaju, nie raz może praktykowanego w domu *Miecznika*. „*Teraz nie zapusty, pan Miecznik na Tatarach.*“ Chciał wstrzymać śmiałych przychodźców; lecz napróżno. Jemu samemu zawróciło się w głowie, gdy te dziwne postacie, cyganki, wróżki, dyabły przed jego oczyma tańcować, skakać, płaszać zaczęły. Pocała mówi, że myśl tego starca także tańcowała. Puścił przeto maski do dworu, — otworzył drzwi przed mordercami. — Zwycięski *Wacław* wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojuwisku, żeby jako mówił: „*dojrzyć objażdżki*“ — „a jutro skoro świt, brzęknę wam na dobry dzień witanem kopytem.“ — Powrót *Wacława* jest jednym z najcu-

downiejszych ustępów tej zachwycającej, czarującej powieści:

Powstał z pośpiechem Waclaw, i dawnym zwy-
[czajem

Uściśnął starą rękę — co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew
cienie —

A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy—
O! jak ślicznie przez pole młody Waclaw bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżycą, malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej
Lecieć z stęsnionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie
W dzikiej, tęsknej, i żywej i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby wyjście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała;
Wtedy matką natura — wszystko z człkiem dzieli:
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli.
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu dobroć, w ustach przebaczenie.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad tarami, to uściśnienie starego Miecznika, to dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trunę i pogrzeb zastanie, — ileż w tem wszystkim smutku? Co tu

żałości, — a najbardziej ile efektu malarskiego,
dramatycznego, poetyckiego!

I tak to leciał Wacław — brogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Boby nim wichur świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumił wściekły po zimnej mogile.
I tak to mijał stępy — lecz świetne marzenie,
Co niem cni dzieci ziemi szczęścia upojenie,
O! zbyt krótkie! Jak widmo staje przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepczą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.

„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony

„Wiednie pieśzcotny powój — a wszak bez osłony

„Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,

„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!

„Dla czego? dla czezej sławy, której blask nie

[waży

„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy:

„Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał

[powody,

„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody

„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,

„Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedzi-

[czyć.“

Ah! dalej pędzej! lekko przez chwasty, i rowy

Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,

Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza

Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;

„Ha! Ha!“ — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,

Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.

I tak to leciał Wacław — szczęśliwy, trwożny razem,

Sliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych

[obrazem.

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu *Maryi*. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakołatał; nikt mu nie otwiera, nikt nie przerywa głębokiej cichości. „Musi być bardzo późno, pomyślał Wacław. Przy świetle księżycy błąka się około domu. Naostatek postrzeża ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte okno widzi lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy, skacze przez to okno i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży, Owa postać dwuznaczna uwiadamia rycerza o tem co się stało,

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem—objął rycerza i w cwał polecieł.

Taka jest powieść *Malczeskiego* o podniosłym wojewodzie, o pięknej *Maryi* i o zacnym starym mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównałby ją można ze sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem to poema na czele nowszych dzieł ojczystej poezyi, nie iżby w moim maniu mojem przodek przed niemi trzymało,—bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość i cenić bez naciągania;—ale szczególnie z tej przyczyny, że to jest twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mógłbym właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania sąde

jednak, że nie masz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść *Malczeskiego* przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawiczością ducha, bądź nakoniec umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej *ekspozycji*. — Nieliczny był poczet osób, składający żałobny orszak na pogrzebie *Malczeskiego*. Nie mówiono wtenczas: „umarł wielki poeta”. Przyjaciele żalowali tylko przyjaciela, — geniusz przemknął się nieznanym, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień ze skrobnym napisem: „*Autorowi Maryi*”.

Dzieła innych poetów polskich ledwo nie jednoznacznie ceni światlejsza publiczność; we wszystkich znajdują się ręku. Krócej też o nich mówić będę. Dwa szczególnie charaktery wyraźniej przebijają się w systemie tych nowych tworców poetyckich. Z jednej strony malowniczo historyczne kształty, figury, grupy, obyczaje, zdarzenia. Poezja ta zajmuje całą przestrzeń, na którą padł i rozpostarł się cień minionych czasów. Z drugiej zaś strony: wewnętrzny duch i uniesienie myśli. Tamtę nazywam poezją realną, *objektową*; tę poezją duszy. Pod tym dwoistym względem uważać można usposobienie każdego niemal z dzisiejszych poetów polskich. Te obadwa charaktery mniej więcej wydatne, postrzegać się dają w dziełach *Adama Mickiewicza* i *Józefa Bohdana Zaleskiego*; toż samo w poezji *Woronicza*, *Seweryna Coszczyńskiego* i *Kaz. Brodzińskiego*, — toż samo u każdego poety.

Atoli te dwa najglówniejsze i najpowszechniejsze względy teorii bynajmniej nie zacierają różnicy zachodzącej między artystami, ani pierwotnej ich dzieł właściwości. Niechaj także nikt

nie mniema opaczem rozumieniem moich wyrazów, jakoby miał ustanawiać dwie odrębne szkoły. Daleki jestem od tego. Jakkolwiek ów rozdział wielkie zajmuje przestwory, bo w jednym mieści się czas zewnątrzny z punktu przeszłości i terażniejszości, z punktu historycznego, — *poetyka obiektowa, postaciowa, plastyczna, realna*; — a w drugim cały świat duszy, świat poezji *psychicznej*, zdaje mi się jednak, że drogi genialnych talentów są i mogą być jeszcze liczniejsze i nigdy nie zbadane; że natchnienie poety może być daleko rozmaitsze. Naprzód to wszystko przewidzieć i określić filozoficznymi, *definicjami* albo *dyalektycznymi formułami*, w mojej mocy nie jest! W sztuce nie masz nic *konwencyonalnego*. Nie masz na świecie żadnego w tym względzie prawodawstwa, żadnych przepisów *a priori*, czy *posteriori*; żadnej szkoły, żadnej teorii. Są to wszystko wymysły krytyki, technącej obskurantyzmem estetycznym. Jak białość wzrok ludzki rozbija, tak się na drobne atomy rozbijają wrażenia, kiedy je ujmujemy w zimny opis albo podciągamy pod naukowe pojęcie. Dzielić, co jest jednym technieniem, rozrywać co tylko w duchu żyje, może być coś niepoetyczniejszego, a nawet i mniej filozoficznego? Wyobrażenie z teoretycznych wyciągnięte rozumowań jest stateczne, nieruchome i nieodmienne; a sztuka ustawnie w ruchu, w życiu, w odmianach! Płyn powietrzny, oblewający ziemiokrag, nie jest tak powiewny, ruchowy i tak swobodnie na wszystkie strony się nie roznosi, jak myśl poety. Misterstwo jego przyrównałby można do instrumentu wydającego niepoliczone dźwięki, — od ptasiego świegołania do łoskotu burzy, od cichych westchnień do ogromienia i zgrozy. Jest

to w rzeczy samej instrument nieskończoności. Chcielibyście wynaleźć abecadło i gramatykę dla poezyi, albo naukę rytmu i melodyi, teorię kombinacyi dla tonów, którym nigdy i miary i końca nie będzie? Umarłego poetę trudno sprawiedliwie ocenić, albo wtenczas, kiedy moc jego za życia zemdleje w zlodowaciałej starości. A cóż dopiero żywego sztukmistrza w sile wieku i pełności lat męskich!! Czyż nie ma on prawa zawołać na swego krytyka: — „nie zakreślaj mi sfery, nie opisuj mnie, jakobym się w pewnej zachowywał mierze, nie mów, że jestem taki, a nie inny, bo się omylisz!“ — Chcieć uczynić charakterystykę takiego poety, a pisać na bieżącej wodzie, to prawie wszystko jedno. Jak litery na piasku rozsuwają się, jak się rozplywają w wodzie, jako się dźwięk na powietrzu rozprasza, tak są marne, tak znikomym pojęciom krytyki, stawiającej karciane pałacyki teorii i chcącej samowładnie podług wyobrażeń tej teorii panować w udzielnej krainie sztukmistrzów.—Potrzebna jest filozoficzna teoria sztuki; **całe jednak inną** powinność sprawuje! Mając sobie **dane** pewne systema dzieł poetyckich, rozważa ich charakter, wdzięk, moc, sforność, przywary i usterki; rozważa to wszystko z pewnych względów, wśród pewnych okoliczności, ale nie w celu wyciągnięcia z tego prawideł empirycznych, któreby rządziły natchnieniem innych poetów. *Rządzić natchnieniem!* Jakaż w tem sprzeczność i niezgoda! *Poezja wzorowa!* jak pospolicie u nas mówią. Jakże omylną myśl zawiera to wysłowienie! Myśl pewnej modły i linii dla talentu, myśl naśladowstwa; bo co tylko jest *wzorowe*, już tem samem ma być naśladowane. Myśl zabijającą pierwotne zdolności, szkodliwą dla najpiękniejszych

usposobień! Kto powie poezya *wzorowa*, już tem samem okazuje, iż nie rozumie, co jest poezya. Niemasz poezyi wzorowej. Jest szkoła, ale dla krytyków, nie dla poetów; dla miłośników sztuki nie dla sztukmistrzów; dla czytelników, nie dla pisarzy.—Wchodząc do gabinetu naturalnego widzimy rozmaite podziały, karteczki, napisy, exemplarze wypchane słomą, puchem, śmieciami, plewą,—całe widzimy systema zoologiczne, ornitograficzne, anatomiczne, szkielety, kościotrupy: — czyż natura podzieliła to wszystko wedle teoryi, systematu i działu akademicznego? Takim gabinetem martwych istot, taką biblioteką nieżywych *exemplarzy* byłyby księgi estetyków, nieznających swego powołania.

Wytknieniem dwóch wzmiankowanych charakterów nie ograniczam imaginacyi, ani po dyktatorsku narzucam się za nauczyciela i mistrza artystom, rodakom moim. Podział ten służy mi tylko do *wykreślenia idealnej*, że tak powiem, *architektoniki efektów poetyckich*, w systemie ogólnym teraźniejszej artystowskiej literatury polskiej, uważanej we wzglądzie filozoficznym *refleksyi* myślącego narodu. Dwa są pierwiastki, niejako dwa *atomy* poezyi: *realizm* i *duch*. Tam rzeczy zewnętrzne, natura, społeczność, historia; tu myśl, *idea*. Albo poeta o własnej zapomina *indywidualności*, o swej jednostce, o swoim „ja,” i odjąwszy się samemu sobie, wszystką chęć swoją i starania kładzie w to jedynie, ażeby twory jego miały tę rzeczywistość, tę prawdziwość, tę realność niezgruntowaną, to istnienie odrębne i niezależne, jakie mają twory w przyrodzeniu; albo samego siebie z uczuć swoich i istoty jestestwa swego *śnuje*, *wynurza* i *jest* zawsze samym sobą. W pier-

wszym przypadku poeta jest *realny*, w drugim *idealny*. Często może być *realny* i *idealny* zarazem. Wszelki *realizm* zmierza do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych. Taka jest poezja historyczna. Takim poetą jest *Szekspir*, *Goethe*, *Bohdan Zaleski*. Ich jednostka, ich *indywidualność* rozprasza się, niknie, ginie w ich utworach. Sztukmistrz kryje się i chowa w swoim dziele tak, że nikt nie wie: kto on jest, jakie jego uczucia, jaka myśl, jakie zdanie? Nikt nawet tego zgadnąć nie może!—Któż naprzykład wyrozumie *indywidualny* charakter *Szekspera*, jako człowieka, z charakteru i roli *Hamleta*, który wszystkie postęпки i mowy swoje zafarbował myślą i chęcią wiecznego zatracenia duszy stryja,—*Hamleta*, którego loika bardziej przeraża, niżeli zbrodnia króla, który jest potworem mimo całej mądrości i filozofii swojej! Któż tego samego *Szekspera* wyrozumie z charakteru Julii albo *Ofeлии*? Taki poeta nie ma *excentrycznego* punktu za granicami świata i natury, z któregooby na nią patrzył, a potem mędrkował, filozofował; ale jest umieszczon wewnątrz niej samej. Nie zbliża się ku niej refleksją, rozumowaniem, ale w niej żyje,—jej życiem żyją jego twory. To rozumiem przez *realizm* poetycki. Wyrazy *postaciowy*, *realny*, *snycerski*, *plastyczny*, *rzeczywisty* w jednym znaczeniu używam. Przeciwnie poeta filozofujący, rozumujący, idealista, *samego siebie* zawsze przed oczy nasze stawia i wszystko tynkuje farbą swej *indywidualności*, wszystko ciągnie do swej *jednostki*, do swego „ja.“ Takim poetą jest *Bayron*, *Jan Jakób Russo*, *Szyller*, *Mickiewicz*. Ich poezja *subjektowa*; ich kształty mniej określone, coraz bardziej oddalają się od *statuy*, od posągu i rozwiewają w nic przed obli-

czem naszym, jak duchy na chwilę jawiące się w cielesnej postaci, jak niknące cienie. Wszystko u nich zmierza do *tonu*, do muzykalności. Muzyka służy ich *fantazji*, tak jak *figury* marmurowe poetyckiemu służą realizmowi. Muzykalne jest misterstwo poetów filozofujących, dumających.—Krytyka filozoficzna powinna oznaczyć jaki zachodzi stosunek w systemie poetyckiej literatury, między tym *realizmem* i *idealizmem*, między *muzykalnością* i *snycerstwem*, między *śpiewem* i *foremną postacią*, *kształtem*, — temi ostatecznymi kończynami poetyckiego świata. Wszystko to widzieć trzeba z punktu optycznego fantazyi, — i z tego punktu wykreślać linie architektoniki poetyckich *efektów*.

Podróźni opisują napowietrzne omamienia w Egipcie i na pustyni libijskiej. Sławne są to fenomeny! Bywa nieraz w Egipcie, że z rana i ku wieczorowi za wzniesieniem się lub zejściem słońca dalekie płaszczyzny, wiejskie osady, cały krajobraz naokoło inny kształt, niżeli zwykle, przybiera: Okolica wydaje się natenczas jak obszerne jezioro, — wioski zdają się być wyspami. Płyn szklany, przezroczysty widokres oblewa, gdzie się rzeczy ziemskie dwoją, troją. Po kilka godzin trwa to jawisko.—Czyż duch ludzki na swoim wiodokresie, w swoim powietrzokręgu, takich widzeń nie miewa? Czyż w tej optyce *fantazyi* nie postrzegamy niekiedy tego wszystkiego, co się koło nas dzieje w naturze, w społeczności? A poeta liryk, melancholijny rozmyśliciel, filozof, czyż nie maami nas, nie zachwyca tą czarodziejską, napowietrzną, albo gdy wzrok swój obróci w przeciwną stronę, to i podziemną władzą fantazyi naszego ducha? Znam takiego poetę, rodaka. Zna-

my go wszyscy. Przebiegnę jego powieść, smutniejszą jeszcze i boleśniej rozdzierającą duszę, niżeli *Marya* Malczewskiego.—Nie wiedzieć, gdzie się to działo; na tem też nic nie zależy. Pustelnik, ksiądz, dzieci,—otoż osoby, którym autor porucił główne role. Niepoczesny, cichy domek na wiejskiem ustroniu,—to scena jego poematu. Nie jest to jednak sielanka. Pozbierawszy rozrzucone ułamki tego utworu, możnaby je złożyć w całość dość naturalną i prostą. Młodzieniec tkliwy, namiętny, z żywą, ognistą imaginacją,—piękna kobieta, lecz próżna, wietrznica, bo komu innemu swą rękę oddała, blask i mienie przenosząc nad szczęście kochanki,—w końcu rozpacz, samobójstwo, skutki zawiedzionej, płomienistej miłości:—taka jest treść czwartej części *Dziadów*. A zatem także rozerwanie świętych związków, choć nie ślubowanych przed ołtarzem, i także, jak w *Maryi*, zgwałcenie praw natury. Tę rzecz związał poeta z obrządkiem sięgającym pogańskich czasów, który pospółstwo wielu okolic Litwy, Prus, i Kurlandyi obchodziło potajemnie na dniu zadusznym ku czci zmarłych, w pustkach, kaplicach, zrujnowanych cerkwiach.—Uroczystość ta zależała na przyzywaniu duchów. Guślarz, czy gęślarz sprawował czarnoksiężki obowiązek. Ściągnięone rotą wyrzeczonego przezeń zaklęcia, po zawarciu drzwi i okien, jawiły się widma, kaźnią niepokoju dręczone, obłudne w hierarchii bezcielesnych jestestw duchy między niebem i ziemią, których cierpieniom za przeszłe winy na świecie, skoro ani modlitwa, ani ofiarowane nie pomagały przysmaki, wówczas sprawca obrzędu odganiał je krzyżem pańskim w imię Ojca, Syna, Ducha. Na taką uroczystość przybył także ów nieszczęśliwy mło-

dzian, który sobie z rozpaczny życie odjął, któremu z tajemnych zrządzeń przypadło, żeby rokrocznie wstawał z grobu i ponawiał na sobie wykonaną zbrodnię. Myśl poetycka! Ale tylko wielki poeta w tym wieku niedowiarstwa i wstrętu od zabobonów mógł osnuć poema na takim szczytku starych podań łatwowiernej prostoty. Nikt piękniejszego od czasów *Julii Szekspira* nie określił obrazu! Nikt z współczesnych Mickiewicza nie przemówił namiętniejszym, ognistszym językiem miłości; nikt mocniejszym urokiem nie zaczarował i nie podbił pod posłuszeństwo poetyckiej wiary rozumu i imaginacyi swoich czytelników!! — Ta czwarta część *Dziadów* jest właściwie drugą częścią i dokończeniem *Wertera* Getego. Bo takim jak ów upiór z rozdartą piersią, jak ów obłąkany pustelnik w mieszkaniu księdza, niegdyś swego nauczyciela, z tą rozpaczą na duszy, z tą boleścią na sercu, z tem melancholijnem, pochmurnem, fantastykiem wejrzeniem na przeszłość i naturę, nie kto inny mógłby być tylko kochanek *Karoliny* wywołany z grobu, — jeżeli rozciągnąwszy nie cierpień tego zapaleńca, wystawić sobie zdolamy, jakby mówił, czuł, rozmyślał i dumał po śmierci.

„Z męską godnością niech się uśmiecha polak“ — tak pisze *Kaź. Brodziński* w swoim *Pamiętniku*, — „gdy mieszkaniec Tybru, albo Sekwany, twardym jego język nazywa. Z wewnętrzną przyjemnością, z powagą dojrzałemu mężowi przyzwoitą niech słuca cudzoziemca, gdy się nad jego wyrazami, jak niewieściuch nad podniesieniem starożytnej zbroi mocuje, gdy języka jego, jak dziecie, pięściwie wymawiać się uczy“. — A dalej:— „póki męstwo w narodzie nie wygaśnie, pó-

ki obyczaje nie znikczemnieją, póty nie zapierajmy się owej twardości języka. Ma on i w niej swoją harmonię, swoją spiewność, ale jestto szum odwiecznego rozłożystego dębu, niepoświst chwastu, który za każdym połosem wiatru zgina się, lub łamie, i cienkim tylko odgłosem jęczenia wydaje.—To postrzeżenie we względzie języka polskiego odnieśmy do *Grażyny*. Nigdzie bowiem właściwszego przystosowania mieć nie może. Twardy jest styl tej powieści jak żelazna zbroja chropowaty jak chrzęst tej zbroi, kiedy nią silne potrzęsają ramiona, ostry jak na starych obrazach fizyonomie rycerzy, a tak dziki i malarski, jak były dzikie i leśne serca mężów pogańskiej jeszcze Litwy, i pancernych mnichów, co ich chrzcili i mordowali. Naśladowcza tej mowy harmonia, strojniej własnym wdziękiem myśl czytelnika obraca ku owym czasom, kiedy się dzieć miała rzecz poematu; stawia nas niejako wśród ludu *Litarwora* i oprowadza po wewnętrznych jego zamku komnatach. Jestże co pierwotworniejszego w systemie poetyckiej naszej literatury, albo coby ściślej spowinowaczone było z daleką przeszłością, której echo tak donośnie, tak wyraźnie grzmi, brzmi, odbija się w samem wysłowieniu?—Koloryt stylu, namiętności, uczuć w czwartej części *Dziadów* jest pośmiertny, jakby zafarbowany tynkiem myśli namiętnego wywołańca grobów, tułacza martwych krain. Jest to styl rozpamiętywań upiora, a styl *Grażyny* na kształt rdzy pokrywającej sprzęt rycerski starego wieku. Jeżeli przypuścimy, że pewna różność zachodzi między poezją i sztuką artysty, -- między *realizmem* i *idealnością*, (co zdaniem mojem nie podpada zaprzeczeniu) rzeczy można, zawsze jednak z bacznym względem na

właściwe znaczenie tych wyrazów: jakoby czwarta część *Dziadów* była tworem poety, a *Grażyna* tworem obrazowego sztukmistrza. — Przynajmniej wielka zgodność wykładu kunsztownego z treścią, zgodność i tożsamość kolorytu z wewnętrzną istotą rzeczy, w jednym i drugim przypadku zdają się popierać to mniemanie, i upoważniać do takiego sądu.

Te są dwa, zdaniem mojem, najpiękniejsze twory *Mickiewicza*, w których poetycki i artystowski talent tego wielkiego sztukmistrza najokazalej zajaśniał. Mniemanie powszechne przyznało pierwszeństwo przed nimi *Wallenrodowi*. Ja inaczej sądzę. Czyn wspaniałomyślny pięknej Litewki jest rzeczą poematu *Grażyna*; zaś rzeczą poematu *Konrad Wallenrod* jest szlachetne przedsięwzięcie i niemniej wspaniałomyślne poświęcenie się dzielnego Litwina. „Więść prawdziwa jak rachunek a dziwna jak mara“. *Wallenrod* służył Litwie obłądą, złamaniem wiary, utratą części. Lecz po odcięciu głębokiego i politycznego w tem rozumienia, poema *Konrad Wallenrod* cząstkowo, ułamkami śliczne i czarujące, w rozwinięciu jednak swoim, jako twór sztukmistrza, i we względzie artystowskim, całością organiczną, poetycką nie jest. Pisząc to, nie lada zapewne materją wzruszam; wiem jaki tem zgiełk rozniecę wielbicieli *Wallenroda*. Wszakże każdy wypowiedzieć powinien, co czuje, co myśli, głowy swojej nigdy nie poddając pod posłuszeństwo choćby nawet powszechnej opinii. Moje zaś rozumienie w tym względzie jest takie: że w układzie *Wallenroda* rozciąglým, głębokim, śmiałym, przechodzącym miarę zwykłych przedsięwzięć poetyckich, nie masz wewnętrznej zgody i harmonii między częściami, między mas-

sami ogólnej *konstrukcyi* poematu. Rzecz dobrze pomyślana i w początkach rozpostarta daleko chro-
mieje, słabnie w dalszym wywodzie. *Mickiewicz*
nie zrealizował wielkiego planu, nie rozwinął i nie
wyczerpnął *idei* swego poematu. Między charakte-
rem *Wallenroda*, między scenami, gdzie się ten
charakter najjawniej wyraża, a *expozycją* głównej
jego sprawy, zachodzi widoczny, uderzający *nie-
stosunek*, — taki sam, jaki częstokroć postrzegamy
w niedokończonym gmachu genialnego architekta,
kiedy myśl i staranie swoje w to położywszy, że-
by ustroić front całym przepychem swej sztuki,
resztę budowli jak może naskwapliwiej, naprędce
przyrządza, żeby jakotako przypadła do miary
z głównym efektem od przodu. Wielka także zacho-
dzi *dysproporeya* między częścią *genetyczną* poematu,
to jest, między tą częścią gdzie się rzecz przed
naszemi dzieje oczyma, a częścią opisową, *narra-
cyjną*. Wojna zakonu z Litwą w porównaniu z tem
co ją poprzedza, prędzej, krócej odprawiona, ni-
żeli plan dzieła wymagał, widocznie skutek osła-
bia. Czemuż nie widzimy *Wallenroda* w namiocie
z Halbanem? Porozumiewanie się, znoszenie z *Wi-
tołdem*, tak ważne, i tak zajmujące, w obręb poe-
matu prawie nie wchodzi. *Walter Skot* porówny-
wa bieg powieści z rosnącą chyżością kamienia,
gdy na dół z stromego spada pagórka. Z początku
wszelkie mija przeszkody, następnie coraz prędzej
się toczy, na wpół drogi i ku końcowi spadku
warcząc z łoskotem, a gdy już ma stanąć u kre-
su, natenczas z niewypowiedzianą leci szybkością.
Ale ruch, bieg powieści w *Wallenrodzie* nie zda-
je się być tym kształtem uregulowany. Jestto rze-
ka nie wszędzie spławna nie wszędzie żaglowną

linję mająca; nurt jej niestały, zawodny; chyżość strumienia nie jednaka. Tu wielki rozlew, wezbranie z brzegów; gdzieindziej wązkie, i coraz węższe koryto, tak że je pieszy wędrowiec żartkim przebędzie skokiem. I na mieliznach nie zbywał — Te zarzuty dotyczą ekonomii wewnętrznej poematu. Ale sam *bohater* powieści daleko większemu podlega zarzutowi. Któżby dał temu wiare? Wszakci ten *Wallenrod*, ten rycerski krzyżak, pogromca zakonu, jest przecie zakochanym czwartej części Dziadów upiorem! Ta sama miłość, ten sam koloryt namiętności, ledwo nie też same wyrażenie:

„Bóg mię oświecił,*) ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek, już tylko ruiny;
Odwracam oczy przelatuję cwałem,
Biegę do owej, do naszej doliny,
Wszystko jak dawniej! też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty;
Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
Kamień; pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły.
Ledwie go dostrzegł, osłoniony zieleń,
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju.
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju;

*) Mówi Konrad do Pustelnicy:

Dod. do „Kur. Codz.“ — „O literatur. polskiej.“ 10

Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził,
Te suche wierzby, jaki cud Aldono!
Dawniej mą ręką white w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa
I liść w nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy.
Ach! na ten widok pociecha nieznana,
Przecucie szczęścia, serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana;
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy w strony ojezyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni.

Wszystkoć to przesłiczne, nie przeczę, i ów kamień, i ta wierzba, i te kwiatki i listki, i puchy! Ale jak źle się wydaje u Wallenroda ta pieściwość rozpamiętywania, ta poezya pamiątek!! W owym wieku tak poetyckim, lecz poezyaż *życia*, poezyaż rzeczywistości, a nie poezyaż tkliwych, *sentymentalnych* wspomnień!.. Dopiero kiedy społeczeństwo, wychodząc z czasu fantastycznego, lodowacieje powoli starością rozumu, kiedy rozum jasnością swoją, swoim mędrkowaniem i rachmi-strzowstwem wszystko odczaruje co się koło nas dzieje, co się nawet działo w przeszłych czasach, kiedy rozbije urok każdego omanienia, każdego uczucia, imaginacyi, zapалу, uniesienia, dopiero natenczas, w tej epoce doskonałej, zimnej *refleksyi*, kiedy drży serce nasze, ale od polarne-go mrozu, nie z zachwycenia, — wtenczas do-

piero rodzi się poezya melancholii, *poezja czwartej części Dziadów*. — Pustelnik mówi do księdza:

„Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi,
Pamiętam śród jesieni... przy wieczornym chłodzie
Jutro miałem wyjechać... błędę po ogrodzie!
W rozmyślaniu, w modlitwach, szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia!
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze:
Cała ziemia kroplistą polyskała rosą.
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędziła lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy,
Gwiazdy toną w błękitie po nocnym obiegu:
Spojrzę... jak raz nademną świeci gwiazda wscho-

[dnia,

O, znam ją odtąd dobrze; witamy się co dnia!
Spojrzę na dół... na szpaler... patrz, tam przy

[altanie,

Ujrzałem ją niespodzianie! i t. d.

Ta miłość, te wyrażenia, te myśli, te widoki natury zachwycają w *Dziadach*, — ale wszystko to jest uderzającym *anachronizmem* w Wallenrodzie. Rzecz jego nie przypada w te czasy, i jego charakter z taką miłością żadną nie rymuje miarą... Ta, że tak powiem *modernizacja* pojęć i *kolorytu* stawia w fałszywym świetle bohatera poematu, samej rzeczy przyczyniając *nieforemności*, *bezsztaltności*. Wreszcie, już to jest *maniera* sentymentalna, z której, przy częstszem jeszcze używaniu, i wznawianiu tego co się raz rzekło, łatwiej

wykształciłby się mogły pewne jeremiady tkliwych westchnień, i pewna rutyna miłości. Tak samo *Rossyni grandioso* swoje nieraz rozprasza częstem powtarzaniem spowszedniałej w orkiestrze pieściwości.

Krótko mówiąc: cały romans Alfa i Aldony zły skutek czyni w tym poemacie. *Aldona* nawet ku końcowi stroi zaloty niegodne pustelnicy. Wymawiając się kochankowi, który ją chciał unieść do Litwy, powiada: „ja się zestarzałam, zbrzydłam... Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy, jej zgasła źrenica, jej twarzy bladość, nie kazi w pamięci twojej oblicza pięknej kiedyś *Aldony*. I ciebie także nie chcę widzieć z bliska, — *daruj mój kochany*, że ci to mówię, ale i ty może dzisiaj już nie jesteś taki, jakim bywałeś przed laty. Alfie nam lepiej zostać takimi jakimi dawniej byliśmy.“ — *Aldona* nie chce paść z uniesieniem w ramiona *Alfa*, — czegoż chce? oto chce go tylko widzieć żywym, co wieczora z nim rozmawiać: osładzać chce tym sposobem wszystkie cierpienia. „Staraj się, — mówi, — częściej i raniej przychodzić.“ — Co większa *Aldona* chciałyby mieć nie tylko Alfa, ale całą Litwę w miniaturze koło swej wieży:

„Gdybyś, — posłuchaj — w około równiny,
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła,
Bawiac się między ojezystemi drzewy,
Ojezyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy i t. d.

Toż samo, słowo w słowo, co w szwajcarskiej familii *Weygla!* — Czyż nie wpadło w myśl *Mickiewiczowi*, że to wszystko jest drobne, małe, że to *afektacya* i ledwo nie takie same wydwarzanie, jakim mieszkańcy miast tęsknią do pięknej za miastem natury? — Czegoż żąda *Alf*, gdy mu się nie udało przełamać uporcu *Aldony*? Oto przynajmniej na pamiątkę „gałązki z wieży,” a ponieważ na wieży kwiaty nie rosną, to przynajmniej nitki z odzieży, albo z warkocza zawiąski, albo wreszcie kamyka z muru! — W te śmieszności, dzieciństwa, wpadł wielki artysta, myślący sztukmistrz! Jakże to wszystko osłabiło wdzięk tego poematu! Ileż w tem wszystkim psychologicznej i poetyckiej nieprawdy! — I tenże to *Wallenrod*, pomyśliłem sobie, ten *Alf* pierwszej sceny wielki, straszny, — którego włos posiwiął za młodu, który w samotności grób myśli swoich gorącym roztwierał napojem, który jednego razu winem i wieścią barda rozpalony, odśpiewał wrogom złowieszczą balladę?

Wytrysk ognistego ducha, strumień najczystszego uniesienia, najwyższa liryczna inspiracya, płomień miłości, — to czwarta część *dziadów Adama Mickiewicza!* Doskonałe malownictwo historyczne, najpiękniejszy *realizm* poetycki i artystowski, prawdziwe objawienie przeszłości, to *Grażyna!* Mozajkowa robota poety nie umiającego wyjść myślą i duszą z swojej *indywidualności*, z swej jednostki, nie umiającego odjąć się samemu sobie dla rzeczy i stworzyć świat oddzielny, odrębny zagranicą swego ducha, — to poema *Konrad Wallenrod!* Jedno z największych dzieł literatury naszej, choć się tylko z pięknych *fragmentów* składa, i zarazem przykład jawnie, jasno

pokazujący jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu, *subiektywnemu* przenieść się z swej idealnej sfery w sferę wielkiego poetyckiego realizmu. — Inne poezye Mickiewicza n. p. *Sonet*y Krymskie, *Farys* noszą na sobie cechę obcego klimatu. — Jest to wielo-wiedztwo geniuszu i niejako akklimatyzacya fantazyi z pod cudzego nieba w ojczyźnej literaturze pewną *uniwersalnością* ducha i *erudycją* poety.

Rozpostarł się, i mistrzuje pierwiastek indywidualny w pismach Mickiewicza. To „ja“ samego poety wszędzie się przebija, wszystkiemu swojej używając właściwości. Myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna jest jego ogniskiem i gwiazdą na firmamencie jego poezyi; — jest jego i żywiołem i światem gdzie duch twórczy zamieszkał, gdzie się bezprzestannie objawia, wszystko z siebie snując, jako pająk wije z siebie pajęczynę. Cokolwiek koło siebie postrzeże w naturze widomej, w społeczności, w historii, to wszystko ku sobie odnosi, i farbą swego geniuszu, swej jednostki tynkuje. Jest to poema rozmyślacza, mąż namiętny, liryk z daru i użyczenia nieba, filozof własnego serca. Zawsze дума, i marzy, i mówi swoje widzenia. W jednej tylko *Grażynie* o sobie zapomniął. — Przeciwnie J. B. Zaleski! W jego pismach obadwa te poezyi atomy, idealizm i realizm, duch i materya, muzyka i figury, fantazyja i rozmyśl artystowski, dumanie i *res statuarja* snycerstwo, śpiew i kształt, w większej z sobą zgodzie, w większej harmonii zostają; toż zdają się być pod równiejszą niejako i miarą i wagą rozdzielone. Częścią w zamyśle samotnym i tęsknocie, częścią jest w rzeczywistości. To górnemi wlatuje pojęciami, to wyobraża,

kształci. Jego postacie rzeźkie, szykowne, żywe, zwawe, poskoczne mile w oko wpadają. Zwykle w jasne przyodziewa je szaty. Taki jego stary myśliwiec, takie kozactwo, tacy rycerze dum ukraińskich! Czasem excentryczny, po za krańcami prawdziwego świata w idealnej krainie; to znowu wewnątrz natury, w społeczeństwie i w historii, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Zartkiego dowcipu, bystry, przenikliwy: myśl ma prędką jak widzenie i pochmurną i wesołą. Oko tego wieszca nie zawsze łączy smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej, dalej widzi. I śmieje się i płacze naprzemiennie. Imaginacja *Zaleskiego* szklana, czysta, jak błękitna wód powierzchnia, a fantazyja różnobarwna, różnolicowa, mieniona jak gra kolorów i ziemskie na obłokach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego, — albo jak farby tęczy na tle ruchomym w powietrzo-kręgu, szerokim łukiem zbiegającej gdy deszczowe rzędzą chmury. Taka właściwość, ten charakter poezyi autora *Rusalek!* Przecinają się tu, że tak rzekę, dwa wielkie koła, jednakiej średnicy, dwie sfery, — *realna* i *idealna*. Jeżeli z miary wychodzi, i równego tych mas podziału, to bardziej i częściej ku stronie *realizmu*. W tem największa sferność i energia ducha tego młodego poety. Nie bez słusznej więc przyczyny zwiemy go *wieszczem* minionych wieków, poeta *zgastłych plemion*, ponieważ ich postacie i głosy rozciągliłmi tonami swojej arfy z zapadłego wywołuje zmierzchu. Sam ten *sztukmistrz* dla własnego tylko użytku narządził owe muzykalne, dźwięczne naczynie, i swojej roboty strunami takowe nawiązał. Nikt bowiem tak jak on nie zagra na jego instrumencie. Darmoby się kto na

to silił, i wielkim zdobywał dowcipem:—jako niegdys̄ żaden dworzanin, żaden zalotnik wdowiejącej Penelopy nie zdołał napiąć starego łuku króla Itaki, i w cel strzałą ugodzić, choć i piękna kobieta, i udzielną wyspa na morzu były nagrodą tego strzału. — Z tej przyczyny tak źle się wydaje co bądź naśladowcy *Zaleskiego* jego miarą, w jego duchu napisać chcieli. Te są cechy ogólne. — J. B. *Zaleski* nie ogłosił jeszcze zbioru wszystkich pism swoich, nie małe fragmentami oryginalnych poematów, umieszczanemi w dziennikach peryodycznych wzbudziwszy oczekiwanie. Wyjątek z Rycerskiego rapsodu, *Rusałki*, *Damian*, *Mazepa*, *dumy*, *fantazye*, otóż ledwo nie wszystko co mi się czytać zdarzyło. W tem jednak wyraziły się już charakter i właściwość jego poezyi, a szczególniejszej poetyckiego stylu. Pod względem zewnętrznego nawet kolorytu, rytmu i mechanizmu, co tylko napisze *Bohdan Zaleski*, zdaje się być nakształt ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień płomienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysiączne się rozsypie, rozwieje i bryźnie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, zygzaki, wstęgi i smugi świetlne. Albo także jestto coś nakształt zasłony *Rusałek* z rubinowych iskr jutrzeńki. Takie *Czajki*, takie *śpiewające jezioro!*

Toż Czarnomoca w noc na pogoni,
Nuta dniewprowskich dum aż tu dzwoni?
O! nie dniewprowskich nuta to dum
To jakiś srebrny, przeciągły szum,
Luba harmonia tonów tysiąca
Mile niebieskim arfom wtórzająca.

Słodki, czarowny powietrzny brzęk,
Jak owych pieśni huryssek dźwięk;
Co przy dziewicy, w letni poranek,
Śniący na kwiatach roi kochanek.

Nikt u nas nie ma takiego stylu i takiego wystąpienia. W tem mu najpoprawniejsi klasycy nie zrównali. Sposób pisania jemu tylko właściwy, świetny, mamiący, artystowski, wykonany brylantowy. Czyż sztuka *Zaleskiego* nie zdaje się być w porządku idealnym efektów dzisiejszej poetyckiej literatury naszej, jakby elementem ruchu, biegu? I tak jest w rzeczy samej. Prędką, wietrzną, powiewną, roznośną, działa mocą sprężyny i wszystko z sobą w tem systemie siłą lotu porywa.

O *Zanku Kaniowskim* Seweryna Goszczyńskiego mówiłem w innem miejscu*). Artykuł z tego powodu umieszczony w jednym z pism warszawskich oburzył wielu czytelników. Wzruszono litośnie ramionami, kiedy mówiłem o talentach tego znamienitego pisarza. Dotychczas uwłaczają mu niektórych krzywe zdania. Z przywar wystąpienia, nie wszędzie tak jakby może na rzecz rymotwórczą wypadało, gładko i starannie okrzesanego; z niedbałości w wielu miejscach na czystość i wytwór polszczyzny, wzięto u nas pobudkę do odsądzenia poematu Goszczyńskiego od wszelkiej niemal cześci. Taki sam los, z takich samych pobudek spotkał *Maryę* Malczeskiego. Atoli dostatecznie tego wypowiedzieć nie mogę,

*) W „Gaz. Poln.” z r. 1829.

· jak nieopatrzny jest ten sąd, — tem boleśnniejszy, tem nieopatrzniejszy, że narodowej chwale pod tym względem najchlubniejsze wydziera zaszczyty. Przyznaje: Goszczyński nie ma poprawnej, wytwornej *dykcji* Mickiewicza i Zaleskiego;—ale na owe rozległe pojęcie, i ten rozmysł artystowski, tę bujną, płonącą, ognistą fantazję, która go stawia w równej mierze z obudwoma wspomnionymi pisarzami. Gdzie się tylko duch wyraża, szanujemy go, poważajmy. Gdzie jest natchnienie poetyckie, tam wnিকajmy w treść, w istotę rzeczy, na resztę mniej dbając. — Po wyjściu na widok publiczny *Zamku Kaniowskiego* zlecił przed rokiem Seweryn Goszczyński mojemu staraniu ogłoszenie drukiem swoich *poezji lirycznych*, które teraz dopiero wydane być mogą. Obecnie pracuje on nad nowym poematem: *Polak w Jassyrze*.

Dzienniki peryodyczne dzielą częstokroć na kawałki, co jednym zachodem odbyć trzeba. To samo stało się z moim artykułem o *Zamku Kaniowskim*. Podzielono go na tyle cząstek, że w końcu nikt nie zrozumiał autora. Zresztą i na drukarskich, wykrzywających istotę rzeczy nie schodzi pomyłkach. Z tej przyczyny umieszczam tu treść *Zamku Kaniowskiego* z małemi odmianami, dla pokazania na oko czytelnikowi, że układ wzmiankowanej powieści dziwny i fantastyczny, ma prawdziwe, poetyckie zalety z sprawności w wywodzie i prowadzeniu rzeczy.

Kozak *Nebaba* urodził się w Białozorze na Ukrainie, niedaleko Smily. Tam pierwsze lata jego młodości upływają. Była to sztuczka żwawa, śmiała, — jak się o nim stary lirnik w tej powieści wyraża. Burzliwe, hajdamackie życie jego zaczęła się od złośliwej pustoty. Trzeba

wiedzieć, że była w tej samej wsi dziewczyna, cierpiąca lekkie na umyśle obłąkanie. *Ksenia* wychodziła każdej nocy nad brzeg pięknego, rodzinnego jeziora przeciwko niezemskiemu kochankowi, rozumiejąc, że na odgłos jej śpiewu przybędzie w postaci ognistego latawca, niby meteoru, przelatującego po jasnym niebie. Wiara w takie duchów z ziemiankami związki była wtenczas dosyć pospolita na Ukrainie. Łatwo też, jak wiele innych niestworzonych baśni, chwytala się głów zabobonnej prostoty. We wsi wiedziano o tem. Lecz *Nebaba* nie należał do rzędu łatwowiernych. Przyrzekł i bodaj czy nie założył się, że dyabła na schadzce dostrzeże. Dla własnej więc i rówieśników rozrywki udaje się o tajemniczej godzinie nad brzeg jeziora i wmawia w *Ksenię*, jakoby był owym kochankiem, za którym tak długo tęskniła. *Ksenia* daje temu wiarę: uwierzywszy nie opiera się chęciom *Nebaby*. Związek ten tak ściśle zaczęty, trwał zapewne przez czas nie mały, póty przynajmniej, że go wyświecił przed wiejską drużyną skutek, przynoszący wszędy dziewiczej skromności niesławę. *Ksenia* rozkochała się namiętnie w swoim uwodzicielu. Już na pokątnych nie przestaje schadzki; ale wiedzona instynktem miłości, silniejszej nad samo obłąkanie, już go i w tłumie rozeznawać i śledzić nawet zaczyna. Stąd nieznośne dla *Nebaby* od wiejskiej młodzieży przymówki; stąd dotkliwe uczucie wstydu, stąd myśl zatarcia śladów występnego czynu i pierwsza zbrodnia. Topi *Ksenię*. — Dostały mu się od natury: uroda, dowcip, wspaniała ochota do wszystkiego i miłość ojczy-
stych swobód; ale razem tym zaletom przeciwne nieukrócone namiętności: zawziętość w uprzedzo-

nej myśli, duma, niestatek i burzliwość. Charakter niepospolity, na wpół dziki, gwałtowny. Taki jest bohater tej powieści. Lecz dodać winienem, że wszystkie te sprawy na lat kilka rzecz poematu uprzedzają.

Ksenia jednak nie zginęła. Szczęśliwym trafem prędko z wody wyratowana, powraca do życia; ale zwiększone tym wypadkiem obłąkanie, w pospolitym u gminu rozumieniu nie zostawuje żadnej już wątpliwości co do związków tej kobiety z piekłem. Od tej to chwili można Ksenię uważać jako ofiarę wywołaną do życia dla dręczenia winowajcy najboleśniejszą karzą, to jest: przymileniami obrzydłej kochanki.

Tę topielicę pojął i wystawił autor w duchu miejscowych uprzedzeń. Nic się ważnego nie działo na Ukrainie, czego by nadzwyczajne nie przepowiedziały jawiska. Bunt ukraiński, który tam zowią *koliszczyzną*, a szczególnie rzeź humanśka miały być także nadprzyrodzonymi uprzedzone widziadłami, — między innymi przez dziwną, obłąkaną kobietę, która klaszcząc, hucząc i niezrozumiale belkocząc, z rozwianym włosom, w podartej odzieży, jak Sybilla, przebiegała sioła Ukrainy. *Goszczyński* wplątał w powieść swoje takie mniemanie. Ksenia, jak w początkach swego obłąkania, tak i następnie to po lasach tułała się, to nad brzegami wód na noc całą siadała, myślą napowietrznego goniąc kochankę, z wzrokiem ku niebu na gwiazdy obróconym, wedle wyobrażeń ukraińskiego ludu, jakoby spadające gwiazdy były złemi duchami. Taką ona pioską zwywa kochanka:

Wypłyn, wypłyn z za obłoku!
Po błękitnem przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam Ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku.
Ho—hop! ho—hop! wzywam Ciebie, i t. d.

Lecz wróćmy się do osnowy poematu. — Czy to, że *Nebaba* chciał odjąć się niemiłym wspomnieniom, czyli też, że mu srodze dokuczwały przymówki szatańskich miłostek, bądź co bądź ojcyste porzuca siedlisko. Przypadek zaprowadza go do Kaniowa, gdzie męska postać i przymioty zjednały mu najprzód względy u starszych, a potem przełożenie nad przydwornem kozactwem w zamku starosty kaniowskiego. Tam także młoda dziewczyna *Orlika* pociągnęła ku sobie serce *atamana* Kozaków; bo któryż Kozak nie położył wszystkiego starania, wszystkiej chęci i myśli swojej, żeby się podobać pięknej kobiecie? Ale już to tak przypadło *Nebabie* z przeciwnego losu, że miłość same nieszczęścia, nakoniec zginięcie przynieść mu miała. — Rządca tego zamku Polak powziął był równą skłonność ku *Orlice*. W nim miał *Nebaba* przemożnego, choć mniej szczęśliwego spółzalotnika, ponieważ rzeczywiście *Orlika* uczuć rządcy nie dzieliła. Rzecz poematu zaczyna się od następnego zdarzenia:

Bratu *Orliki* zlecono straż nocną około szubienicy. Według dawnych tamtejszych zwyczajów, gardłem karany bywał, z pod czyjego dozoru zginął trup powieszzonego winowajcy. Szyldwach zwabiony śpiewem znajomej dziewczyny zbiega z stanowiska w pobliskie zarośle. Tymczasem porywają wisielca z szubienicy, za rozkazem rządcy zamku. W jakim zamiarze? Domyślić

się można. Tak więc pan rządea, umysłonym fortelem dostaje w moc swoją brata tej, która była przedmiotem i celem jego namiętnej skłonności. Zniewała ją do uczynienia wyboru między śmiercią haniebną brata i prędkim zamęściem. Nie długo wahała się Orlika; nie długo opierała się w samotnej rozmowie życzeniom obrzydłego rządcy. Przyrzekł przebaczyć mniemaną winę bratu, byle na ślubny związek zezwoliła. Przeto zostaje jego żoną dla ocalenia brata. Braterskiemu przywiązaniu poświęca miłość, spokojność, część. W tej okoliczności umieścił autor katastrofę poematu.

Wszystkich zdziwiły tak prędkie zaślubiny rządcy z Orliką, która tego samego dnia jeszcze, przed zachodem słońca umrzećby wolała, niż zostać Polką.—Chłopiec wracający do zamku z teobanem uwiadomił Nebabę o całym zdarzeniu. Oburzył się ataman. Pozostaje mu tylko wzięcie zemsty z wiarołomnej kochanki i szczęśliwszego, jak mniemał, *Lacha*; gdyż nie znał skrytego powodu, którym ją rządea zamku swojej woli posłuszną uczynił. Oweczesne niepokoje, i zawichrzenia wewnętrzne Ukrainy, toż bliskość obozu *Szwaczki*, który przodkował Kaniowskim powstańcom, nastęrczały mu do tej zemsty łatwą sposobność. Przeto ku wieczorowi, opuściwszy zamek, przeprawia się przez Dniepr na drugą stronę. Tu niepojęte dla mieszkańców Kaniowa, dziwne widmo *Kseni*, uważane od gminu jako znak bliskiej klęski, ukazaniem się swoim na scenie burzliwego życia Nebaby, wznawia w jego umyśle zapomniane od lat kilku wspomnienia, przydając do obecnych cierpień niepokoje trwożnego sumienia, gorczy i kaźń przeszłości. A jednak ta nieszczęsna

kobieta jednego tylko żąda uściskienia! Za jedne przymilenie kochanka dałaby życie swoje. Krzyk i klaskanie opętanej, a przedej myśl uwolnienia się od napaści nienawistnej *Kseni*, bodajby gwałtowną jej śmiercią, zatrzymują *Nebabę*. Szalona zbliża się, i odbiera od Kozaka uderzenie pięścią, co zdruzgotawszy jej skronie, powinno było położyć kres życiu mniej nadzwyczajnej istoty. — Ale *Ksenia* żyje jeszcze! Zadana rana tylko odrazy jej przyczyniła. — *Nebaba* na drugiej stronie rzeki łączy się ze *Szwaczką*; następnej zaś nocy obóz powstańców znowu przechodzi na ziemię polską, gdzie w nadbrzeżnych *Rosi* lasach obrabują sobie stanowiska. — Opisanie obozu *Szwaczki* przypomina niektóre *Rembranta* malowidła. Widok ten okazywał dzikością silnie zajmuje imaginację czytelnika. Grupy dobrze uszykowane, rysunek trafiany, koloryt zgodny z rzeczą; wiele prawdy, wiele talentu. Starość *Szwaczki* czyni go już ociężałym, a nałóg pijaństwa nieczynnym. — Dzbanek zazwyczaj nad marsową przenosił sprawę. Tymczasem położenie powstańców staje się coraz trudniejsze, krytyczniejsze. Zguba ich niedaleka, bo oddział polaków, ściągnionych przez ostrzeżonego rządę kaniowskiego zamku, wtargnął już w przyległe lasy, i coraz bliżej ściska kozaków. *Nebaba* znicięripliwoiny nieczynnością *Szwaczki* zgromadza powstańców, staje na ich czele, i porzuciwszy w lesie niewytrzeźwionego starca, posuwa się naprzód ku Kaniowowi. Lecz jeszcze dzień jeden odwleka zgubę zamku. Dla tem pewniejszego osiągnięcia zamiarów zemsty, umyślił był *Nebaba* zakraść się w cieniach następnej nocy pod mury Kaniowa, i dostać go przemocą, rozumiejąc, że

ufność rządecy, położona w żołnierzach polskich, którym zlecił baczenie i śledztwo poruszeń w obozie *Szwaczki*, wszelką z tej strony bojaźń oddaliła. W czem tak dobrze począł sobie, że niepostrzeżony przemknawszy się przez polskie czaty, rozsypał swoich kozaków po zaroślach, tuż pod samem miastem, żeby, za nadejściem nocy, gotowi byli lecieć do szturm. Traf przygodny zrzędził, że ten zamiar nie doszedł do skutku. Przeciwnie, wszystko mściwemu *Nebabie* niepochybną zgubę niesie. *Orlika* rządczyni gmachu kaniowskiego, nie mogąc przewieść dłużej na sobie zmuszenia, co tak boleśnie najtkliwszą jej skłonność rozdzierało, nie mogąc się odjąć żalowi i rozpacz, uniesiona srogą dla rodu panów zwierzchnich i gwałciciela nienawiścią, umyśliła zabić męża, i dopełniła tego czynu w nocy, krwawy zamiar osłoniwszy kłamliwem przymileniem niewieściej czułości. Wytrzeźwiony *Szwaczka*, gdy postrzegł, że go niewierne kozactwo porzuciło, co wskok leci do Kaniowa, i uprzedzając *Nebabę*, nagradza swoje niedbalstwo podburzeniem tamtejszych chłopów. *Nebaba* tymczasem, postrzeżony w ukryciu swoim od polskiego szpiega, który pod zmyśloną postacią starca, żebraka, czy dudarza, tajemniczem zjawieniem się i zniknięciem swoim, bardziej zaś jeszcze niemilą z minionych lat powieścią, serce jego tak boleśnie zakrwawił, już odtąd zostaje pod ścisłym Polaków dozorem. Ku wieczorowi zbiera swoich.—Wyruszają.—Dwaj żołnierze polscy przebrani po kozacku, świadomi języka, łączą się z nimi. Noc coraz bardziej ciemnieje. Jeden z przebranych szpiegów ofiaruje chęć swoją przewodniczenia po błędnych drogach. Naprowadza ich manowcami na oddział Polaków.

Drugi wystrzałem znak daje. W okamgnieniu hufiec *Nebaby* otaczają liczniejsi nieprzyjaciele. Zaczyna się bitwa, wtem postrzeżono pożar zamku. *Szwaczka* już go był dobył, zapalił i wewnątrz uganiając się za rządczynią, którą zbrodnia obłąkała, zginął razem z nią samą i większą swoich częścią pod stropami przetłątego gmachu.

Szeroka na niebie łuna czerwonego blasku płomieni przyświeca *Nebabie*. Rozpacz kieruje jego uderzeniami i nowych sił mu przyczynia w pojedynkowych zapasach z mężnym polakiem, który utraciwszy pałasz, zrazu ustępuje natarczywości przeciwnika, lecz po chwili kruszy jego szablę i tej szczątkami liczne rany mu zadaje. Nurzający się we własnej krwi ataman kozaków słyszy głos *Kseni*, która oddawna tej bitwie z boku się przypatrywała. Nie broni jej przystępu; owszem, wedle przemożności swojej, w takim położeniu, zmyśla obojętność dla ukarania zadaniem nowej rany nienawistnego widziadła, zesłanego jakby z podziemnych krain na kaźń za przeszłe jego grzechy. Poczem sam utracą zmysły i dostaje się w moc polaków. Oddział jego zniesiony. Polacy śpieszą ku ruinom zamku. Żadna pomoc uratowaćby go nie zdołała. Lecz zwycięzcy chcą i mogą ukarać sprawców takiego spustoszenia, których wzięli w niewolę. Gruzy zamku przemieniły się w warsztat katowski. Do sprawiedliwości przydano okrucieństwo, wbiciem na pal po nad bramą miasta żywego jeszcze *Nebaby*. Innych uszykowano w biesiadujące niby grupy, żeby na placu łupieskiej sprawy swojej wśród wolnych płomieni konali. *Nebaba* na palu wbity tyle miał jeszcze

przytomności, że mógł widzieć wszystko, co się koło niego działo. Wówczas to nową oszpeconą raną wysuwa się z gruzów *Ksenia*, przybliża się, wspina na pal i całuje kochanka ostatniem śmiertelnem pocałowaniem, którem mu na wieki usta zamyka. *Nebaba* kona; niedługo skonać musiała i *Ksenia*, bo jej zwłoki widziano w bliskości tego miejsca.

Taka osnowa poematu Seweryna Goszczyńskiego. — Charaktery jego nie tak szlachetne jak w powieści *Malczeskiego*, ani tak zajmujące *sytuacje*. Inna też rzecz, inny zawód. Wielkie jednak masy ogarnął! Zresztą: co tylko w scenicznym działaniu, w *akcji* dramatycznej z pierwiastków swoich przed naszymi oczami się rozwija, rozplata, niepochybnie utworem jest i sprawą prawdziwego artysty, prawdziwego poety. Piękny fragment, piękna scena, szczęśliwie skreślony charakter tej lub innej osoby zajmą na chwilę i chwilowe wzbudzą oklaski; lecz tylko całość głęboko pomyślana, głębokim rozmysłem artystowskim, nigdy zapomnieniu nie ulegnie. Nadać ruch masom rozwikłać działanie, — w tem całe misterstwo geniuszu. *Genetyczna*, ruchoma być musi, jak umiejętność, tak poezya. Ten *genetyczny*, rodzajowy charakter postrzegam w poemacie Goszczyńskiego; z tej przyczyny nie waham się policzyć je do rzetelnych ozdób literatury polskiej, nie zbijając bynajmniej słusznego zarzutu niepoprawności, owszem, rozciągając go nawet dalej do samego tej powieści układu, gdzie rzecz, osobliwie ku końcowi, nie tak jasno i zrozumiale wyłuszczone, jakby życzyć należało. Znać pośpiech tu i owdzie, znać skwapliwość; a z tego zawsze rodzą się *nieazykowość, usterki, zboczenia*.

Powie kto: „Nie godziło się prostego kozaka wysadzać na bohatera poematu!“ — W czem atoli nie masz nic przeciwnego zamiarom autora. Kozaków, jakimi byli w istocie, stawia przed oczy nasze. To jedynie miał na celu, tego dokazać. Bohaterem poematu może być nie tylko kozak, ale nawet żebrak, włóczęga. Komuż rzeźka postać tego Nebaby w kosztownej burce, w wytwornym atamańskim stroju, komuż się nie podoba? Któż go wśród hajdamackiej czerni nie rozróżni z dumy na czole, po oblicza krasie? Jak sam zwierchni pan polski tak przed panem hardy, duszą był dziewcząt i *wieczornic*. Ten czarny wąsik jego, co nad różowemi zwijsa się ustami, ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak raźnie odbija, ten kształt postawy spiętej burką, co się tak wydaje we wspaniałym pochodzie jak masz *bajdaku* lecącego w zawód z wiatrem po Dnieprze! Nie prawdziwyż to wizerunek? Nie zajmujące, nie trafne schwycenie rysów narodowych i charakterystycznej fizjonomii narodowej? — „Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie; szczęśliwsza, którą uściśnię, najszczęśliwsza, której wstążeczkę w *seledec* zaplecie.“ To w milczeniu rozmyśla o zemście i miłości; to przygania *Szwaczce* ostreimi słowy, że leniwy i opój,—wreszcie towarzyszków przeciwko niemu podburza i w zapłacie za dzielną wymowę gnuśnemu starcowi przełożenstwo odbiera! Dzikie, leśne serce jego. Popędliwy, niesforny, zuchwały, mściwy, zakochany, w uniesieniu nie czyniący sobie żadnego zmuszenia, okrutny. Z duszą i ciałem taki sam, jakimi byli rzeczywiście owi kozacy, o których wiemy z wieści i dumek.

Żadną miarą, zdaniem mojem, niechaj kto mówi co chce, tej hajdamackiej czerni z literatu-

ry polskiej (jak niegdyś ze społeczeństwa, podnioslejszem zapewne sercem niż mądrą polityką) wypłaszać nie powinniśmy. To nieodrodne plemię dzikich stepów potrzebne zdaje się naszej poezji, jak przedtem w usługach rzeczy pospolitej odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów. Ów *Szwaczka* z czarnym na twarzy szramem, u którego wąs długi zwiesza się na pierś obrośłą, ów ocieężały rozbójnik na *Siczy*, ów stary opój w powieści Goszczyńskiego źleż wydany albo nie trafiony doskonale, kunsztownie? — Niechaj nas ten grób nie obraża. Bo to rzadki oryginał i wpośród pierwtworów flamandzkiej szkoły zabrałby niepoślednie miejsce.

Wierne przeobrażenie, rysy, właściwość wydebyta z gruzów, trafione lica, postacie dosadnymi ciągami pędzla, bijące w oczy przeciwieństwa to pogańskiej Litwy, to chrześcijańskiego krzyżactwa, to zaporozkiego ludu—owoż historyczne malownictwo poetyckiej literatury naszej, które takim wdziękiem jaśnieje w pismach *A. Mickiewicza*, *B. Zaleskiego*, *S. Goszczyńskiego!* Jest to, że tak powiem, podstawa, tło, grunt *realny* poetyckiego w tym systemie *idealizmu*. Cóż pomogą przepisy delikatnego gustu, jeżeli je przyłożymy do tych śmiałych np. wyrażań autora *Grażyny*:

Poznali męża litwini z tych znaków;
Więc cicho jeden do drugiego szeptem
To jakiś urwisz od psiarni krzyżaków,
Tuczny, bo pruską krew codziennie chlepcel
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty
Zarazby w bagnie skapał się ten plucha;
Aż pod most pięścią zgiałby łeb zadarty.
Tak oni mówią, eu niby nie słucha;

Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

Szymanowski tłómacząc przez siedm lat *Świątynię Wenery*, za żadne wieńce i mirty febów nie użyłby wyrażen: *urwisz, chłepce, plucha, łeb zadarty*. Delikatność i poprawność!! Cóż rzekną ci, co ustawnie wznawiają te maksymy zniewieściałego gustu, na owe silne, dobitne *beotyckie*, malujące wyrażenia, które z émy tak starych lat wychylają na widok powierzchowną ich szatę? — Zbierajmy rys za rysem, i słowo po słowie; każde odcieniowanie, każdy rzut myśli miejmy za godne uważania. Jakież jest ten *Litawór*? Jakie jego chęci? Owe znowu kołpaki rysie, ta niedźwiedzia odzież litewskiej młodzi; a z drugiej strony ten niemiec nieruchomy na koniu, co nabija strzelbę, i z różańca mówi pacierze, cóż to za widoki?—A też idylliczne, pasterskie figury *Brodzińskiego*? Te śliczne stroje w *Wiesławie*, ta mowa, tańce, gody weselne *krakowiaków* i *krakowianek*?

Obyczaje, ubiór, wysłowienie, wszystko na jaśnią wyciągnione. Wszystko w tej literaturze zziemianiało i polszczeje. Wszystko ma dzielność swoją, wrodzoną moc, powab, sferność. Wszystko się w pewien kształt składa. Z bezcielesnej myśli jednym wywołane tchnieniem postaci, obrazy, widma! Z różnych stron, z różnych części i okolic Polski zapomniane ozwały się głosy. Rodowitość nasza w nie jednej ukazała się postaci. Wszystkie razem liście na drzewie tak długo skamieniałem i niemem ojezystej poezji zaszumiały. Coś niem wstrząsnęło niewidomą mocą od ziemi do korony, że teraz szeleści.

i rusza gałęziami w wiatru powiewie, i mruczy i gada jakby odczarowane. Piękny to instrument, — śpiewające drzewo! Różne wydaje tony od najniższego, najgrubszego przez pośrednie dźwięki skali do najwyższego, najcieńszego, jak w strojonej orkiestrze złożonej z wielu dud, piszczałek, dętych i rzniętych naczyń. Któż to wszystko wypowie?—Oto w tej dzisiejszej poetyckiej literaturze naszej mamy westchnienie do Stworzyciela nieba i ziemi w hymnie *Woronicza*. Jest to modlitwa przed burzą. On wyliczał dobrodziejstwa Opatrzności dla narodu polskiego wyświadczone; kolejną przechodził dzieje nasze od początku do końca, jedną ale głęboką myślą rozerwanego przy mierza Twórcy z miłym jemu ludem wszystkie swoje farbując utwory. On ustawnie mowę swoją podwoził ku tym słowom u Jeremiasza zapisanym: — „klaskali w dłonie przechodzący drogą, poświstywali i wstrząsali głową mówiąc: bram waszych postać okopconą, i toż to jest miasto niegdy od tyłu tysięcy oświeconych użytecznych mieszkańców osiadłe“. To najstarszy poeta w kościele pamięci narodowej. Wziął na to, zdaje się, poświęcenie, żeby przy ołtarzu przeszłych czasów służbę sprawował i czuwał, żeby płomień gorejący na nim nigdy nie wygaś. Dobrze pełnił powinność swoją; dla niego przeszłość nie była ani skorupą garncarską, ani dymem gryzącym oczy. — Wtenczas kiedy inni szukając chluby z postronnego dowcipu odstrychnęli się od prawdziwej prostoty i piękności, on sam jeden rczmyślał o narodowym pieśnio-księgu; a wzniósłszy ducha wysoko, na sam wierzchołek Libanu, dawidową przestrajał arfę. Jest także inny mąż żywy, historyczny w tej naszej literaturze, którą

ustawnie pomnażał i wzbogacał, która już w dziełach żyje jego życiem,—wieszcz z urodzenia i powołania, ze wszystkiego, co bądź kiedykolwiek mówił, pisał i czynił, z samego nieledwie wejrzania swej sędziwej starości, z tych białych włosów co skron jego wieńczą i na ramiona spadają, z tych nareszcie nigdy nie wygasłych wspomnień ojczywej historii, które oblicze jego rozjaśniają i mgłą osnuwają poetycką, kiedy się po naszych przechadza ulicach. To Julian Niemcewicz! — Ta literatura ma świetne uniesienie liryczne, i najpiękniejszą idealność w nadobnym misterstwie i indywidualnym talencie Adama Mickiewicza, ma historyczne malarstwo w stylu porywającym Zaleskiego, w *Grażynie*, i powieści Malczeskiego. Ma nakoniec fantasmagoryczność swoją i prawdziwą poetycką alchemią w oryginalnym, dziwnym geniuszu Goszczyńskiego. Z różnych składa się atomów, z różnych pierwiastków,—realnego i idealnego, snycerskiego i muzycznego. Tło jej różnowzorowe, różno-barwne.

O tej poezji naszej *objektowej i indywidualnej* o tej jej wielkiej rzeczywistości i zamyśleniu fantastycznym, ledwo nie to samo rzeczby można, co *Montaigne* starą francuzczyzną powiedział o mowie ludzkiej, jakoby była: *un art leger, demoniacle*.

Toć jest co nazwałem na początku tego trzeciego rozdziału: *architektoniką idealną efektów i wrażeń* w systemie naszej dzisiejszej poetyckiej literatury! Masy światła i cienia sprawują skutek zamierzony na malowanym płótnie. Od stosunku między *realizmem* i *idealnością* zależy także skutek w systemie poetyckim literatury. Rzeczywistość i dumanie, realizm i idealizm sztukmistrzów pol-

skich: — otóż wielkie masy, nierównie jednak w dzisiejszej literaturze naszej rozdzielone; ponieważ w *oscylacji* poetyckiego geniuszu postrzegam wyraźniejsze zboczenie na stronę idealizmu i melancholii. I to ma swoją słuszną przyczynę. Tak być musiało w narodzie zawojowanym. Niechaj tak będzie. W poezyi odbijała się publiczna niedola.

Wymieniłem takich tylko pisarzy, którzy zdaniem mojem, czynią największy zaszczyt dzisiejszej literaturze polskiej. W ich dziełach widzę *reprezentację* imaginacji i fantazyi polskiego narodu. Powinienem był mówić także o pieśniach lirycznych *Goszczyńskiego*. Ale nie wyszły jeszcze z druku. Innych z tak zwanej *szkoły romantycznej*, — naśladowców to *Goszczyńskiego*, to *Mickiewicza*, to *Zaleskiego* uważam jako samostąnców cisnących się do powołania poetyckiego bez ducha i daru. Pisarze z tak zwanej *szkoły klasycznej* nie wchodzą w obręb mojego dziełka; mają oni licznych stronników i wielbicieli; mają talent przyznany. Nie podaję tego w wątpliwość; lecz mówić o nich nie chcę, bo inne jest moje zdanie w tej mierze. Czytając ich dzieła nie zdaje mi się, jakoby odprawował z kosturem pielgrzym-skim wędrowkę po tej ziemi, gdzie leżą kości i prochy dawnych pokoleń naszych. W krainie ich zmyślenia nie masz tej mocy niewidomej, która nas ciągnie ku sobie telluryczną własnością każdego pierwotworu. Sądzę nawet, jakoby kolory ich poetyckie były takie same, jakie mineralogowie *naleciałami* zowią; kiedy np. cząstki obce mineralne powierzchnią kopalnego ciała pokrywają farbą odmienną od koloru rodzimej jego masy.

Taka jest nasza poetycka literatura. — Któż się chluba, nie uniesie wyrozumiawszy ducha zamkniętego w tym systemie? — W czyjeż serce gorętsza iskra nie wejdzie? Dziwnem zrządzeniem zjawia się pośród nas taka poezya! Pierwotna, nie naśladowana, rodzinna, majestatyczna.

Wyniknęła-li z głębokich skrytości i tajemnych wzruszeń? — Cóż oznajmuje? Odrodzenie się na duchu.

To systema poetyckiej literatury naszej w początkach swoich jest świetniejsze od systematu daleko liczniejszych tworów w wieku *Stanisława Augusta*; świetniejsze od systematu daleko sławniejszych tworów i głośniejszych w poprzek świata z wieku rzymskiego *Augusta*.

Teraźniejsza poetycka nasza literatura jest tak polska i tak pierwotna, jak nigdy literatura poetycka w Rzymie, ani tak rzymską, ani tak pierwotną nie była.

Niechaj nikt nie mniema, jakoby to zdanie czeza chępliwość natchnęła. Gruntuje się w tem na fundamentalnem założeniu pisma mojego. Sciśła tylko *konsekwencya* wiedzie mnie do takiego wniosku.

Nikogo nie chcę mamić paradoksami.—W teraźniejszym systemie naszych poetyckich tworów zaczynamy pojmować samych siebie. Systema to jest *objawieniem* się przeszłości historycznej w literaturze, i skarbnicą pojęć współczesnej cywilizacji. Do tego Rzymianie nigdy nie przyszli w naśladowanej poezyi swojej.

Wracam do punktu, skąd wyszedłem.

Znać siebie, jest to mieć grunt pod sobą i wewnątrz ujęcie.

Człowiek jako jednostka, jako osoba przychodzi do tego uznania skoro myślić zacznie.

Jednostka zbiorowa (naród) tym samym sposobem przychodzi do tego uznania, — to jest w wyciągniętej na jaśnią myśli ogólnej, — w systemie swoich działań i tworów umysłowych.

Takie systema jest *literaturą*, którą naród może mieć ujęcie samego siebie, i uznanie w swoim jestestwie.

Literatura reprezentuje jego władze intelektualne.

Imaginacja i fantazyja umysłu ogólnego objawia się w dziele oryginalnych tworców poetyckich i kunsztownych. Pamięć w tworcach historycznych *Um* i rozum w filozofii, w umiejętności, w ode rwanem myśleniu.

Na grze tych wszystkich władz, na ich bezprześcannem działaniu zależy istota narodu.

Jeśli którakolwiek z tych usposobień intelektualnych w nieczynności zostaje i na zewnątrz się nie wyraża, wtenczas *jednostka zbiorowa* nie ma zupełnego i doskonałego uznania w jestestwie swoim. Jestestwo to nie zupełnie rozwinięte; albo jeśli pierwiej było rozwinięte, a następnie z pierwotnej wychodząc dzielności chromieje i traci używanie tej lub innej władzy: czas ten bywa zawsze czasem słabości, starzenia się nikiwienia. — Roztrzasać literaturę jakiegokolwiek narodu podług tych psychologicznych względów, jest to poddawać umysł publiczny, powszechny rozkładowi i niejako seceyi anatomicznej.

To obróć do Rzymian. — Jako tragedia ciągnąca się przez wieki jest historia rzymska. Najrzęczniejsi aktorowie tej sceny starożytnego świata przechodzą wszystkie inne narody sztuką

dziejopiską. Ku schyłkowi rzeczypospolitej i póź niej, nie dopuścili wielej pisarze, żeby to co godne było przechowania w niezamierzone czasy, niepamięć zatarła. Rzym, ten polityczny Lewiatan starożytnych ludów, taki, jakim był różną koleją wzrostu swej potęgi i zepsucia, maluje się w fragmentach *Sallustiusza*: w szlachetnym, prostym, jasnym stylu *Cezara*; w ozdobnej powieści *Linwiusza*; w mocy, w głębokiem wejrzeniu na serce człowiecze i nigdy niezrównanych wystąpieniach *Tacyta*. Któryż naród w starym świecie miał taką literaturę historyczną? Grecy we wszystkim innem wyżsi od Rzymian, z każdego innego względu trzymający przodek przed nimi, w tej jednak mierze im nie wyrównywają. Lecz to właśnie z przykładu Rzymian wiedzieć mamy, że pisane dzieje rzetelnego wsparcia nie noszą słabnącej w umyśle narodowym pamięci, jeśli tej nadobne sztukmistrzów dzieła i zmyślenia poetów, osnowane na ojezystych tradycjach i wyciągnięone z rozkorzenionej głęboko wiary, wzajemnie nie mocują i nie krzepią. Historia, szczególnież początkowych czasów, tym poetyckim nie ubarwiona wdziękiem, w tem przeobrażeniu artystowskiem przed oczy nie przełożona, im dalej tem bardziej ciemnieje i staje się niezrozumiała, — albo jako strumyk odcięty od pierwotnego zdrojowiska, schnie, niknie. Powieść kronikarska z wierzchu tylko rzeczy dotyka. Te gołe fakta mają przecież wielką wartość! Są to jako węglem, albo kredą z gruba narysowane kształty, które za staraniem malarza życie i ducha przywdziać mogą. Jakiż stosunek zachodził między poetyckimi obrazami historyi rzymskiej, a poetycką Rzymian literaturą? Żaden prawie. Nie było związku między

pamięcią i imaginacją tego ludu. — Mieli zapewne Rzymianie uznanie samych siebie w swoim jestestwie tak długo trwałem i nierozdziel-
nem. Ale to co nazwałem *uznaniem*, gruntem bytu, ujęciem wewnątrz, było u nich, że tak rzekę, *empiryczne* tylko, nie *idealne*. Duch rzymski wyraził się samą rzeczą praktycznego życia, działaniem, przewagami; ale nie wyraził się w systemie idealnych tworów, oderwanych pojęć i myśli. — Nie mieli ani filozofii swojej, ani poezyi.

Jaka była rzymska enota, jaki charakter, jakie obyczaje, jaka wielkość, pokazało się to w słynnych po wszystkie czasy podbojach i polityce Rzymian. Lecz tego nie znać w ich poetyckiej literaturze. — Mieliz Rzymianie własną imaginację, jak Grecy? Mieliz jak dzisiejsi Polacy swoją poezycę rodzinną, nie naśladowaną? — Ich systema poetyckiej literatury byłoz ugruntowane na odwiecznej posadzie historycznej? Odbilyz się w niem rysy poetyckiej przeszłości? — Mieliz choc jedną powieść tak ojczystą, i tak miejscową, jaką jest n. p. *Maryja, Wiesław, Grażyna, Rapsod rycerski*?

Nie stawało-li im wątku? Czy ochoty? — Najpewniej, że i nie pojowali w czem tkwi istota poezyi. Natura nie pochlebila Rzymianom w udziale tego daru. Naprózno uśmiechały się do rymotwórców, biesiadujących za stołem *Augusta*, wdzięczne postacie starej *Italii*. Pasma zdarzeń samo przez się fantastykiem nawijało się zmyśleniu. To Romulus, — to Horacyusze, i Kariacyusze, — dalej podniosły *Tarquinius* i *Lukrecya*, a dalej jeszcze nieprzerwaną koleją Porsena i Scewola, — nakoniec Koriolan! To wszystko przeciez nie tknęło zimwej duszy łacińskich wierszopisów.

Przez wieki podawał Regulus ulubieńcom Mece-
nasa bratnie, rozkrwawione dłonie. Wzruszyliż
się losem tego bohatera? Woleli raczej cudze
przekowywać *sagi*, podania. Nie pojęte krzywego
sądu omamienie! Na scenie rzymskiej wystawio-
no Ifigenię i Edypa, Prometeusza i Atrydów, —
same cudzoziemskie, greckie sprawy; a *Kornel*
i *Kolin* rzymskich wskrzeszają bohaterów na scenie
francuskiej i niemieckiej. Pierwszy z Liwiusza
napisał mierną sztukę: *Horacyusz* i *Kuriacyusz*.*)
Drugi na wiedeńskim teatrze wystawiał Regulusa
i Korjolana. Obadwa usiłowali wrócić poezyi to
co było jej niezaprzeczoną własnością.

Wzgardzili Rzymianie swoją uczciwą, ojczy-
stą *tradycją*. Wzgardzili ojczystą wiarą i pierwot-
nemi *sagami*, dowcipy i rozumy swoje na hele-
nizm wysilając. I im także, jak francuzom za
rządów Ludwika XIV, przypadło do smaku gre-
ckie, klasyczne misterstwo. Jakże drogo to wy-
łącznie przepłacili upodobanie! — Darmo prze-
strzegali stary Kato. Darmo powielekroć uchwa-
lał senat rzymski wygnanie greckich sofistów,
wykretników, retorów. Grekomania wzięwszy gó-
rę, wszystkich opanowała umysły. Wkrótce też
ustał związek między pierwszymi i pośrednimi
rzeczypospolitej czasami. Postronne obyczaje, obca
rozwicołość, cudze zepsucie i zbytki skaziły po-
czątkową prostotę i uczciwość rzymską. Zerwała
się nie wewnętrzne przypomnienia. Wreszcie nie-
pamięć przywiodła umysł publiczny ku ostaniemu
w rozterkach domowych obłąkaniu. *Ennius*z cheł-

*) Wprowadzili Szekspir rzymskich bohaterów na
scenę, ale te utwory nie są najcenniejszymi jego dziełami.

pił się, przechwalał, jakby z wielkiej rzeczy jakiej, że pierwszy z rzymian w niwecz obróciwszy starą italską poezją, greckie heksametry w łacińskiej mowie niezgrabnym i kulawym naśladował wierszem.

Pisarze rzymscy odstąpiwszy od swojej narodowości, rozmiłowali się w jałowym naśladowstwie. Ich poezya nie jest historycznym, jak helleńska, pomnikiem. *Fryderyk Szlegel* jak może usprawiedliwia to zбочenie. Spycha całą niemal winę na okoliczności. Utrzymuje, że nie mogło być inaczej, zdanie swoje popierając bacznym względem na politykę. — „Rzecz godna uważania“ — są słowa tego uczonego krytyka, — „że Rzymianie potylekroć próbując sił swoich w poezyi dramatycznej, nigdy przecież do tego zdarzeń, jakie im ojezyste podania i krajowe nastroczały dzieje, nie obierali; aczkolwiek te zdarzenia tak są poetyckie i dramatyczne, że je nowsi traicy wydobywszy z zapomnienia, na dzisiejszą wprowadzali scenę. Lecz kto pilniej wejrzy w charakter właściwy tej historycznej poezyi, łatwo postrzeże dla czego tak być musiało. Uczucia patryotyczne, zamknięte w owych podaniach, razilyby przypominaniem na scenie zbyt świeżych wypadków. Weźmy naprzykład historję Koriolana. Któryż z poetów rzymskich byłby się odważył tego patrycyusza, takim, jakim był rzeczywiście, to jest, unoszącego się zawziętą przeciwko plebejuszom nienawiścią, wystawić na teatrze, w owym czasie, kiedy usiłowania Grachów zmierzały ku ukroczeniu tej samej dumy patrycyuszów, i obwarowaniu swobód ludu rzymskiego? Jakiż widok byłby stawił na scenie rzymskiej Koriolan, wygnaniec, w słusznem poniekąd oburzeniu miotający

ostre, zelżywe słowa na swoich ziomków? Szczególniej pod ową porę, kiedy Sertoryusz, najzaśniejszy z ostatnich rzymian, sam także na wygnaniu tułał się po Luzytanii i Hiszpanii, tam rozmyślając o ocaleniu rzeczypospolitej i założeniu nowego Rzymu? — Któżby był wreszcie zniósł widok Koryolana na czele zwyciężkich nieprzyjaciół, grożącego zgubą własnej ojczyźnie, kiedy Sulla z zbrojnym wojskiem w rzeczy samej postępował ku Rzymowi?...”

Cóżby się tym sposobem usprawiedliwić nie dało? — I któżby nie wyszedł taką obroną z najcięższego zarzutu? Lecz, zdaniem mojem, pozorniejsze są, niż prawdziwe te przełożenia *Szlegla*. Nie idą w tej mierze jego wymówki. Właśnie też poeta dramatyczny w czasach *Grachów* niczem nie byłby tak dogodził pospolitemu użytkowi (jeżeli tylko poezya co wspólnego mieć może z pożytkiem i polityką), niczem nie byłby tak dobrze usłużył sprawie ludu, jak wystawieniem na scenie dumnego przywódcy stronnictwa patrycyuszów, człowieka podniosłego serca, bystrego rozumu, aieukróconej burzliwości. Zelżywe wyrazy Koryolana nie byłyby nikogo zgorszyły, gdyby to nie-akojonemu żalowi i cierpieniom wygnańca przypisano. Wreszcie widok na Koryolana, niosącego zginienie rzeczypospolitej z nieprzyjacielskimi zastępami, byłyby się zatrzęsły filary i ściany kolosalnego gmachu od oburzenia i zgrozy słuchaczy. Duch męstwa byłby wstąpił w prawe serca rzymskie i Sulla byłby doznał większego oporu.— Niechaj co chce mówi *Szlegel*, rymotwórcy rzymscy żadnem usprawiedliwieniem nie wyjdą z tego obwinienia, że rzecz tak ojcystą, tak rzymską, tak poetycką, dramatyczną, nie ukazaną na scenie na-

rodowej, w niepamięć puścili. — Czyliż następnie wielka popularność Cezara Augusta, pochlebiającego miłości własnej rzymian przestrzeganiem powierzchniowym dawnych nawet form znikłej rzeczypospolitej, lubo rzeczywiście on sam nieograniczoną sprawował władzę i owej, w którą Szlegel ugodził, nie uprzątneła przeszkody? Czyż Mecenas i August sami nie skłaniali ulubieńców swoich do pisania w rzeczach ojczystych, z podań dalekich, narodowych? Czyż ustawnie swej mocy ku temu nie podwodzili? Czyż o tem sam Horacy po tylekroć nie wspomina? — Alboż to trzydziestoletnią wojną w Niemczech umysłów nie rozjątrzyła? Nie rozerwałaż mniemań, pojęć, wiary więcej jeszcze niżeli w Rzymie rozterki domowe? A przecież nie odwiodło to *Szyllera* od napisania tragedyi *Wallenstein*, którą wystawują po wszystkich teatrach niemieckich, w samym nawet Wiedniu; lubo *Wallenstein* o niczem szczerzej nie przemyślał jako o wstrząśnieniu, wyciągnięciem ręki swojej po koronę czeską monarchii austriackiej.

Prędzej podobno temu daćby wiarę można, że jak skoro Tarent, cała ziemia italska i Sycylia, Macedonia i Kartagena, Hiszpania i Achaja zawojowane zostały, panowie znanego wówczas świata wstydzili się może szczupłych początków swoich, nie chcąc zasięgnąć pamięcią małego Rzymu, który kiedyś walczył z Sabinami i przez dziesięć lat *Weje* oblegał. Przetoż odłożyli na stronę wieść swoją bohaterską i narodowe podanie. Podobni w tem owym ulubieńcom fortuny, tak zwanym od francuzów *parvenus*, co przyszedłszy z ubóstwa do bogactw i wielkiego dostatku, swego rodu się wyrzekają; a daliby połowę mienia za to, żeby go na wieki głucha zatarła niepamięć.

Nie odstąpiłem od rzeczy mojej tem wkrocze-
niem w literaturę łacińską, na której niemal wszy-
scy pisarze nasi Zygmunrowskiego wieku, jako
i po większej części za rządów Stanisława Augu-
sta kształcili się, której ducha niejako w polską
przybrali szatę. Owszem, zajmując tę literaturę
razem z naszą dzisiejszą pod jeden szczególny wi-
dok i uważając ją z tego samego względu, podpie-
ram i mocuję myśl, na której wszystko stoi w tem
piśmie; tę myśl: że naród jedynie tylko w porząd-
ku swoich działań i tworów intelektualnych przy-
chodzi ku uznaniu samego siebie w swoim jeste-
stwie. Nie pobłądzi zapewne, kto tę miarę przyło-
ży do każdego systemu estetycznego. Jest to sze-
roki obwód, gdzie wiele rzeczy zmieścić się może.
W tem rozumieniu powiedziałem: że dzisiejsza
poetycka literatura nasza jest tak pierwotwna, tak
ojczysta, tak polska, jak nigdy poetycka literatura
w Rzymie za Augusta Cezara, ani tak rzymską, ani
tak pierwotwną nie była. Zaiście śmiałe zdanie! Ale
nikt mi nie zarzuci, jakoby przeszedł miarę w wy-
sokiem mniemaniu o talentach i dowcipie zacnych
rodaków i spółziemian moich, kto pilniej wejrzy
w to, co położyłem za fundamentalną zasadę ni-
niejszego wywodu. Nie idzie mi tu o liczbę, ani
o rozciągłość, ale o wewnętrzną, artystowską war-
tość szczególnych tworów, tudzież o ogólny kie-
runek i *ekspresję* ducha w całym systemie poetyc-
kiej literatury. Otóż we względzie tej *ekspresyi*
i tego kierunku, który tak pomyślnie rozwijać się
zaczął w naszej dzisiejszej literaturze, mamy nie-
wątpliwe pierwszeństwo przed liczniejszą daleko
i bogatszą literaturą łacińską. Odłożywszy na stro-
nę cudzoziemczyzną, zaczynamy swojem rządzić
Dod. do „Kur. Codz.“.—„O literaturze polskiej“ 12

się zdaniem, myśleć swoją głową, wynajdywać swoim dowcipem, stwarzać własną fantazyą. Pisarze nasi poszli za natchnieniem własnego talentu! Z gruzów przeszłości wydobyli porządek poetycki, historyczny, ojczyzną, rozbłyśniony nadzieją i blaskiem. Tego nigdy nie dostąpili rymotwórcy łacińscy! — W ich najświetniejszych tworcach pozostały ślady, na których nikt omylić się nie może, naśladownictwa obcych, greckich talentów. Jak mogli, helenizowali imaginacją swoją. Pisali wiersze na cześć obcych bożków i rycerzy. Przejęli kształt i rzecz obcą. — Dzisiejsza poezya polska wyraża myśli i idee dziewiętnastego wieku; oddaje cześć miejscowym pamiątkom; natchnienie swoje zasiła podaniem i wiarą ludu, tej nawzajem niosąc wspomnienie.

Ledwo nie w przysłowie poszło u nas, które z osobliwem upodobaniem wciąż jedni za drugimi powtarzają: że rzymianie zawojowawszy greków, nawzajem od nich podbitymi zostali okrasą wymowy, dowcipem, sztuką. Zdaje się nawet, jakoby za zasługę zwycięzcom poczytywano, że po swojemu, to jest po rzymsku i myśleć i czuć przestali. Nie jest to jednak tak wielką zaletą! — Świetne przewagi, mnogie zabory, liczne podboje rzymian takich na ród ludzki dobrodziejstw nie zlały, żeby późniejsza krytyka nie miała wytknąć rzetelnych przywar i niedostatków tej ich cywilizacyi skądinąd przeszczepionej, z włożeniem na litetaturę rzymską obwinienia antinarodowej dążności. — Z pozostałych ułamków nie zbyt wysoko oszacowali krytycy tegocześni stratę dzieł dramatycznych, jakie na teatrze rzymskim ku schyłkowi rzeczypospolitej i później wystawiano. I w rzeczy samej, jakież mniemanie obznajomionym z grecką sceną

wrazić mogą sztuki Seneki? Nie musiałyż stępić uczucia ludu, chciwego wszelkich widowisk, który z takim upodobaniem przypatrywał się krwi rozlewowi to lwów, to słoni, to szermierzy tysiącami ginących na scenie, nie udaną, ale prawdziwą śmiercią? Tkwiał po wszystkie czasy (jak mówi Wilhelm Szlegel, krytyk biegleszy od brata swego Fryderyka), ten sęk w charakterze Rzymian, że pierwszy założyciel ich sławnego grodu, pierś macierzyńskich nie pożywał, ale drapieżną ssał wilczyce. Uczęszczali na amfiteatr, gdzie się zapaśnicy mogli byli wyćwiczyć w gimnastycznej zwinności, ale gdzieby się *Sofokles* nigdy niczego nie był nauczył,—Grecy nie lubili takich igrzysk. Gdy za cesarstwa chciano zaprowadzić podobne walki gladyatorów w Koryncie, rzekł któryś z mieszkańców tego miasta:—nim przywykniemy do tak niehumanicznego widowiska, trzeba by pierw zburzyć ołtarz litości“.

Nie lepiej wiodło się Rzymianom w innych oddziałach rymotwórczej literatury. Największy poeta łaciński *Lukrecjusz* zabrnął w rzecz sofistyczną filozofii Epikura, która ani z jego twórczym geniuszem, ani obyczajami rzymskimi i stoickim ich charakterem w lepszych czasach, ani wreszcie z istotą nadobnego misterstwa do miary nie przypadała. Pisząc o dziwach przyrodzenia wedle zasad atomistycznej szkoły, chybił, zdaniem mojem, w wyborze przedmiotu; bo atomy, wulkany, wezbranie wód, natura organiczna i anorganiczna, same przez się nie mogą być materiałem poematu. *Horacemu* po smacznych obiadach u Augusta, stawały niekiedy w pamięci czasy rzetelnej wielkości i chwały rzymskiej. Wtedy najpiękniejszym unosi się zapalem! W tych tylko przemijają-

cych natchnieniach, w tych wylotnych błyskach swego ducha jest prawdziwie rzymskim poetą. Nie wtedy kiedy oschłe prawidła sztuki gładkim wykładem rymem, ani kiedy przywary, które się zkaładną wślizgnęły do Rzymu, dowcipną satyrą nicuje; ani wreszcie kiedy układnością dworaka, i talentem przedpokojowego wierszopisa kadzi wonnemi pochlebstwy uzurpatorowi i swoim poplecznikom. Z przykładu Horacego wiedzieć to mamy, że najszkodliwsza atmosfera dla genialnego talentu jest w pokojach i względach władzy. — *Wirgiliusz* chciał spalić *Eneidę*. Szczerze, czy tylko na okaz autorskiej skromności? Cóżkolwiek bądź, naciągnięcie trojańskiego podania ku pierwiastkom Rzymu, nie czyni go jeszcze oryginalnym poetą. Wszędzie tuli się pod skrzydła Homera. Krok w krok za nim idzie, jak dziecko za matką. Nietylko istotę, ale i zewnętrzne formy przejął od swego mistrza. Zostaje mu przecież chwata z okrasą pióra, i gładkiego wydania. — Dla czegoż pierwsza część jego poematu w porównaniu z ostatnią iść nie może? Bo w tamtej miał przed sobą piękną powiastkę, o którą się otarł dowcip grecki; w tej zaś, więcej rodowitej, italskiej, musiał się wzbijać własnymi siłami. Dla tego też i nie podołał ciężarowi! — Lecz sami Rzymianie wiedzieli czego *Eneidzie* nie dostawało. Trudno i w tej mierze przystać na zdanie starszego *Szlegla* (Fryderyka), jakoby *Eneida* mimo wszelkie niedostatki i ułomności swoje, była przecież prawdziwym narodowym poematem rzymskim. *Makrobiusz* powiada, że żaki nawet w Rzymie tego zaszczytu *Wirgiliuszowi* nie przyznawali. — „*Sed et haec et alia*“ — pisze *Makrobiusz*, — „*ut pueris decantata praetereo*“.

Jest to nie podrobione, ale poważne, bo pisarza rzymskiego świadectwo, mieszczące naszego *Marona* w poczet nietylko naśladowców ale poprostu *plagiatorów* literackich, którzy cudze za swoje udawają. Oto są słowa *Makrobiusza* (*Saturn. lib. V. cap. 2*):

Quae Virgilius traxit a Graecis dicturumne me putatis, quae vulgo nota sunt? — Quod Teocritum sibi fecerit pastoralis operis autorem, ruralis Hesiodum? et quod in ipsis Georgicis tempestatis serinitatisque signa de Arati Phaenomenis traxerit? Vel quod eversionem Troiae cum Simone suo et equo ligneo, ceterisque omnibus quae librum secundum faciunt a Pisandro pene ad verbum transcripserit? qui inter graecos poetas eminet opere, quod a nuptis Jovis et Junonis incipiens universas historias, quae mediis omnibus saeculis usque ad actatem ipsius Pisandri contigerunt, et unum ex diversis hiatibus temporum corpus effecerit? In quo opere inter historias caeteras interitus quoque Trojae in hunc modum relatus est. Que fideliter Maro interpretando fabricatus est sibi Iliacae urbis ruinam. Sed et hac et alia ut *pueris decantata praetereo*“.

To samo po polsku:

„Mniemacie-li, że szczyć się będę w rzeczy tak pospolicie znanej, opowiadając co Wirgiliusz wziął od Greków? Że Teokryta w sielance miał mistrzem, a Hezyoda w ziemiaństwie? I jako w samych Georgikach znaki pogody i słoty powyciągał z dzieła Arata o fenomenach? Albo też, że wywrócenie Troi, z Simonem swoim, drewnianym koniem, innemi, które drugą księgę (*Eneidy*) składają, z Pizandra prawie słowo w słowo przepisał?

który (*Pizander*) celuje między greckimi poetami dziełem w jednej zamykającym treści wszystkie, począwszy od małżeńskich ślubów Jowisza i Junony ciągnące się przez pośrednie wieki, aż ku czasom Pizandra, wydarzenia? W tem dziele Pizander między innymi i upadek Troi tymże samym opowiedział sposobem. Co wszystko *Maro* wiernie przełożywszy (z greckiego na łaciński) uprządł był sobie Ilionu ruinę. Lecz i to i temu podobne, o czem nawet żaki wiedzą, pomijam.“— Zważamy, że wyraz *traxit* znaczy właściwie *ciągnąć, naciągnąć, przyciągnąć*. Trudno trafniej dzieła Wirgilego ocenić. Naciągane to rzeczy z Grecyzny! Nie rzymskiego, nie oryginalnego, pomyslanego w starożytnym duchu italskim. Powiada *Makrobiusz*, że całą drugą księgę *Eneidy* pene ad verbum transcripserit z poematu Pizandra, który jako się pokazuje z przywiedzionych słów krytyka rzymskiego, był zbieraczem narodowych greckich podań. I o tem nawet żaki w Rzymie wiedzieli! Wyszło mi z pamięci com czytał przed kilku laty w przypiskach łacińskich jakiegoś niezmiernie uczonego glossatora *Eneidy*, który utrzymuje, zdanie swoje podpierając świadectwami starożytnymi, jakoby i szósta księga *Eneidy*, równie jak i druga miała być tylko kompilacją z greckich pisarzy. — W tej zaś części *Eneidy*, którąby właściwie *italską* nazwać można, czyż nie znać wysilenia i niemocy? A pod sam koniec, jakby zdrożony długą wędrówką czyż nie kuleje Pegaz Marona, i co krok nie potyka się i staje? W całym systemie rymotwórczej literatury rzymskiej chybiony jest stosunek właściwy między kunsztownem misterstwem i inspiracją. Tamte przemaga, chociaż na proporcji między jednym i drugim

tajemnica poezyi zależy.—Zapewnie daleko lepiej wypracowane dzieło od *Eneidy* jest Ziemiaństwo Wirgiliusza. Ale kiedy sobie wspomnimy, że i w tym utworze obcem porósł pierzem, czerpiąc nie lekki zasilek z dzieła Arata o fenomenach, trudno nie dziwić się skąd Wirgiliusz przyszedł do tak głośnej sławy w poprzek całego nieledwie świata? Ileżby podobnych plagiatów, ile przełacinionej gładkiem piórem greczyzny wytknąć nie można w pieśniach nawet lirycznych tak wsławionego Flakka? Blumauer i Ferdynand Chotomski przeniecowali Eneidę, Anchizesowicza to w kuskym pokazując kubraku, to w peruce z arcapem. Czemuż dotąd nikomu jeszcze w myśl nie wpadło parodować tym kształtem Iliady, albo Odyssei? Albo też wyzwolonej Jerzolimy, Luziady i Utraconego Raju? W rossyjskim nawet języku zdarzyło mi się czytać dowcipnie trawestowaną Eneidę. — Zawsze mi się dziwnym zdawał ten tak opaczny los wspomnionego poematu. Musi to być jakiś nieodganiony fatalizm, srodze dotykający łacińską poezją podawaniem w coraz nową śmieszność, i jakby strojeniem żartów, coraz nowemi szyderstwa pośmiechami najcelniejszego jej utworu.

KONIEC.

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



C 51419



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

8123/1



11-008123-000-0